

Powieści Thomasa Harrisa

CZARNA NIEDZIELA

CZERWONY SMOK

MILCZENIE OWIEC

HANNIBAL

Thomas

Harris

HANNIBAL

PO DRUGIEJ STRONIE

MASKI

Prolog

Wrota do pałacu pamięci doktora Hannibala Lectera toną w mro-
kach jego umysłu i mają zapadkę, którą można odnaleźć jedy-
nie dotykiem. Te osobliwe podwoje prowadzą do ogromnych dobrze
oświetlonych wczesnobarokowych sal, do komnat i korytarzy, które
ilością i różnorodnością mogą rywalizować z salami pałacu Topkapi.

Wszędzie są eksponaty, dobrze rozmieszczone i oświetlone, a każ-
dy jest kluczem do wspomnień łączących się w postępie geometrycz-
nym z innymi wspomnieniami.

Ekspozycje w komnatach poświęconych najwcześniejszym la-
tom życia Hannibala Lectera różnią się od pozostałych tym, że są
niekompletne. Niektóre przybrały formę statycznych scen, scen frag-
mentarycznych jak posklejane białym gipsem skorupy malowanych
antycznych waz. Inne zaś uwięziły ruch i dźwięk, olbrzymie węże
wijące się i zmagające ze sobą w jaskrawych rozbłyskach światła.
Z komnat, do których wstępu nie ma nawet sam Hannibal, docho-
dzą przeraźliwe krzyki i błagania. Lecz w korytarzach panuje cisza
i jeśli tylko zechcesz, usłyszysz tam muzykę.

Hannibal zaczął wznosić ten pałac na początku swego studenckie-
go życia. W latach więziennej izolacji ulepszył go i rozbudował, a jego
bogactwa utrzymywały go przy życiu, gdy strażnicy długo odmawiali
mu dostępu do książek.

Tu, w gorących ciemnościach jego umysłu, poszukajmy razem ukry-
tej zapadki. Odnalazłszy ją, poprośmy, żeby w korytarzach zabrzmiała

muzyka i nie patrząc w lewo ani w prawo, udajmy się do Sali Prapoczątków, gdzie ekspozycje są najbardziej niekompletne.

Dodamy do nich to, czego dowiedzieliśmy się z innych źródeł, z kronik wojennych, z policyjnych raportów i przesłuchań, z niemych protokołów z sekcji zwłok, z pozy, w jakiej zastygli zmarli. Ostatnio odnalezione listy Roberta Lectera mogą pomóc nam w ustaleniu najważniejszych informacji na temat Hannibala, który dowolnie zmieniał daty, żeby wprowadzić w błąd zarówno władze, jak i swoich kronikarzy. A wówczas, kto wie, może dzięki naszemu wspólnemu wysiłkowi zobaczymy jak tkwiący w Hannibalu potwór wypływa matczyiny sutek i na przekór wiatrom wkracza w świat.

*Oto rzecz pierwsza,
Którą zrozumiałem:
Czas jest echem topora
Nad leinym ostępem.*
Philip Larkin

I

Hannibal Ponury (1365-1428) zbudował zamek w pięć lat, rękami wojów wziętych do niewoli w bitwie pod Żalgiris. W dniu, gdy na ukończonych basztach załopotały jego proporce, zebrał jeńców w kuchennym ogrodzie i wszedłszy na szafot, żeby do nich przemówić, zgodnie z obietnicą wszystkich uwolnił. Ponieważ dobrze ich karmił, wielu wolało pozostać u niego na służbie.

Pięćset lat później Hannibal Lecter - lat osiem i ósmy Lecter o tym imieniu - stał w tym samym ogrodzie ze swoją siostrzyczką Misza, rzucając chleb czarnym łabędziom na czarnej wodzie fosy. Żeby nie stracić równowagi, Misza trzymała go za rękę i kilka razy w ogóle nie trafiła do wody. Wielki karp poruszył liśćmi lilii wodnych i spłoszył ważki.

Największy łabędź wyszedł na brzeg i ruszył ku nim na krótkich nogach, groźnie sycząc i przesłaniając skrzydłami część nieba. Znał Hannibala przez całe życie, mimo to wciąż próbował go odpędzić.

- Och, Anniba! - zawołała Misza i schowała się za nogami brata.

Hannibal rozłożył ręce, tak jak uczył go ojciec, wydłużając je dodatkowo gałęzmi rosnącej za nimi wierzby płaczącej. Łabędź przystanął, żeby ocenić rozpiętość skrzydeł przeciwnika, i zawrócił do wody.

- Codziennie to samo - powiedział do niego Hannibal. Ale ten dzień nie był zwykłym dniem i chłopiec pomyślał, czy łabędzie zdołają uciec.

Misza była tak podekscytowana, że upuściła chleb na wilgotną ziemię. Kiedy Hannibal schylił się, żeby jej pomóc, rozradowana umazała mu błotem nos. On umazał błotem nos jej i oboje roześmiali się do swego odbicia w fosie.

Poczuł trzy silne wstrząsy i woda zadrżała, rozmywając ich twarze. Przez pola przetoczył się grzmot odległych wybuchów. Hannibal chwycił siostrę za rękę i pobiegli do zamku.

Na dziedzińcu stał wóz myśliwski i zaprzężony do niego wielki koń pociągowy imieniem Cezar. Ubrany w fartuch stajennego Berndt i zarządca Lothar załadowali na wóz trzy małe kufry. Kucharz szedł ku nim z prowiantem.

- Paniczu, Madame prosi - powiedział.

Hannibal oddał Misze niani i wbiegł na wytarte, wklęsłe stopnie schodów.

Uwielbiał pokój matki z jego zapachami, rzeźbionymi twarzami i malowanym sufitem — Madame Lecter pochodziła ze Sforzów z jednej strony i z Viscontich z drugiej i całe wyposażenie pokoju przyjechało z nią z Mediolanu.

Była teraz przejęta i w jej brązowych oczach połyskiwały iskierki. Hannibal wziął szkatułkę, ona wcisnęła usta metalowego cherubina i otworzył się schowek. Matka zgarnęła do szkatułki klejnoty i kilka przewiązanych wstążką listów; na wszystkie zabrakło miejsca.

Hannibal pomyślał, że mama jest podobna do swej babki z płaskorzeźby na kamei, która grzechotała teraz w szkatułce.

Malowane obłoki na suficie. Jako niemowlę otwierał oczy i widział pierś matki na ich tle. Czuł na twarzy dotyk jej bluzki. A potem mamkanej złoty krzyżyk, który błyszczał jak słońce między wielkimi chmurami i uwierał w policzek, gdy go trzymała; dotyk jej ręki, gdy rozcierała mu skórę, żeby Madame nie zauważyła odcisku.

Ale w drzwiach stał już ojciec z księgami.

— Simonetto, musimy jechać.

Dziecięcą bieliznę zapakowano do miedzianej wanienki Miszy i Madame schowała tam szkatułkę. Rozejrzała się po pokoju i ze sto-

jaka na kredensie wzięła mały obraz przedstawiający Wenecję. Myślała przez chwilę i dała go Hannibalowi.

- Daj go kucharzowi. Tylko trzymaj za ramię. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie pobrudź tyłu.

Lothar zaniósł wanienkę na dziedziniec, gdzie kręciła się zdenerwowana zamieszaniem Misza.

Hannibal podniósł ją, żeby mogła poklepać Cezara po pysku. Misza kilka razy ścisnęła mu chrapy, żeby sprawdzić, czy koń zatrąbi jak klakson samochodu. Hannibal zaczerpnął garść owsa i wypisał nim literę „M” na ziemi. Nadleciały gołębie i dziobiąc ziarno, utworzyły przed nimi „M” z żywych ptaków. Czubkiem palca Hannibal napisał tę samą literę na otwartej dłoni siostry - Misza miała prawie trzy lata i bardzo chciała nauczyć się czytać.

- „M” jak Misza! - wykrzyknął.

Siostra wbiegła ze śmiechem między ptaki, a one zerwały się do lotu, krążąc wokół baszt, rozświetlając dzwonnice.

Kucharz, wielki, gruby i w białym fartuchu, przyniósł prowiant. Cezar łypał na niego jednym okiem, śledząc go również czujnie nadstawionym uchem. Kiedy był żrebakiem, kucharz wiele razy wypędział go z warzywniaka, krzycząc, przeklinając i trzepiąc go po zadzie miotłą.

- Zostanę, pomogę ci spakować garnki - powiedział pan Jakov.

- Niech pan jedzie z chłopcem - odparł kucharz.

Hrabia Lecter posadził Misze na wozie i brat otoczył ją ramieniem. Hrabia ujął w dłonie jego twarz. Hannibal poczuł dziwne mrowienie i zaskoczony spojrzał mu w oczy.

-Trzy samoloty zbombardowały stację. Pułkownik Timka mówi, że mamy co najmniej tydzień, jeśli w ogóle tu dotrą, i że potem walki toczyć się będą wzdłuż głównych dróg. W domku będziemy bezpieczni.

Był drugi dzień operacji „Barbarossa”. Po błyskawicznym podboju wschodniej Europy Hitler wkroczył do Rosji.

2

Berndt szedł przodem i uważając na łeb Cezara, ścinał szwajcarskim szpontonem zwisające nad ścieżką gałęzie.

Pan Jakov jechał za nimi na objuczonych książkami klaczy. Nie umiał jeździć konno i kiedy przejeżdżali pod drzewami, kurczowo obejmował ją za szyję. Czasami, gdy ścieżka była stroma, zsiadał i szedł za Lotharem, Berndtem i hrabią. Gałęzie odskakiwały, zamykały się za nimi i szlak znowu znikał.

Hannibal czuł zapach miazdzonej kołami zieleni i ciepły oddech siedzącej mu na kolanach Miszy. Obserwował niemieckie bombowce wysoko na niebie. Ich smugi kondensacyjne utworzyły pięciolinię i nucił siostrze melodię, którą zapisały na niej czarne obłoczki dymu wybuchających pocisków przeciwlotniczych. Nie była to melodia przyjemna.

- Nie - powiedziała Misza. - Anniba, zaśpiewaj *Das Mannlein*
- I zaśpiewali razem piosenkę o tajemniczym, leśnym ludziku. Przyłączyła się do nich niania, śpiewał nawet pan Jakov, chociaż nie lubił śpiewać po niemiecku.

*Ein Mannlein steht im Walde ganz still und stumm,
Es hat von lauter Purpur ein Mantelein um,
Sagt, wer mag das Mannlein sein
Das da steht im Walde allein
Mit dem purporroten Mantelein...*

*Mały ludzik stoi w lesie całkiem sam,
Purpurowy płaszczyk pokazuje nam.
Zgadnijcie, kim jest leśny ludzik,
Co cicho w lesie stoi sam.
Purpurowy płaszczyk nie podpowie wam.*

Po dwóch ciężkich godzinach stanęli na polanie pod baldachimem starego lasu.

W ciągu trzystu lat domek myśliwski zmienił się z prymitywnej chaty w wygodne leśne ustronie, dom z muru pruskiego ze stromym dachem, z którego łatwo zsuwał się śnieg. Była tam również mała stajnia dla dwóch koni, przybudówka z kilkoma pryzami i bogato rzeźbiona wiktoriańska wygódka z daszkiem ledwo widocznym za przesłaniającym ją żywopłotem.

W fundamentach domku wciąż widać kamienie z ołtarza wzniesionego w mrokach średniowiecza przez ludzi, którzy czcili zaskrońce.

Kilka z nich uciekło ze swej prastarej kryjówki, gdy Lothar zaczął ścinać pnąca, żeby niania mogła otworzyć okna.

Cezar wypił prawie sześć litrów wody z kubła przy studni. Hrabia pogłaskał go i powiedział:

- Berndt, kiedy dojedziesz, kucharz powinien być już gotowy. Niech Cezar odpocznie przez noc w domu. Wyruszyście wczesnym świtem, nie później. Rankiem macie być daleko od zamku.

Vladius Grutas wszedł na dziedziniec i z miłym wyrazem twarzy powiódł wzrokiem po oknach zamku. Pomachał ręką i krzyknął:

-Halo!

Był szczupłym, drobnym szatynem o oczach tak wyblakłych i tak niebieskich, że wyglądały jak dwa kręgi pustego nieba.

- Hej tam, w domu! - zawołał. Nie doczekawszy się odpowiedzi, wszedł do kuchni i zobaczył pudła z zapasami na podłodze. Drzwi do piwnicy były otwarte. Spojrzał w dół długich schodów i zobaczył światło.

Zakaz wchodzenia do legowiska innego stworzenia to jedno z najstarszych tabu. Naruszanie tabu podnieca niektórych zbrojeńców, podnieciło więc i jego.

Zszedł na dół i otoczyło go chłodne powietrze niskich, łukowato sklepionych lochów. Popatrzył przed siebie i zobaczył, że żelazna krata, broniąca dostępu do piwnicy z winem, jest otwarta.

Cichy szelest. Butelki, oznaczone półki od podłogi aż po sufit i wielki cień kucharza w świetle dwóch lamp. Na stole do degustacji na środku pomieszczenia leżało kilka kwadratowych pakunków i mały obraz w bogato zdobionej ramie.

A to sukinsyn - na widok brzuchatego grubasa Grutas obnażył zęby. Kucharz stał tyłem do drzwi, wciąż robił coś na stole. Szelest papieru. Znowu.

Grutas przywarł do ściany w cieniu schodów.

Kucharz zawinął obraz w papier i przewiązał go papierowym sznurkiem, robiąc kolejny, ostatni już pakunek. Potem podniósł lampę i pociągnął za żelazny żyrandol nad stołem. Coś pstryknęło i jedna z półek na końcu piwnicy odsunęła się od ściany na kilka centymetrów. Kucharz odciągnął ją ze zgrzytliwym piskiem zawiasów. Za półką były drzwi.

Kucharz zajrzał do ukrytego za nimi składziku i powiesił lampę. Potem wniósł tam pakunki.

Gdy zaczął dociskać półkę do ściany, Grutas wszedł na schody. Usłyszał wystrzał na dziedzińcu i głos z dołu:

- Kto tam?

Kucharz popędził za nim; był szybki jak na takiego grubasa.

- Stój! Tu nie wolno wchodzić!

Grutas przebiegł przez kuchnię, a potem, gwizdząc i machając do kogoś ręką, wyszedł na dziedziniec.

Kucharz chwycił kij z kąta i już miał ruszyć za nim, gdy wtem zobaczył w drzwiach sylwetkę w wojskowym hełmie i do kuchni weszło trzech niemieckich spadochroniarzy z pistoletami maszynowymi w rękach. Tuż za nimi szedł Grutas.

- Cześć, grubasku - rzucił Litwin i z pudła na podłodze wziął soloną szynkę.

- Zostaw mięso - rozkazał kapral, celując teraz w niego, chociaż jeszcze przed chwilą celował w kucharza. - Idź z nimi na patrol.

Ścieżka trochę opadała w dół, w stronę zamku, wóz był pusty, więc Berndt — lejce w ręku, fajka w zębach — jechał teraz szybciej. Z drzewa na skraju lasu zerwał się wielki bocian albo tak mu się tylko zdawało. Berndt podjechał bliżej i zobaczył, że to nie bocian, tylko łopocząca na wietrze czasza, biały spadochron z przeciętą uprzężą wysoko na drzewie. Przystanął. Wyjął fajkę z ust i zsiadł. Położył rękę na pysku Cezara i szepnął mu coś do ucha. Potem ostrożnie poszedł dalej.

Na najniższej gałęzi wisiał człowiek w porwanym ubraniu. Wisiał na drucie, na drucianej pętli, która wbiła mu się głęboko w szyję. Miał sino-czarną twarz, a jego uwalane błotem buty dyndały trzydzieści centymetrów nad ziemią. Berndt ruszył szybko do wozu, szukając miejsca, gdzie mógłby zawrócić i gdy stąpił po wąskiej, nierównej ścieżce, jego własne buty wydały mu się nagle dziwnie obce.

Wtedy tamci wyszli zza drzew, trzech niemieckich żołnierzy pod dowództwem sierżanta i sześciu cywili. Sierżant zobaczył go i odciągnął zamek pistoletu maszynowego. Berndt rozpoznał jednego z cywili.

- Grutas - powiedział.

- Berndt, greczny Berndt, który zawsze odrabia lekcje - odparł tamten. Z przyjaznym uśmiechem podszedł bliżej. - Umie doglądać koni - rzucił do sierżanta.

- Może to twój przyjaciel?

- Raczej nie. - Grutas plunął Berndtowi w twarz. - Powiesiłem tamtego czy nie? Jego też znałem. Po co gdzieś łązić? -1 cicho dodał:

- Zastrzelę go na zamku, jeśli oddasz mi pistolet.

3

Blitzkrieg, błyskawiczna wojna Hitlera, była szybsza, niż ktokolwiek się spodziewał. Na zamku Berndt zastał żołnierzy Waffen-SS, kompanię trupich główek. Nad fosą stały dwa ciężko opancerzone czołgi, niszczyciel czołgów i kilka pojazdów półgąsienicowych.

Ogrodnik Ernst leżał na kuchennym dziedzińcu twarzą do ziemi ze stadem much plujek na głowie.

Berndt widział to z wozu. Na wozie jechali Niemcy. Grutas i pozostali szli z tyłu. Byli tylko *Hihwillige*, Hiwisami, miejscowymi, którzy pomagali na ochotnika hitlerowcom.

Na jednej z baszt Berndt zobaczył dwóch Niemców, którzy ściągali porządek Lectera, żeby umocować tam antenę radiową i powiesić flagę ze swastyką.

Z zamku wyszedł major SS w czarnym mundurze z trupią główką na czapce. Przyjrzał się Cezarowi.

- Bardzo ładny, ale za szeroki - powiedział z zalem; zabrał ze sobą bryczesy i ostrogi do jazdy wierzchem. Ale ten drugi był dobry. Z zamku wyszło dwóch spadochroniarzy z kucharzem.

- Gdzie właściciele?

-W Londynie - odparł Berndt. - Mogę przykryć ciało Ernsta?

Major dał znak sierżantowi, który wbił mu lufę schmeissera w gardło.

-A kto przykryje twoje? - spytał Niemiec. - Powąchaj lufę. Jeszcze się dymi.Twój łeb też może rozpirzyć. Gdzie właściciele?

Berndt przełknął ślinę.

- Uciekli do Londynu.

-Jesteś Żydem?

-Nie.

- Cyganem?

-Nie.

Major spojrział na plik listów, które zabrał z biurka.

- Mam tu pocztę do jakiegoś Jakova? To ty jesteś Żyd Jakov?

- Jakov to korepetytor, już dawno go nie ma.

Niemiec obejrzał mu uszy, żeby sprawdzić, czy nie są przekłute.

- Pokaż sierżantowi kutasa - rzucił. I dodał: - Mam cię zabić czy będziesz pracował?

- Panie majorze, tu się wszyscy znają - zauważył sierżant.

-Tak?To może i się lubią? - Niemiec spojrział na Grutasa.- Po-
wiedz no, Hiwisie, może bardziej lubisz swoich ziomków niż nas,
hę? - Przeniósł wzrok na sierżanta. - Myślicie, że potrzeba nam aż
tyłu? - Sierżant wycelował w Grutasa i jego towarzyszy.

- Kucharz jest Żydem - powiedział Litwin. - Dam panu dobrą
radę: każe mu pan coś ugotować i godzinę później umrze pan od
żydowskiej trucizny. - Wypchnął z szeregu jednego ze swoich ludzi.
- Garkotłuk umie gotować. Jest dobrym zaopatrzeniowcem i żoł-
nierzem.

Przez cały czas na muszce pistoletu maszynowego sierżanta, Gru-
tas wyszedł powoli na środek dziedzińca.

- Panie majorze, nosi pan pierścień i szramy Heidelbergu. Tu,
w tym miejscu, żyje historia wojen podobna *do* tej, jaką i wy tworzy-
cie. Oto Kruczy Kamień Hannibala Ponurego. Ginęli na nim najdziel-
niejsi z krzyżackich rycerzy. Czy nie pora zmyć go żydowską krwią?

Major uniósł brwi.

-Jeśli chcesz służyć w SS, udowodnij, że na to zasługujesz. - Dał
znak sierżantowi. Ten wyjął pistolet z kabury. Opróżnił magazynek
i zostawiwszy tylko jedną kulę, podał broń Grutasowi. Spadochro-
niarze zawlekli kucharza na kamień.

Majora bardziej interesował koń. Grutas przystawił lufę pistoletu do głowy kucharza, chcąc, żeby Niemiec patrzył. Kucharz na niego splunął.

Na odgłos wystrzału z baszt zerwały się jaskółki.

Berndtowi kazano poprzestawiać meble w oficerskiej kwaterze na piętrze. Idąc, zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy zsikał się w spodnie. Słyszał radiooperatora w małym pokoju pod okapem, głośne trzaski zagłuszające transmisję głosową i piski alfabetu Morse'a. Operator zbiegł na dół z notatnikiem w rękę. Chwilę później wrócił i zaczął rozmontowywać sprzęt. Niemcy ruszali na wschód.

Z okna na górze Berndt widział, jak żołnierze SS wyjmują radio polowe z czołgu i przekazują je małemu oddziałowi, który tu zostawiali. Grutas i jego niechlujni cywile, teraz już uzbrojeni w niemiecką broń, wynosili wszystko z kuchni i wrzucali na skrzynię ciężarówki, gdzie siedziało kilku żołnierzy z kwatermistrzostwa. Hitlerowcy wsiedli do pojazdów. Jednostka ruszyła na wschód, zabierając ze sobą Grutasa i pozostałych Hiwisów. O Berndtcie jakby zapomnieli.

W zamku został oddział Panzergrenadierów z karabinem maszynowym i radiostacją. Berndt ukrył się w latrynie w starej baszcie i zaczekał tam do zmroku. Niemcy jedli w kuchni, na dziedzińcu czuwał tylko jeden wartownik. Ci z kuchni znaleźli sznapsa w kredensie. Berndt wyszedł z latryny, ciesząc się, że kamienna posadzka nie skrzypi.

Zajrzał do pokoju z radiostacją. Aparat stał na toalecie Madame, a na podłodze wałały się buteleczki z perfumami. Berndt popatrzył na radionadajnik. Pomyślał o martwym Ernście na kuchennym podwórzu i o kucharzu, który wraz z ostatnim tchnieniem splunął na Grutasa. Wślizgnął się do środka. Czuł, że to najście, że powinien przeprosić za to Madame, Niosąc buty, radiostację i ładowarkę, w samych skarpetkach zszedł na dół schodami dla służby i bocznymi drzwiami wymknął się na dwór. Radio i ręczna ładowarka były

ciężkie, ważyły ponad dwadzieścia kilo. Zatargał je do lasu i ukrył. Żałował, że nie może wziąć konia.

Na malowanych belkach domku myśliwskiego tańczył zmierzch i światło kominka, zmierzch i światło kominka igrało w zakurzonych ślepiach zwierzęcych łbów. Łby były stare, już prawie łyse, bo od pokoleń głaskały je i poklepywały dzieci, które dosięgnąć ich mogły przez balustradę na podeście schodów.

Niania ustawiła miedzianą wanienkę z boku kominka. Dołała gorącej wody z czajnika, naskrobala mydła i posadziła w niej Misze. Dziewczynka radośnie bawiła się pianą. Niania poszła po ręczniki, żeby ogrzać je przy ogniu. Hannibal zdjął siostrze bransoletkę, zanurzył ją w mydlinach i zaczął puszczać bańki. W bańkach, które wraz z lekkim podmuchem powietrza żeglowały w stronę paleniska, by już po chwili pęknąć nad ogniem, odbijały się uśmiechnięte twarze siedzącej przy kominku rodziny. Misza lubiła je łapać, ale chciała również odzyskać bransoletkę i uspokoiła się dopiero wtedy, gdy ta znalazła się z powrotem na jej ręczce.

Matka Hannibala grała barokowy kontrapunkt na małym pianinie.

Delikatna muzyka, zapadająca noc, zasłonięte kocami okna i zamknięte wokół nich czarne skrzydła lasu. Wrócił wyczerpany Berndt i muzyka ucichła. Słuchając jego opowieści, hrabia Lecter miał łzy w oczach. Matka Hannibala poklepała służącego po rękę.

Hitlerowcy natychmiast nazwali Litwę Ostlandem, małą kolonią, którą z czasem, po zlikwidowaniu niższych form słowiańskiego życia, zamierzali zasiedlić Aryjczykami. Drogami ciągnęły niemieckie kolumny wojskowe, niemieckie pociągi wiozły na wschód artylerię.

Bombardowały je i ostrzeliwały sowieckie samoloty. Nadlatujące z głębi kraju iluszyzny musiały przedzierać się przez ciężki ogień dział przeciwlotniczych zamontowanych na pociągach.

Czarne łabędzie wzbily się najwyżej jak tylko mogły; klucz czterech ptaków z wyciągniętymi szyjami, lecących o świcie na południe w ryku sunących nad nimi bombowców.

Wybuch pocisku. Prowadzący klucz łabędź zwinął się w kłębek w polowie uderzenia skrzydłami i runął w dół; pozostałe ptaki wolały go, zataczając w powietrzu wielkie kręgi i tracąc wysokość. Ranny łabędź spadł z głuchym stukotem na ziemię i znieruchomiał. Jego towarzyszka wylądowała tuż obok; zaczęła trącać go dziobem, chodzić wokoło, ponaglając go krzykiem.

Łabędź nie reagował. Eksplozja pocisku i zza drzew na skraju łąki wysypała się sowiecka piechota. Niemiecki czołg sforsował rów i wypadł na otwartą przestrzeń, siekąc drzewa pociskami z karabinu maszynowego, pędząc przed siebie, pędząc i pędząc. Łabędzica rozpostarła skrzydła i nie ustąpiła, nie opuściła swego towarzysza, chociaż czołg był szerszy niż one i chociaż jego silnik ryczał głośniej, niż bilo jej serce — stała tam, syczała i atakowała go ciosami skrzydeł, dopóki czołg, niczego nieświadomy, nie przetoczył się po niej z łaskotem gąsienic, miażdżąc obydwie ptaki na krwawą, upstrzoną piórami papkę.

4

Rodzina Lecterów przeżyła w lesie straszne trzy i pół roku hitlerowskiej kampanii wschodniej. Prowadzącą do domku myśliwskiego ścieżkę zimą zasypywał śnieg, wiosną porastały ją chaszczce, moczary zaś były dla czołgów zbyt grząskie nawet latem.

Cukru i mąki wystarczyło im na przeżycie pierwszej zimy, ale, co najważniejsze, mieli w domku sól w beczkach. Drugiej zimy natknęli się na zamrożonego konia. Porąbali go siekierami i zasolili. W soli trzymali również pstrągi i kuropatwy.

Z nocnego lasu wychodzili czasem cisi jak cień ludzie w cywilnych ubraniach. Hrabia Lecter rozmawiał z nimi po litewsku, a raz przynieśli im mężczyznę w przesiąkniętej krwią koszuli, który umarł na sienniku w kącie pokoju, kiedy niania wycierała mu twarz.

Gdy śnieg był za głęboki, żeby iść na poszukiwanie jedzenia, pan Jakov ich uczył. Uczył angielskiego i bardzo kiepskiej francuszczyzny, uczył historii starożytnego Rzymu z mocnym naciskiem na oblężenia Jerozolimy, i wszyscy na te lekcje przychodzili. Historyczne dzieje i wydarzenia ze Starego Testamentu przedstawiał w formie dramatycznych opowieści, ubarwiając je czasem i wykraczając poza ramy ścisłej wiedzy.

Matematyki uczył Hannibala oddzielnie, ponieważ lekcje osiągnęły poziom niedostępny dla pozostałych.

Wśród swoich książek miał oprawiony w skórę egzemplarz *Traktatu o świetle* Christiaana Huygensa i Hannibal był tą książką

zauroczony, zafascynowany drogami, jakimi podążał umysł autora, zmierzając do odkrycia. Kojarzył ją z blaskiem śniegu i tęczowymi zniekształceniami światła w starych szybach. Elegancja myśli Huygensa była jak czyste, proste kontury zimy, jak ukryta pod liśćmi struktura. Jak otwierająca się z cichym kliknięciem szkatułka, jak działająca za każdym razem zasada. Towarzyszył temu niezawodny dreszczyk i Hannibal odczuwał go, odkąd tylko nauczył się czytać.

A czytać umiał od zawsze, tak przynajmniej uważała niania. Kiedy miał dwa lata, czytała mu trochę, często baśnie braci Grimm ilustrowane drzeworytami, na których wszyscy mieli szpiczaste paznokcie u nóg. Słuchał tych bajek z głową na jej ramieniu, śledząc wzrokiem drukowane słowa, aż pewnego razu zobaczyła, jak siedzi z książką sam, jak przykładają sobie do czoła, jak ją odsuwa i czyta na głos, naśladowując jej akcent.

Jego ojcem kierowało jedno znamienne uczucie: ciekawość. Zaczekawiony synem hrabia kazał zarządcy iść do zamkowej biblioteki i zdjąć z półek najgrubsze słowniki. Angielskie, niemieckie, dwadzieścia trzy tomy słownika litewskiego, i od tej pory Hannibal czytał już na własną rękę.

Kiedy miał sześć lat, zdarzyły się trzy ważne rzeczy.

Najpierw odkrył *Elementy* Euklidesa, stare wydanie z odręcznymi rysunkami. Sunął po nich palcem i przytykał do nich czoło.

Potem, jesienią, dostał w prezencie siostrzyczkę, Misze. Uważał, że Misza wygląda jak pomarszczona ruda wiewiórka. W głębi serca żałował, że nie jest podobna do matki.

Uzurpując sobie prawo do wszystkich i wszystkiego, często myślał, jak by to było dobrze, gdyby orzeł, który krążył czasami nad zamkiem, zabrał ją i przeniósł ostrożnie do wiejskiej chatki w jakiejś odległej krainie, gdzie wszyscy wyglądali jak rude wiewiórki i gdzie doskonale by pasowała. Jednocześnie stwierdził, że wbrew sobie bardzo ją kocha i kiedy podrosła na tyle, żeby choć trochę myśleć, zaczął pokazywać jej świat, żeby nacieszyła się uczuciem odkrywania.

Tego samego roku hrabia Lecter zobaczył, jak syn próbuje obliczyć wysokość zamkowych baszt na podstawie ich cienia, posługując się, jak mu wyznał, wskazówkami samego Euklidesa. Hrabia postanowił wtedy zatrudnić lepszego nauczyciela i półtora miesiąca później zawitał do nich pan Jakov, ubogi naukowiec z Lipska.

Hrabia przedstawił ich sobie w bibliotece i wyszedł. W ciepłe dni w bibliotece czuć było lekki zapach spalenizny, która wgrzyła się w kamienne ściany zamku.

- Ojciec mówi, że nauczy mnie pan wielu rzeczy.
- Jeśli zechcesz się ich nauczyć, mogę ci w tym pomóc.
- Mówi, że jest pan wielkim naukowcem.
- Jestem tylko uczniem.
- Powiedział mamie, że wyrzucono pana z uniwersytetu.
- To prawda.
- Dlaczego?
- Bo jestem Żydem, dokładniej mówiąc, Żydem aszkenazyjskim.
- Rozumiem. Jest panu smutno?
- Bo jestem Żydem? Nie, wprost przeciwnie.
- Nie, bo wyrzucono pana z uniwersytetu.
- Cieszę się, że tu przyjechałem.
- Zastanawia się pan, czy jestem wart pańskiego czasu?
- Każdy jest go wart, Hannibalu. Jeśli na pierwszy rzut oka ktoś wyda ci się nieciekawym, zajrzyj do jego wnętrza.
- Dali panu pokój z żelazną kratą w drzwiach?
- Tak.
- Ta kratka już się nie zamyka.
- Bardzo się z tego cieszę.
- Więziono tam wuja Elgara — dodał Hannibal, starannie układając ołówki. -W tysiąc osiemset osiemdziesiątym, na długo, zanim się urodziłem. Proszę przyjrzeć się szybie. Jest na niej data wycięta diamentem. To są jego książki.

Całą półkę zajmował rząd opastych, oprawionych w skórę ksiąg. Ostatnia księga była nadpalona.

- Kiedy pada, cuchnie tu spalenizną. Ściany wyłożono belami siana, żeby nie słychać było jego wypowiedzi.

- Powiedziałeś: „wypowiedzi”?

- Mówił głównie o religii, ale... Czy zna pan znaczenie słowa „sprośny” lub „sprośność”?

- Znam.

- Ja nie za bardzo, ale myślę, że chodzi tu o rzeczy, których nie powiedziałyby się przy mamie.

- Ja też tak to rozumiem — odparł Jakov.

-Jeśli spojrzy pan na datę na szybie, zobaczy pan, że jest to jedyny dzień w roku, kiedy promienie słońca padają prosto na to okno.

- Czekał na słońce.

-Tak, i jest to również dzień, kiedy się tam spalił. Skupił promienie soczewką monokla, którego używał przy pisaniu ksiąg, i podpalił siano na ścianach.

Potem Hannibal oprowadził nauczyciela po zamku. Po drodze musieli przejść przez dziedziniec z wielkim głazem pośrodku. Głaz był płaski, nosił ślady uderzeń toporem i miał kółko do przywiązywania koni.

-Twój ojciec mówi, że zmierzyłeś wysokość baszt.

-Tak.

- Ile mają wysokości?

- Południowa czterdzieści metrów, a ta druga pół metra mniej.

- Czego użyłeś jako gnomonu?

-Tego głazu. Zmierzyłem jego wysokość i wysokość jego cienia, mierząc również wysokość cienia baszt o tej samej godzinie.

- Ale boki głazu nie są idealnie pionowe.

-Jako pionu użyłem jo-jo.

- Udało ci się zrobić obydwaj pomiary jednocześnie?

- Nie.

- Skoro więc między jednym i drugim upłynęło trochę czasu, musiałeś to jakoś uwzględnić.

— Ponieważ ziemia się obraca, wziąłem czterostopniową poprawkę kątową. To Kruczy Kamień, tak go nazywają. Albo „kurczykamień”, jak mówi niania. Nie wolno jej mnie na nim sadzać.

- Rozumiem - odparł Jakov. - Rzuca dłuższy cień, niż myślałem.

Nabrali zwyczaju dyskusowania chodząc i Hannibal wielokrotnie widział, jak jego nowy korepetytor uczy się rozmawiać z kimś niższym od siebie. Pan Jakov często odwracał głowę i mówił w pustkę, zapominając, że towarzyszy mu mały chłopiec. Hannibal zastanawiał się, czy nie brakuje mu spacerów i rozmów z kimś w jego wieku.

Ciekawiło go również, jak pan Jakov poradzi sobie z zarządcą Lotharem i stajennym Berndtem. Obydwaj byli dość bystrzy, bezpośredni i dobrzy w swoim fachu. Lecz jakże inaczej działały ich umysły. Szybko spostrzegł, że pan Jakov nie ukrywa swych myśli ani się nimi nie przechwala, ale nigdy nie kieruje ich do nikogo konkretnego. W wolnym czasie uczył ich robienia pomiarów prowizorycznym teodolitem. Jadał z kucharzem, który - jak okazało się ku zdziwieniu Lecterów - znał trochę jidysz.

W stodole na terenie zamku leżały części średniowiecznej kaptuły, którą Hannibal Ponury walczył przeciwko Krzyżakom. Na urodziny Hannibala pan Jakov, Lothar i Berndt zmontowali ją, wymieniając stare ramię, i tak odnowioną machiną wystrzelili beczkę z wodą, która przeleciawszy nad zamkiem, z cudownym hukiem spadła w gejzerze wody na drugim brzegu fosy, budząc popłoch wśród brodzących tam ptaków.

W tym samym tygodniu Hannibala spotkała największa przyjemność jego dzieciństwa. W prezencie urodzinowym pan Jakov zademonstrował mu niematematyczny dowód twierdzenia Pitagorasa, wykorzystując do tego celu płytki ceramiczne i ich odciski na piasku. Hannibal popatrzył na nie, Hannibal je obszedł. Pan Jakov zabrał jedną płytkę i uniósł brwi, pytając, czy ma pokazać dowód

jeszcze raz. I wtedy Hannibal wszystko zrozumiał. Zrozumiał tak nagle i szybko, jakby wystrzelono go z katapulty.

Pan Jakov rzadko kiedy przynosił na lekcje książki i rzadko do jakiegś nawiązywał. Ośmioletni Hannibal spytał go dlaczego.

- Chciałbyś wszystko pamiętać? — odparł nauczyciel.

-Tak.

- Pamięć i pamiętanie nie zawsze jest darem.

- Ale ja bym chciał.

- W takim razie musisz zbudować w głowie pałac. Pałac pamięci.

- Czy to musi być pałac?

- Rozrośnie się i będzie wielki jak pałac. A skoro tak, równie dobrze może być piękny. Który z pokoi jest twoim zdaniem najpiękniejszy, który najlepiej znasz?

- Pokój mamy.

-W takim razie tam zaczniemy.

Dwa razy Hannibal i pan Jakov widzieli, jak promienie wiosennego słońca muskają okno wuja Elgara, ale trzeciego roku ukrywali się już w lesie.

5

Zima 1944-1945

Kiedy załamał się front wschodni, sowieckie wojska załamywały wschodnią Europę jak lawa, pozostawiając za sobą dym, popiół i zgliszcza zamieszkałe przez głodnych i martwych.

Żołnierze 3. i 2. Frontu Białoruskiego napierali ze wschodu i z południa, ścigając cofające się niedobitki WafFen-SS, które rozpaczliwie chciały dotrzeć na wybrzeże Bałtyku z nadzieją na ewakuację do Danii.

Był to kres ambicji Hiwisów. Chociaż wiernie mordowali i grabili dla swoich hitlerowskich panów, chociaż zabijali Żydów i Cyganów, żadnego z nich nie przyjęto do SS. Nazywano ich Osttruppen i ledwo uważano za żołnierzy. Tysiące Hiwisów trafiło do batalionów robotniczych, gdzie zamęczono ich na śmierć.

Ale kilku uciekło i zaczęło pracować na własną rękę...

Elegancki litewski dworek w pobliżu polskiej granicy, otwarty niczym domek dla lalek wybuchem pocisku artyleryjskiego, który zmiotł jedną ścianę. Mieszkająca w nim rodzina, wypłoszona z piwnicy pierwszą eksplozją i zabita drugą, leżała w kuchni na parterze. W ogrodzie poniewierały się trupy żołnierzy, niemieckich i rosyjskich. Na boku leżał niemiecki łazik, też rozerwany wybuchem.

Na otomanie w saloniku siedział major SS w spodniach, na których zamarzła krew. Sierżant przykrył go kocem z łóżka i rozpałił w kominku, ale z pokoju widać było niebo. Ściągnął mu buty - major miał czarne palce u nóg. Wtem usłyszał jakiś hałas. Zdjął z ramienia karabin i podszedł do okna.

Na podjazd wjeżdżał ZiS-44, rosyjska półciągarówka, karetka z emblematem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

Pierwszy wysiadł z niej ubrany na biało Grutas.

-Jesteśmy Szwajcarami. Macie tu rannych? Ilu?

Sierżant zerknął przez ramię.

-To Czerwony Krzyż, panie majorze. Pojedzie pan z nimi?

Oficer kiwnął głową.

Grutas i Dortlich, o głowę od niego wyższy, wyciągnęli z samochodu nosze.

Sierżant podszedł bliżej.

— Ostrożnie z nim, oberwał w nogi. Ma odmrożone palce u nóg, może i gangrenę. Jest tu gdzie szpital polowy?

- Tak, oczywiście, ale mogę operować tutaj - odparł Grutas i strzelił mu dwa razy w pierś, wzbijając chmurę pyłu z jego zakurzonego munduru. Gdy sierżant runął na ziemię, Litwin przestąpił go, stanął w drzwiach i strzelił przez koc do majora.

Z karetki wysiedli Milko, Kolnas i Grentz. Ich mundury składały się po części z mundurów litewskiej policji, litewskich służb medycznych i estońskiego korpusu medycznego, ale wszyscy mieli na ramieniu opaskę z dużym, czerwonym krzyżem.

Rozbieranie trupa wymaga częstego schylania się, bandyci stękali więc i przeklinali, rozrzucając dokumenty i zdjęcia z portfeli. Major wciąż żył i podniósł rękę na widok Milki. Ten zdjął mu zegarek i schował do kieszeni.

Grutas i Dortlich wynieśli z domu zwinięty gobelin i wrzucili go na skrzynię półciągarówki.

Położyli na ziemi płócienne nosze i zaczęli wypełniać je zegarkami, złotymi okularami i pierścionkami.

Z lasu wyjechał czołg, sowiecki T-34 w zimowych barwach ochronnych. W otwartym włazie wieżyczki stał strzelec, omiatając okolicę lufą karabinu maszynowego.

Zza stodoły wypadł ukrywający się tam szabrownik - wypadł i przeskakując trupy, z ozdobnym zegarem pod pachą popędził w stronę lasu.

Zaszczekał karabin maszynowy, uciekinier runął na ziemię, przetoczył się i roztrzaskaną twarzą grzmotnął w roztrzaskany cyferblat; jego serce i serce zegara uderzyły raz i stanęły.

— Bierzcie jakiegoś! — rozkazał Grutas.

Wrzucili trupa na nosze, przykrywając nim zrabowane przedmioty. Wieżyczka czołgu obróciła się w ich stronę. Grutas pomachał białą flagą i wskazał czerwony krzyż na drzwiczkach półciężarówki. Czołg pojechał dalej.

Ostatni skok do domu. Major jeszcze żył. Chwyił Grutasa za nogawkę spodni, gdy ten koło niego przechodził. Litwin pochylił się i złapał Niemca za trupie główki na kołnierzyku.

- Mieliśmy takie dostać - powiedział. - Może twoją dopadną robaki. - Strzelił mu w pierś. Oficer puścił nogawkę i popatrzył na nagi nadgarstek, jakby chciał sprawdzić, o której umiera.

Półciężarówka podskakiwała na polu, miażdżąc kołami ludzkie ciało; gdy dotarła do lasu, Grentz odchylił brezent i wyrzucił trupa.

Przerażliwie wyjąc i plując ogniem działek, z nieba spadł nurkujący sztukas. Ukryta pod sklepieniem lasu, zamknięta w czołgu rosyjska załoga usłyszała wybuch bomby i grzechot stalowych i drewnianych odłamków na pancerzu.

6

Wie pan, jaki jest dzisiaj dzień? - spytał Hannibal znad talerza porannej kaszy. - Dzień, w którym słońce padnie prosto na okno wuja Elgara.

- O której to będzie? - spytał pan Jakov, jakby tego nie wiedział.

- Zza baszty wyrzy o wpół do jedenastej.

- O wpół do jedenastej wyrzało w tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym. Chcesz powiedzieć, że godzina się nie zmieni?

- Nie, nie zmieni się.

- Przecież rok trwa dłużej niż trzysta sześćdziesiąt pięć dni.

-Ale ten jest przestępny. Tak samo jak czterdziesty pierwszy, kiedy obserwowaliśmy słońce ostatni raz.

-W takim razie czy kalendarz jest dokładny, czy żyjemy dzięki ciągłym poprawkom?

W ogniu trzasnęła gałązka głogu.

- To są dwa różne pytania - odparł Hannibal.

Pan Jakov był zadowolony, ale miał jeszcze jedno.

- Czy rok dwutysięczny też będzie przestępny?

- Nie. Tak, będzie.

- Przecież dwa tysiące jest podzielne przez sto.

- Ale i przez czterysta - odparł Hannibal.

- Otóż to. W roku dwutysięcznym po raz pierwszy będziemy mieli okazję zastosować wytyczne Grzegorza XIII. Może tego dnia

wspomnisz naszą rozmowę. Tu, w tym dziwnym miejscu. - Podniósł filiżankę. - Obyśmy następnym roku spędzili r»a zamku.

Lothar, który właśnie wyciągał ze studni wiadro z wodą, usłyszał to pierwszy, ryk silnika na niskim biegu i trzask gałęzi. Zostawił wiadro i wpadł do domku, w pośpiechu zapomniawszy wytrzeć nogi.

Konnym traktem przedarł się do nich sowiecki czołg, T-34 w zimowym kamuflażu. Na wieżyczce miał dwa napisy: „Pomścimy nasze radzieckie dziewczęta” i „Zetrzeć w proch faszystowskie robactwo”. Na chłodnicy stało dwóch żołnierzy w białych panterkach. Wieżyczka obróciła się, lufa czołgu wycelowała w domek. Otworzył się właz i za karabinem maszynowym wyrósł strzelec w białym kapтурze. Z drugiego włazu wychynął dowódca z tubą w rękę. Mówił po rosyjsku, ale zaraz powtórzył to samo po niemiecku, przekrzykując warkot diesla.

- Chcemy wody. Nie zrobimy wam krzywdy i nie zabierzemy jedzenia, chyba że zaczniecie do nas strzelać. Jeśli zaczniecie, odpowiemy ogniem i będzie po was. Wyjdźcie z domu. Strzelec, przeładuj broń. Liczę do dziesięciu. Jeśli nikt nie wyjdzie, strzelaj. - Rozległ się głośny trzask odciąganego zamka.

Hrabia Lecter wyszedł na dwór i wyprostował się w blasku słońca z dobrze widocznymi rękami.

- Weźcie wodę. Nic wam z naszej strony nie grozi.

Dowódca odłożył tubę.

- Wszyscy na dwór, chcę was zobaczyć-

Patrzyli na siebie przed długą chwilę. Dowódca pokazał hrabiemu ręce. Hrabia pokazał ręce dowódcy.

Potem spojrzął na dom i rzucił:

- Wychodźcie.

Rosjanin zobaczył ich i powiedział:

- Dzieci mogą zostać w domu, tam cieplej. - Zerknął na swoich żołnierzy. - Trzymać ich na muszce. Uwaga na górne okna. Uruchoμίć pompę. Można palić.

Strzelec przesunął okulary na czoło i zapalił papierosa. Był ledwie chłopcem i miał jasne kręgi wokół oczu. Zobaczył wyglądającą zza drzwi Misze i uśmiechnął się do niej.

Między zamocowanymi na czołgu beczkami z ropą i wodą była mała pompa z kołem napędowym na sznur.

Kierowca wpuścił do studni wąż i po wielu szarpnięciach sznurem pompa zakaszłała, zapiszczała i ożyła.

Jej warkot zagłuszył ryk nurkującego sztukasa, tak że usłyszeli go dopiero wtedy, gdy był niemal nad nimi: strzelec szybko zakręcił korba, obrócił karabin, wypalił w mrugające oko działka, siekającego pociskami ziemię i pancierz czołgu, i trafiony nie przestał strzelać, zaciskając na spuście palec ocalałej ręki.

Na osłonie kabiny samolotu wykwitły gwiazdki przestrzelin, okulary pilota wypełniły się krwią i sztukas, wciąż z jajowatą bombą pod skrzydłem, ściał wierzchołki drzew, runął na ogród i eksplodował, strzelając z działka nawet po wybuchu.

Hannibal - on na podłodze, Misza częściowo pod nim - zobaczył matkę. Zakrwawiona leżała na podwórzu, paliła się na niej sukienka.

- Zostań tu! - rzucił i wybiegł z domu.

W samolocie zaczęła wybuchać amunicja i najpierw powoli, potem coraz szybciej na śniegu zafurkotały łuski; płomienie lizały ocalałą bombę. Pilot wciąż siedział w fotelu - tuż za nim martwy strzelec pokładowy - i ze spaloną twarzą wyglądał jak trupia główka w szaliku i hełmofonie.

Przeżył tylko Lothar, który na widok Hannibala podniósł zakrwawioną rękę. Wtedy z domu wybiegła Misza — Lothar próbował ją zatrzymać, lecz przeszyła go kula z płonącego samolotu. Trysnęła krew i zbryzgana nią dziewczynka zasłoniła sobie twarz, przeraźliwie krzycząc. Hannibal przysypał matkę śniegiem, wstał, chwycił siostrę i wśród sporadycznych już wystrzałów zaniósł ją do domu, a potem do piwnicy. Pociski roztopiły się w lufach i huk powoli ucichł. Niebo pociemniało i znowu spadł śnieg, sycząc na gorącym metalu.

Ciemność i śnieg. Hannibal wśród trupów — nie wiedział jak długo potem - śnieg osiadający łagodnie na rzesach i włosach matki. Jej ciało było jedynym niezwęglonym, nawet nienadpalonym. Hannibal szarpnął ją za rękę, lecz zwłoki zdążyły już przymarznąć do ziemi. Przytulił się do nich. Piersi matki zmieniły się w zimny kamień, serce milczało. Przykrył jej twarz serwetką i przysypał ją śniegiem. Skrajem lasu przemykały mroczne cienie. Światło latarki odbijało się w wilczych ślepiach. Hannibal krzyknął, zamachał szpadem. Misza chciała wyjść do mamy — musiał wybierać. Zaprowadził ją do domu, pozostawiając martwych w ciemności. Niezniszczona książka pana Jakova leżała tuż obok jego zwęglonej ręki, dopóki wilk nie zżarł skórzanej okładki i wśród rozrzuconych kartek *Traktatu o świetle* nie zlizął ze śniegu jego mózgu.

Sprzed domu dochodziły odgłosy węszenia i gardłowy warkot. Hannibal rozpalił ogień. Żeby zagłuszyć żerujące zwierzęta, próbował namówić Misze do śpiewania, sam też śpiewał. Misza zaciskała pięści na jego palce.

Ein Mannlein...

Płatki śniegu na oknie. W rogu szyby ciemny krąg od palca rękawiczki. W kręgu para wyblakłych, niebieskich oczu.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadł Grutas z Miłkiem i Dortlichem. Hannibal porwał ze ściany włócznię na niedźwiedzie i wiedziony nieomylnym instynktem Grutas natychmiast wycelował w jego siostrę.

- Rzuć to albo ją zastrzeż. Rozumiesz?

Potem stłoczyli się wokół nich.

Szabrownicy w saloniku, Greutz w drzwiach: machnął ręką, żeby półciężarówka podjechała bliżej i światło jej szparkowatych oczu odbiło się w wilczych ślepiach na skraju lasu; jeden z wilków coś włókł.

Z Hannibalem i jego siostrą stanęli przy kominku. Z ich ogrzanych ogniem ubrań bił słodkawy odór wielu tygodni spędzonych w lesie i na polach, smród zakrzepłej na podszwach krwi. Podeszli jeszcze bliżej ognia. Garkotłuk złapał wesz, która wylazła z fałdów ubrania, i rozgniół ją paznokciem.

Kasłali na nich. Mieli cuchnący oddech, kwaśny od mięsa, które niejednokrotnie zeszkrobywali z opon półciężarówki — Misza nie wytrzymała i ukryła twarz w palcie Hannibala. Hannibal rozpiął je i otulił siostrę, czując, jak wali jej serce. Dordich wziął jej miseczkę, zachłannie wyjadł kaszę, wytarł naczynie poharatanymi, płetwiastymi palcami, po czym je oblizał. Kolnas wyciągnął do niego swoją miseczkę, ale on nie dał mu ani odrobiny.

Kolnas był krępy i oczy błyszcząły mu na widok cennego kruszcu. Zabrał Miszy bransoletkę i schował ją do kieszeni. Gdy Hannibal

chwycił go za rękę, Grentz uszczypnął go w szyję i chłopcu zwiotczało ramię.

W oddali dudniła artyleria.

-Jeśli nadjedzie jakiś patrol - powiedział Grutas - wszystko jedno czyj, zakładamy tu szpital polowy. Uratowaliśmy dzieci i pilnujemy ich rodzinnego dobytku, tego w ciężarówce. Zdejmijcie z samochodu krzyż i powieście go na drzwiach. Szybko.

-Tamci zamarną, jeśli zostawimy ich na dworze - odparł Garkotluk. — Dzięki nim nikt się nas nie czepiał, mogą się jeszcze przydać.

- Dajcie ich do stodoły - rozkazał Grutas. - Tylko zamknijcie drzwi.

- Dokąd by poszli? - rzucił Grentz. - Komu by powiedzieli?

- Niech ci opowiedzą o swoim zasranym życiu w Albanii. Rusz dupę i zamknij ich.

W gęstej zadymce Grentz poszedł do samochodu, pomógł zsiąść dwojgu małym dzieciom i popędził je do stodoły.

8

Grutas założył im na szyję cienki, lodowaty w dotyku łańcuch. Kolnas spiął go dwiema ciężkimi kłódkami. Grutas i Dortlich przykuli ich do balustrady na podeście, gdzie im nie przeszkadzali i gdzie byli dobrze widoczni. Ten, którego nazywali Garkotłukiem, przyniósł im nocnik i koc z sypialni.

Przez drewniane tralki Hannibal widział, jak wrzucają do ognia taboret od pianina. Podłożył kołnierz pod łańcuch Miszy, żeby metal nie stykał się z ciałem.

Śniegu napadało tyle, że szare światło dnia wpadało do środka tylko przez górne okna. Gęstwina przelatujących za szybą płatków, przeraźliwe wycie wiatru; czuli się tam jak w wielkim pociągu. Owinęli się kocem i dywanikiem z podestu. Misza kaszłała, koc i dywanik ten kaszel tłumiły. Hannibal czuł na policzku jej rozpalone czoło. Wyjął zza pazuchy kawałek czerstwego chleba i włożył go sobie do ust. Gdy chleb zmiękł, dał go siostrze.

Co kilka godzin Grutas wypędzał swoich na dwór, żeby odgarnęli śnieg spod drzwi i oczyścili ścieżkę do studni. Raz Garkotłuk zaniósł do stodoły patelnię z resztkami jedzenia.

Byli zasypani śniegiem i czas boleśnie zwolnił bieg. Nie mieli co jeść, a potem nagle mieli, bo Garkotłuk nawrzucał do ognia książek i drewnianych miseczek sałatkowych, a Kolnas i Milko postawili na płycie miedzianą waniankę Miszy, którą przykryli deską; deska była za długa i szybko się nadpaliła. Pilnując strawy, Garkotłuk postanowił

nadrobić zaległości w dzienniku i rachunkach. Poukładał na stole zrabowane rzeczy, żeby je posortować i przeliczyć. Na górze kartki koślawymi literami wypisał ich nazwiska:

Vladis Grutas

Zigmas Milko

Bronys Grentz

Enrikas Dortlich

Petras Kolnas

Zakończył swoim: Kazys Porvik.

Pod nazwiskami spisał listę przypadających im rzeczy, okularów w złotych oprawkach, zegarków, pierścionków, kolczyków i złotych zębów, których ilość mierzył srebrnym kubkiem.

Grutas i Grentz obsesyjnie przeszukiwali domek, wyciągając szuflady i odrywając tylne ścianki komód i sekretarzyków.

Po pięciu dniach pogoda się poprawiła. Nałożyli rakiety śnieżne i zaprowadzili ich do stodoły. Hannibal zobaczył smużkę dymu z kominą nad przybudówką. Spojrzał na podkowę Cezara, przybitą nad drzwiami na szczęście, i pomyślał, że koń już pewnie nie żyje. Grutas i Dortlich wepchnęli ich do środka i zamknęli na klucz. Przez szparę w podwójnych drzwiach Hannibal widział, jak szeroką tyralierą ruszają w stronę lasu. W stodole było bardzo zimno. Na słomie walało się dziecięce ubranie. Drzwi do przybudówki były zamknięte, ale nie na klucz. Hannibal je otworzył. Owinięty wszystkimi kocami z prycz, tuż przy piecu leżał najwyżej ośmioletni chłopiec. Miał śniadą twarz i zapadnięte oczy. Powkładał na siebie wszystko, co się dało, jedno na drugie, warstwami, nawet dziewczęce ubranie. Hannibal posadził za nim Misze. Chłopiec się odsunął.

- Dzień dobry. - Hannibal powtórzył to po litewsku, niemiecku, angielsku i po polsku. Chłopiec nie odpowiedział. Miał czerwone, chyba odmrożone uszy i palce u rąk. W ciągu długiego, zimnego dnia zdołał im wytłumaczyć, że jest Albańczykiem i że mówi tylko po albańsku. Miał na imię Agon. Hannibal pozwolił mu szperać w swoich kieszeniach w poszukiwaniu jedzenia. Nie pozwolił mu

tknąć Miszy. Gdy dał mu do zrozumienia, że chcą połowę koców, chłopiec nie zaprotestował. Wzdrygał się na każdy odgłos, spoglądał na drzwi i robił ręką ruchy, jakby coś rąbał.

Szabrownicy wrócili przed zachodem słońca. Hannibal usłyszał ich i wyjrzał przez szparę w drzwiach stodoły.

Prowadzili na wół zagłodzonego jelonka, wciąż żywego i ledwo kuśtykającego, z frędzlastym sznurem na szyi i strzałą sterczącą z boku. Milko podniósł siekiere.

— Tylko nie zmarnuj krwi — rzucił Garkotłuk, kucharski autoritet.

Nabiegł Kolnas z miską i błyszczącymi oczami. Stukot siekiery, zwierzęcy krzyk i Hannibal zatkanął siostrze uszy. Albański chłopiec też krzyknął i zaczął za coś dziękować, im, a może komuś innemu.

Wieczorem, kiedy szabrownicy już podjedli, Garkotłuk dał im kość do ogryzienia, prawie nagą, z samymi ścięgnami. Hannibal zjadł trochę i przeżuł resztę dla Miszy. Wiedział, że jeśli poda jej jedzenie palcami, uciekną wszystkie soki, dlatego zrobił to ustami. Zaprowadzili ich z powrotem do domku i przykuli łańcuchem do balustrady; albańskiego chłopca zostawili w stodole. Misza płonęła z gorączki i Hannibal tulił ją do siebie pod zimnym, zakurzonym kocem.

Grypa powaliła ich wszystkich; szabrownicy poukładali się jak najbliżej dogasającego ognia, kaszląc na siebie i prychnając; Milko znalazł grzebień Kolnasa i zlizął z niego tłuszcz. W suchej wanience leżała wygotowana czaszka jelonka.

I nagle znowu pojawiło się jedzenie, a oni pożarli je, nie patrząc na siebie, mrucząc, burcząc i chrząkając. Garkotłuk dał im trochę chrząstek i wywaru. Do stodoły nie zaniósł niczego.

Pogoda wciąż nie chciała się zmienić; szare jak granit chmury wisiały tuż nad ziemią, las ucichł i słychać było tylko potrząskiwanie oblodzonych gałęzi drzew.

Jedzenie skończyło się na wiele dni przed tym, jak niebo wreszcie pojaśniało. Ustał wiatr, kaszel przybrał na sile. Grutas i Milko włożyli rakiety śnieżne i chwiejnie wyszli na dwór.

Trawiony gorączką Hannibal zasnął i po pewnym czasie usłyszał, jak wracają. Sprzeczczeni się głośno i kłócili. Oblizawszy zakrwawioną skórę jakiegoś ptaka, Grutas dał ją tamtym, a oni rzucili się na nią jak psy. Grutas miał na twarzy krew i pióra. Podniósł głowę, spojrzął na dzieci i powiedział:

- Musimy coś jeść, bo umrzemy.

Było to ostatnie świadome wspomnienie, jakie Hannibal wyniósł z domku.

Brakowało gumy, więc gaśienice czołgu, olbrzymiego KV-1, były rozpięte na kołach z gołej, niczym nieamortyzowanej stali, dlatego cały kadłub drżał i wibrował, zamazując obraz w peryskopie. W przenikliwy mróz maszyna pędziła leśnym duktem: Niemcy uciekali i front przesunął się codziennie wiele kilometrów na zachód. Dwaj przycupnięci nad chłodnicą piechociarze wypatrywali niedobitków Werewolfa, samotnych fanatyków gotowych zaatakować ich panzerfaustem. Dostrzegli jakiś ruch w krzakach. Dowódca usłyszał, że otworzyli ogień i obrócił wieżyczkę, żeby karabin maszynowy mógł namierzyć cel. W obiektywie peryskopu zobaczył chłopca, dziecko, które wyszło zza krzaków wśród gejerów śniegu wyrzucanego przez kule strzelających do niego żołnierzy. Stanął w otwartym włązie i kazał tamtym przestać. Przez pomyłkę zabili już kilkoro dzieci - tak to już jest - i nie chcieli zabić kolejnego.

Chłopiec był chudy i blady, i miał na szyi pętlę z łańcucha. Kiedy wzięli go na czołg i mu ją zdjęli, wraz łańcuchem zeszyły kawałki skóry.

Do piersi kureczowo przyciskał torbę, w której była niezła lornetka. Potrząsali nim, zadawali mu pytania po rosyjsku, polsku, a nawet w prymitywnej litewszczyźnie, wreszcie zrozumieli, że jest niemo-
wą.

Mieli ochotę zabrać mu lornetkę, ale zaczęli się wzajemnie zastydzać i w końcu jej nie zabrali. Dali mu pół jabłka i w bijącym z chłodnicy ciepłe zawieźli go do wsi.

9

Wopuszczonym zamku Lecterów schroniła się na noc sowiecka jednostka piechoty zmotoryzowanej, wyposażona w niszczyciela czołgów i ciężką wyrzutnię raketową. Przed świtem żołnierze pojechali dalej, pozostawiając na dziedzińcu placki roztopionego śniegu i ciemne plamy oleju. Pozostawili również lekką półciężarówkę, która stała teraz przed bramą z pracującym silnikiem.

Grutas i jego czterej kompani, wciąż w mundurach żołnierzy służb medycznych, obserwowali zamek z lasu. Minęły cztery lata, odkąd Grutas zastrzelił na dziedzińcu kucharza i czternaście godzin, odkąd uciekli z płonącego domku myśliwskiego, pozostawiając tam martwych towarzyszy.

Z oddali niósł się huk wybuchających bomb, zza horyzontu strzelały w niebo smugi pocisków przeciwlotniczych.

Z zamku wyszedł ostatni Rosjanin, rozwijając za sobą lont ze szpuli.

- Cholera - powiedział Milko. - Zaraz polecą na nas odłamki wielkie jak wagon towarowy.

- I tak tam pójdziemy - odparł Grutas.

Żołnierz doszedł do końca schodów, uciął lont i przykucnął.

- Po co? - mruknął Grentz. - Tamci wszystko rozszabrowali. *Cestfoulu.*

- *Tu debandés?* - spytał Dortlich.

- *Va tefaire enculer.* - Podłapali trochę francuskiego pod Marsylią, gdzie trupie główki uzupełniały sprzęt i uzbrojenie, i w chwilach

napięcia przed akcją lubili przeklinać w tym języku. Przypominało im to miłe chwile we Francji.

Rosjanin rozszcepił lont dziesięć centymetrów od końca i wtknął weń łepkę zapalnika.

-Jaki to kolor? - spytał Milko.

Grutas miał lornetkę.

- Za ciemno, nie widać.

Rosjanin podpalił lont i zobaczyli rozbłysk ognia na jego twarzy.

- Pomarańczowy czy zielony? - dopytywał się Milko. - Ma paski?

Grutas milczał. Rosjanin ruszył do ciężarówki. Szedł leniwie i głośno się śmiał, nie zwracając uwagi na ponaglenia kierowcy i sygnę iskrami lontu.

Milko po cichu liczył.

Gdy tylko ciężarówka zniknęła im z oczu, pobiegli do drzwi. Gdy tam dotarli, ogień w lontu właśnie przekraczał próg. Paski zobaczyli dopiero z odległości kilku kroków. *Pali się z prędkością dwóchmetrównasekundę, dwóchmetrównasekundę, dwóchmetrównasekundę.* Grutas przeciął go sprężynowcem.

- Pieprzyć wieprza - mruknął Milko i wpadł rta schody, biegnąc wzdłuż lontu i szukając, szukając innych lontów i ładunków. Przeciął główną salę, popędził do baszty i znalazł to, czego szukał, wielką pętlę ze splecionego lontu. Wrócił do sali i krzyknął:

- Znalazłem główne. Innych nie ma. Miałeś rację. - U podstawy baszty rozmieszczono ładunki wybuchowe połączone pojedynczą pętlą lontu detonującego.

Rosyjscy żołnierze nie zamknęli nawet frontowych drzwi, a pod kominkiem w sali głównej wciąż płonął ogień. Nagie ściany były upstrzone wulgarnymi napisami, podłoga odchodami i strzępami papieru, pozostałościami po ostatnim akcie we względnie ciepłym zamku.

Milko, Grentz i Kolnas przeszukali górne piętra.

Grutas dał znak Dortlichowi i zeszli razem do lochów. Krata broniąca dostępu do piwnicy z winem była otwarta, kłódka wyłamana.

Mieli tylko jedną latarkę. Jej żółtawe światło odbijało się od roztrzaskanego szkła. Na podłodze wały się puste butelki po starym, przednim winie, z szyjkami stłuczonymi przez pijących w pośpiechu złodziei. Pod ścianą leżał stół do degustacji, przewrócony przez szabrowników.

—Kurwa — powiedział Dortlich. — Nie zostawili ani łyka.

—Pomóż mi — odparł Grutas. Zachręściło szkło, odciągnęli stół. Za stołem znaleźli świecę i ją zapalili.

—Pociągnij za żyrandol - rzucił Grutas; Dortlich był wyższy.
- Lekko szarpnij, do dołu.

Odskoczyła półka. Gdy tylko drgnęła, Dortlich wyjął pistolet. Grutas wszedł do schowka. Dortlich za nim.

—Boże święty! — wykrzyknął.

—Dawaj ciężarówkę — rozkazał Grutas.

10

Litwa, 1946

Hannibal Lecter, lat trzynaście, stał na gruzowisku u stóp fosy w byłym zamku Lecterów i rzucał okruchy chleba do czarnej wody. Kuchenny ogród, otoczony przerośniętym żywopłotem, był teraz ogrodem kolchozowego sierocińca i rosła w nim głównie rzepa. Fosa i woda były dla Hannibala bardzo ważne. Fosa była czymś stałym i niezmiennym; w czarnej wodzie odbijały się chmury, które tak jak zawsze przepływały nad zębatymi basztami zamku.

Na mundurku miał karną koszulę z napisem: „Zakaz gry”. Zabroniono mu grać w piłkę na boisku za murami, ale wcale z tego powodu nie cierpiał. Mecz przerwano, kiedy nadjechał ciągnięty przez Cezara wóz z drewnem na opał. Cezar cieszył się, kiedy Hannibal odwiedzał go w stajni, ale nie lubił rzepy.

Chłopiec obserwował pływające w fosie czarne łabędzie. Miały dwa młodejeszcze puszyste; jedno płynęło teraz na grzbiecie matki, drugie za nią. Trzech przyczajonych na górze wyrostków rozchyliło żywopłot, żeby popatrzeć na Hannibala i na ptaki.

Samiec wyszedł na brzeg, żeby odpędzić intruza.

- Ten czarny sukinsyn zaraz mu przypieprzy - szepnął do kolegów blondyn imieniem Fiodor. - Dupek zesra się w gacie, tak samo jak ty, kiedy chciałeś podebrać im jajka. Zobaczmy, czy nasz niemowa umie płakać.

Hannibal rozłożył ręce, jak zwykle przedłużając je gałęziami wierzby, i łabędź wrócił do wody.

Rozczarowany Fiodor wyjął zza pazuchy gumową procę i kamień z kieszeni. Kamień trafił w brzeg fosy i błoto ochlapało Hannibalowi nogi. Hannibal podniósł wzrok, z kamienną twarzą spojrzął na Fiodora i pokręcił głową. Kolejny kamień rozbryzgał wodę tuż za łabędziątkiem. Hannibal poruszył gałęziami i zasyczał, odpędzając ptaki od brzegu.

Na zamku zadzwonił dzwonek.

Fiodor i jego koledzy odwrócili się rozradowani zabawą i nagle zza żywopłotu wyszedł Hannibal, wywijając długim wodorostem z wielką bryłą ziemi na końcu. Bryła trafiła Fiodora prosto w twarz, a wtedy Hannibal, o głowę niższy, zepchnął go na brzeg, zbiegł na dół, zanurzył oszołomionego chłopca w czarnej wodzie, przytrzymał i rękojęścią procy zaczął dźgać go w kark. Robił to z dziwnie obojętną twarzą, tylko oczy miał żywe; miał też czerwone kręgi na skraju pola widzenia. Obrócił go na plecy. Koledzy Fiodora zbiegli na brzeg, ale nie chcąc bić się z nim w wodzie, zawołali na pomoc nadzorcę. Krzycząc i przeklinając, pierwszy nadzorca Pietrow zsunął się wraz z innymi na dół. Zabrudził sobie błyszczące buty i podnosząc kij, uwalnął go błotem.

Wieczór w głównej sali zamku, odartej teraz ze swej świetności i zdominowanej przez wielki portret Józefa Stalina. Setka chłopców w mundurkach skończyła już kolację i stała na baczność przy stołach, śpiewając *Międzynarodówkę*. Lekko pijany kierownik sierocińca dyrygował nimi widelcem.

Nowo mianowany pierwszy nadzorca Pietrow i drugi nadzorca w bryczesach i długich butach przechadzali się między stołami, pilnując, żeby wszyscy śpiewali. Hannibal nie śpiewał. Miał posiniaczoną twarz, nie domykało mu się oko. Obserwował go siedzący przy sąsiednim stole Fiodor z obandażowaną szyją i poharatanymi policzkami. Miał palec na szynie.

Nadzorcy przystanęli przed Hannibalem. Ten wziął widelec i ukrył go w dłoni.

- Za dobrze jesteś urodzony, żeby z nami śpiewać, paniczu? - rzucił pierwszy. - Już nie jesteś paniczem, jesteś zwykłą sierotą i jak słowo daję, będziesz śpiewał!

I uderzył go na odlew tabliczką z zaciskiem na papiery. Hannibal nie zmienił wyrazu twarzy. Ani nie zaśpiewał. Z kącika ust popłynęła mu krew.

- To niemowa — powiedział drugi nadzorca. — Nie ma sensu go bić.

Pieśń się skończyła i w ciszy zadudnił głos pierwszego:

- Jak na niemowę, za głośno krzyczy przez sen. - I zamachnął się po raz drugi. Hannibal zablokował cios zaciśniętym w pięści widelcem i metalowe zęby wbiły się tamtemu w kłykcie. Nadzorca ruszył w lewo, żeby obejść stół.

- Stój! - Kierownik mógł być pijany, ale wciąż był kierownikiem. - Lecter, zgłosisz się do mnie do gabinetu.

W gabinecie stało wojskowe biurko i dwie połówki, a na biurku leżał stos teczek z dokumentami. To właśnie tutaj najbardziej czuło zmianę w zapachu zamku. Przedtem pachniało tu cytrynowym płynem do czyszczenia mebli i perfumami, teraz cuchnęło moczem z zimnego kominka. Okna były nagie, zdobiły je tylko rzeźbione ramy.

- To był pokój twojej matki? Panuje tu taka kobieca atmosfera. - Kierownik był człowiekiem kapryśnym, miłym albo okrutnym, zależnie od tego, jaką właśnie przeżywał porażkę. Miał małe, czerwone oczy i czekał na odpowiedź.

Hannibal kiwnął głową.

- Pewnie ciężko ci tu teraz mieszkać, co?

Hannibal milczał.

Kierownik wziął teczkę z biurka.

- Cóż, długo tu nie zostaniesz. Twój wuj zabiera cię do Francji.

11

Kuchnię rozświetlał tylko płonący pod płytą ogień. Stojący w mroku Hannibal obserwował pomocnika kucharza, który spał zaśliniony na krześle tuż obok pustej szklanki. Chłopiec patrzył na lampę naftową na półce tuż za nim. W jej kloszu igrał blask ognia.

Kucharz oddychał głęboko i regularnie, w nosie bulgotało mu od kataru. Hannibal zrobił kilka kroków po kamiennej posadzce, przystanął tuż za krzesłem i uderzył go wódczano-cebulowy odór oddechu śpiącego.

Druciany uchwyt lampy na pewno by zaskrzypiał. Lepiej chwycić ją za podstawę i za wierzch, przytrzymując klosz, żeby nie brzęczał. Jednym ruchem podnieść ją i zdjąć z półki. Już. Trzymał ją obiema rękami.

Głośny trzask, syk buchającej z polana pary i w chmurze iskier z paleniska wypadł rozpalony węgielek - wypadł, potoczył się i znie-ruchomiał niecałe trzy centymetry od filcowego buta kucharza.

Co było najbliżej, jakie narzędzie? Na blacie stał pojemnik, wielka łuska po naboju armatnim, pełna drewnianych łyżek i łopatek. Hannibal postawił lampę, wziął łyżkę i przesunął węgielek na środek podłogi.

Drzwi do lochu były w kącie. Gdy otworzyły się cicho, wszedł w absolutną ciemność i pamiętając o pierwszym podeście, zamknął je za sobą. Potarł zapalką o kamienny mur, zapalił lampę i znajomy-

mi schodami ruszył na dół, czując narastający chłód. Mijał piwnicę za piwnicą, szedł do tej z winem. Na niskich sklepieniach tańczyło światło lampy. Żelazna krata była otwarta.

Zamiast dawno już rozkradzionych win, na półkach leżały teraz gnijące warzywa, głównie rzepa. Zakonotował sobie, żeby wziąć kilka buraków cukrowych - Cezar jadał je z braku jabłek, chociaż barwiły mu wargi na czerwono i wyglądał wtedy tak, jakby się uszminował.

Widział, jak beczeszczono jego dom, jak wszystko rozkradano, konfiskowano i plugawiono, ale przez cały ten czas ani razu tu nie był. Postawił lampę na półce i odsunął od ściany kilka worków z ziemniakami i cebulą. Wszedł na stół i pociągnął za żyrandol. Nic. Pociągnął jeszcze raz. Potem zawisł na nim całym ciężarem ciała. Żyrandol opadł nieco w dół z gwałtownym szarpnięciem, które wznieciło chmurę kurzu, i głośno zgrzytnęła tylna półka. Hannibal zeskoczył na podłogę. Wsunął palce w szparę i pociągnął.

Półka ustąpiła z przeraźliwym piskiem zawiasów. Czujnie nadłuchując, gotów w każdej chwili zdmuchnąć płomień, wrócił po lampę. Ale nie, nie zdarzyło się nic.

To właśnie tu, w tym pomieszczeniu po raz ostatni widział kucharza i na chwilę stanęła mu przed oczami jego duża, okrągła twarz, stanęła zupełnie wyraźnie, bez mglistej przesłony, jaką czas rozwiesza przed obrazem zmarłych.

Wziął lampę i wszedł do schowka za piwnicą. Schowek był pusty.

Pozostała tylko jedna złocona rama z frędzlami w miejscach, gdzie wycięto płótno. Był to największy obraz w domu, romantyczna panorama bitwy pod Żalgiris, gloryfikująca osiągnięcia Hannibala Ponurego.

Hannibal Lecter, ostatni z rodu, stał w rozszabrowanym zamku swego dzieciństwa, patrząc na pustą ramę ze świadomością, że jest z Lecterów i zarazem nie jest. Wspominał matkę, która pochodziła ze Sforzów, wspominał kucharza i pana Jakova, przedstawicieli tradycji

jakże odmiennych od jego. Widział ich w pustej ramie obrazu, jak siedzą przy ogniu w domku myśliwskim.

Nie był Hannibalem Ponurym pod żadnym zrozumiałym dla siebie względem. Prowadził życie pod malowanym sufitem dzieciństwa. Lecz sufit ten był cienki jak niebo i jak niebo nieprzydatny. Tak przynajmniej uważał.

Wszystkie przepadły, obrazy z twarzami, które znał tak dobrze jak twarze najbliższej rodziny.

Pośrodku pomieszczenia był loch, wyschnięta studnia, do której Hannibal Ponury wrzucał swoich wrogów, by szybko o nich zapomnieć. W późniejszych latach ogrodzono ją, żeby zapobiec wypadkom. Hannibal podniósł lampę i z mroku wychynęło pół szybu. Ojciec opowiadał mu, że kiedy był mały, w studni leżały ludzkie kości.

Kiedyś, żeby sprawić mu radość, opuszczono go tam w koszu. Na ścianie, tuż nad dnem, było wyryte słowo. Teraz go nie widział, lecz wiedział, że wciąż tam jest, że wciąż są tam koślawe litery wydrapane w ciemności przez umierającego człowieka. „*Pourquoi?*”

12

Sieroty spały w długiej sypialni. Ułożono je według wieku. Na końcu przeznaczonym dla najmłodszych pachniało przedszkolnym zapachem ludzkiej wylęgarni. Dzieci tuliły się do siebie przez sen i obejmowały, niektóre wzywały martwych bliskich, widząc na ich twarzach troskę i czułość, której już nigdy nie miały zaznać.

Nieco dalej, pod kocami onanizowali się starsi chłopcy.

Każde dziecko miało szafkę u stóp łóżka i kawałek miejsca na ścianie, gdzie mogło powiesić rysunek czy - o wiele rzadziej - zdjęcie kogoś z rodziny.

Rząd topornych rysunków kredkami nad rzędem łóżek. Nad łóżkiem Hannibala doskonałe studium dziecięcej ręki i ramienia - kreda i ołówek - ręki w błagalnym, przykuwającym uwagę geście, skróconej perspektywą pulchnej rączki, którą dziecko chce coś lub kogoś poklepać. Na nadgarstku ma bransoletkę. Pod rysunkiem śpi Hannibal z drgającymi powiekami. Ma zaciśnięte zęby, nozdrza rozszerzają mu się i zwięzają od trupiego zapachu.

Domek myśliwski w lesie. Hannibal i Misza owinięci zimnym, zakurczonym kocem, zielone i czerwone refleksy światła w zalodzonych oknach. Wieje porywisty wiatr i przez chwilę komin nie ciągnie. Pod stromą powalą i nad podestem zawisa siny dym — gwałtownie otwierają się drzwi, Hannibal podnosi głowę i patrzy przez drewniane tralki. Na płycie stoi wanienska Miszy: Garkothuk gotuje w niej czaszkę jelonka z kilkoma wyschniętymi bulwami. Przetaczające się w bulgoczącym wrzasku rogi uderzają w ścianki

wanny, jakby ostatnim wysiłkiem zwierzę próbowało ją bósć. W podmuchu zimnego powietrza do środka wchodzi Niebieskooki i Płetworęki; zrzucają rakiety śnieżne i opierają je o ścianę. Pozostali tłoczą się wokół nich, Ten od Miski kuśtyka z kąta na odmrożonych stopach. Niebieskooki wyjmując z kieszeni trzy małe, martwe, chude ptaki. Wraz z piórami i ze wszystkim wkłada je do wrzątku, żeby zmiękły i żeby można było obedrzeć je ze skóry. Liże zakrwawioną skórę, ma krew i pióra na twarzy, a tamci podchodzą jeszcze bliżej. Niebieskooki daje im skórę, a oni rzucają się na nią jak psy.

Niebieskooki podnosi zakrwawioną twarz, patrzy na podest, wypłukuje pióro i mówi:

— Musimy coś jeść, bo umrzemy.

Wrzucają do ognia rodzinny album Lederów i papierowe zabawki Miszy, jej zamek i lalki. Hannibal stoi teraz przy palenisku — znalazł się tam zupełnie nagle, nie ma sensu schodzić- a chwilę później są już w stodole, gdzie na słomie walają się dziecięce ubranka, obce i sztywne od krwi. Tamci podchodzą bliżej, tamci ich macają.

— Weź ją, ona i tak umrze. Chodźmy się pobawić, chodźmy się pobawić.

Zabierają ją ze śpiewem na ustach.

— Ein Mannlein steht im Waldeganz still und stumm...

Hannibal trzymając za rękę, nie puszcza, wloką ich do drzwi. Hannibal wciąż nie chce jej puścić, więc Niebieskooki zatrząskuje mu na rękę ciężkie wrota stodoly. Znowu je otwiera i wychodzi do niego z kijem: głuchy stukot w głowie, potworne ciosy, rozbłyśki światła za oczami, walenie w drzwi i krzyk Miszy:

— Anniba!

Hannibal krzyczy przez sen: „Misza! Misza!” i pierwszy nadzorca wali kijem w ramę łóżka.

— Zamknij się! Zamknij mordę! Wstawaj, zasrańcu! - Zerwał po-
ściel z łóżka, rzucił mu koc. Dźgnął go kijem, po zimnej ziemi popędził do szopy na narzędzia i wepchnął do środka. W szopie wisały narzędzia ogrodowe, sznury i kilka narzędzi stolarskich. Nadzorca powiesił lampę na kołku i podniósł kij. Pokazał mu zabandażowaną rękę.

— Teraz mi za to zapłacisz.

Hannibal skulił się i jakby skurczył, powoli krążąc, wychodząc poza krąg światła, nie odczuwając niczego, czemu mógłby nadać konkretną nazwę. Nadzorca dostrzegł strach w jego oczach: ruszył za nim, dał się odciągnąć od lampy. Uderzył go mocno w udo. Ale Hannibal był już przy lampie. Chwycił sierp i zdmuchnął płomień. Położył się na podłodze, obiema rękami ścisnął sierp tuż nad głową, usłyszał w ciemności kroki tamtego, uderzył na oślep, chybił i po chwili doszedł go trzask drzwi i brzęk łańcucha.

- Dobrą stroną bicia niemowy jest to, że nie doniesie - powiedział pierwszy.

On i jego zastępca patrzyli na ciemnoniebieskiego delahaye'a parkującego na wyżwirowanym podjeździe zamku, wdzięczny przykład francuskiego nadwozia z proporczykiem sowieckiego i wschodnioniemieckiego korpusu dyplomatycznego na przednim zderzaku. Limuzyna miała w sobie coś egzotycznego, coś z przedwojennych francuskich samochodów. Była zmysłowa, zwłaszcza dla oczu tych, którzy przywykli do kanciastych czołgów i łażików. Pierwszy nadzorca miał ochotę wziąć nóż i wydrapać na jej drzwiczkach słowo: „Chuj”, ale kierowca był rosty i czujny.

Hannibal widział, jak przyjechała. Był w stajni, ale nie wybiegł, nie podbiegł. Patrzył, jak wuj wchodzi do zamku w towarzystwie sowieckiego oficera.

Przyłożył dłoń do policzka Cezara. Przeżuując owies, Cezar odwrócił długą łeb w jego stronę. Rosyjski stajenny dobrze o niego dbał. Hannibal potarł końską szyję i przysunął się do nadstawionego ucha, lecz z jego ust nie wydobył się żaden dźwięk. Potem pocałował Cezara między oczy. Na wyżkach, między podwójnymi ścianami, ukrył lornetkę ojca. Powiesił ją sobie na szyi i przeszedł przez dobrze ubity płac defiladowy.

Drugi nadzorca obserwował go ze schodów. W torbie był skromny dobytek Hannibala.

13

Przez okno w gabinecie kierownika Robert Lecter widział, jak za paczkę papierosów jego kierowca kupuje od kucharza małą kiełbasę i kawałek chleba. Jego brat najprawdopodobniej nie żył, Lecter był więc teraz hrabią. Zdążył już przywyknąć do tego tytułu, używał go bezprawnie od lat.

Kierownik nie przeliczył pieniędzy, ale zerknąwszy na pułkownika Timkę, schował je do kieszeni na piersi.

- Panie hrabio... Towarzyszu Lecter, przed wojną widziałem w Luwrze dwa wasze obrazy i kilka reprodukcji w „Górnice”. Bardzo podziwiam wasze dzieła.

Hrabia lekko skłonił głowę.

- Dziękuję. Siostra Hannibala: co o niej wiecie?

- Zdjęcie małego dziecka niewiele tu pomoże - odparł kierownik.

- Pokazujemy je w sierocińcach - wtrącił pułkownik Timka. Był w mundurze wojsk ochrony pogranicza i w okularach w stalowych ramkach, które połyskiwały w duecie z jego srebrnymi zębami.-To musi potrwać. Tylu ich jest.

- A muszę wam jeszcze powiedzieć - dodał kierownik - że w lasach pełno jest... szczątków tych, których jak dotąd nie zidentyfikowano.

- Hannibal nie wypowiedział ani słowa? - spytał hrabia.

- Przynajmniej nie przy mnie. Ale mówić potrafi, przez sen wykrzykuje imię siostry. „Misza. Misza”. - Kierownik przerwał, szu-

kając odpowiednich słów. - Towarzyszu Lecter, na pańskim miejscu byłbym względem niego bardzo ostrożny do czasu, aż lepiej go pan pozna. Najlepiej by było, gdyby Hannibal nie bawił się z innymi chłopcami, dopóki się u was nie zadomowi. W jego towarzystwie zawsze ktoś obrywa.

- Znęca się nad słabszymi?

- Nie, bije tych, którzy się znęcają. Nie przestrzega hierarchii. Zawsze bije się z roślejszymi; bardzo szybko z nimi sobie radzi, czasem dotkliwie ich kaleczy. Może być niebezpieczny dla kogoś większego i silniejszego. Maluchom nie zagraża. Pozwala nawet im z siebie żartować. Niektóre myślą, że jest głuchoniemy i w jego obecności nazywają go wariatem. Oddaje im swój deser, chociaż deser to u nas rzadkość.

Pułkownik Timka spojrział na zegarek.

- Musimy jechać - powiedział. - Zaczekajcie na mnie w samochodzie, dobrze?

Gdy hrabia wyszedł, wyciągnął rękę. Kierownik westchnął i podał mu pieniądze.

Pułkownik błysnął okularami, zaświecił zębami, polizał kciuk i zaczął je liczyć.

14

Gdy od chateau dzieliło ich kilka kilometrów, spadł przelotny deszcz i kurz osiadł. W podwozie uwalanego błotem delahaye'a zastukały kamyki, w środku powiało zapachem ziół i świeżej ziemi. Potem deszcz ustał i zapadł pomarańczowy zmierzch.

W tym dziwnym świetle zamek zdawał się bardziej elegancki niż okazały. Półokrągłe filarki w jego licznych oknach wyglądały jak ciężka od rosy pajęczyna. Dla wypatrującego znaków Hannibala zakrzywiona loggia chateau była rozchodzącą się na wszystkie strony falą z zasady Huygensa.

Przed zepsutym niemieckim czołgiem, którego lufa sterczała z foyer, stały cztery konie pociągowe, parując po deszczu. Duże konie, wielkie jak Cezar. Hannibal ucieszył się na ich widok, pragnął, żeby były jego totemem. Czołg stał na rolkach. Woźnica przemawiał do koni, konie czujnie strzygły uszami i niczym zepsuty ząb, centymetr po centymetrze, wyciągały maszynę z zamku.

- Niemcy rozwalili z działa drzwi i ukryli go tam przed sowieckimi samolotami — wyjaśnił hrabia, gdy samochód się zatrzymał; zdążył już przywyknąć do tego, że chłopiec nie odpowiada. - Zostawili go tu i uciekli. Nie mogliśmy go wyciągnąć, więc ozdobiliśmy to szkaradztwo skrzynkami na kwiaty i przez pięć lat obchodziliśmy je bokiem. Ppnieważ mogę już sprzedawać moje „wywrotowe” obrazy, stać nas na wynajęcie koni i woźnicy. Chodź, Hannibalu.

Wypatrywali ich zarządcą i gospodyni, którzy wyszli im na spotkanie z parasolem na wypadek, gdyby znowu się rozpadało. Przybiegł z nimi mastiff, suka.

Zamiast od razu pędzić do wejścia, wuj stanął przed nimi i mówiąc przez ramię, przedstawił go na podjeździe, co bardzo się Hannibalowi spodobało.

- To jest mój bratanek Hannibal. Należy teraz do naszej rodziny i cieszymy się, że tu jest. To jest madame Brigitte, moja gospodyni. A to Pascal, dzięki któremu wszystko się tu kręci.

Madame Brigitte była kiedyś ładną pokojówką. Jako dobra obserwatorka, oceniała Hannibala po jego zachowaniu.

Suka powitała hrabiego z wielkim entuzjazmem i zachowała rezerwę wobec Hannibala. Parsknęła, wydmuchując powietrze chrapami. Hannibal otworzył dłoń. Suka obwąchała ją i pytająco podniosła oczy.

- Trzeba znaleźć dla niego jakieś ubranie - powiedział hrabia. — Poszukaj w moich szkolnych kufrach na strychu, potem coś mu kupimy.

-A jego siostrzyczka? - spytała Brigitte.

- Nie, jeszcze nic nie wiadomo. - Hrabia pokręcił głową i zamknął temat.

Obrazy, jakie Hannibal zarejestrował, idąc w stronę domu: mokry, błyszczący bruk na dziedzińcu, błyszcząca po deszczu sierść koni, błyszcząca wilgocią wrona pod rynną na dachu, ruch zasłon w oknie na piętrze: błyszczące włosy pani Murasaki, potem jej sylwetka.

Otworzyła okno. Jej twarz musnęło wieczorne światło i Hannibal, prosto z bezmiernego koszmaru, zrobił pierwszy krok na moście marzeń.

Przeprowadzka z kołchozowych koszar do prywatnego domu przynosi słodką ulgę. Zamkowe meble były dziwne i przyjazne, mieszanina stylów i okresów ze strychu, gdzie czekały, aż hitlerowscy szabrownicy wreszcie uciekną. Podczas okupacji najcenniejsze francuskie meble wywieziono pociągami do Niemiec.

Dzieł Roberta Lectera oraz innych francuskich mistrzów pożądał Hermann Göring i sam Fiihrer. Zaraz po zajęciu Francji Göring kazał aresztować Roberta Lectera jako „wywrotowego słowiańskiego artystę” i zająć jak najwięcej jego „dekadenckich” obrazów, żeby „ochronić” ludzi przed ich szkodliwym wpływem. Skonfiskowane trafiły do prywatnych kolekcji jego i Hitlera.

Kiedy alianci uwolnili hrabiego z więzienia, on i pani Murasaki próbowali się jakoś pozbierać, a służba pracowała za jedzenie, dopóki hrabia znowu nie wziął pędzla do ręki.

Teraz dopilnował, żeby bratanek zadomowił się w swoim nowym pokoju. Pokój, duży i jasny, ozdobiono draperiami i plakatami, żeby ożywić kamień. Wysoko na ścianie wisiła maska do kendo i dwa bambusowe miecze. Gdyby tylko mógł mówić, Hannibal spytałby o Madame.

Pobył sam niecałą minutę, bo zaraz ktoś zapukał do drzwi. W progu stała Chiyoh, pomocnica pani Murasaki, japońska dziewczynka w jego wieku z dwoma kucykami koło uszu. Otaksowała go spojrzeniem i niczym błona migawkowa jastrzębia, jej oczy momentalnie przesłonił mglisty welon.

- Pani Murasaki pozdrawia cię i wita - zaczęła. - Pozwól ze mną. — Usłużnie, lecz stanowczo zaprowadziła go do łaźni w dawnej tłoczarni w zamkowej przybudówce.

Żeby sprawić przyjemność żonie, hrabia Lecter przekształcił doczarnię w japońską łaźnię i do kadzi płynęła teraz woda z podgrzewacza zrobionego z miedzianego destylatora do koniaku, urządzenia spełniającego niezmiernie proste zadania w niezmiernie skomplikowany sposób. Pachniało tam drewnem i rozmarynem. Obok kadzi stały srebrne świeczniki, które po wojnie wyjęto z ukrycia. Chiyoh nie zapaliła świec. Nie wiedząc, jaką Hannibal ma w domu pozycję, uznała, że do chwili wyjaśnienia tej kwestii wystarczy mu zwykła żarówka.

Dała mu ręczniki i szlafrok, wskazała prysznic w kącie.

- Zanim wejdiesz do wody, umyj się tam i dobrze wyszoruj. Po kąpieli kucharz zrobi ci omlet, a potem musisz odpocząć. - Wykrzywiła twarz w czymś na kształt uśmiechu, wrzuciła do kadzi pomarańczę i zaczęła za drzwiami, aż Hannibal się rozbierze. Gdy podał jej ubranie, ujęła je ostrożnie dwoma palcami, owinęła wokół kija i zniknęła.

Obudził się wieczorem, gwałtownie, tak jak w sierocińcu. Dopóki nie przypomniał sobie, gdzie jest, poruszał tylko oczami. Był czysty, leżał w czystym łóżku. Przez okno wpadało ostatnie światło długiego francuskiego zmierzchu. Na krześle obok łóżka wisiało bawełniane kimono. Włożył je. Kamienna posadzka była przyjemnie chłodna, kamienne schody mocno wydeptane, tak jak schody w ich rodzinnym zamku. Wyszedł na dwór i pod fiołkowym niebem usłyszał odgłosy z kuchni, krzątanicę przed kolacją.

Zobaczył go pies i zanim wstał, dwa razy machnął ogonem.

Z łaźni dochodziły dźwięki japońskiej lutni. Ruszył w tamtą stronę. Zakurzone okno jarzyło się od blasku świec. Zajrzał do środka. Na brzegu kadzi siedziała Chiyoh, szarpiąc struny długiej, eleganckiej *koto*. Tym razem zapaliła świece. Cichutko chichotał podgrzewacz. Strzelając w górę iskrami, pod podgrzewaczem trzaskał ogień. W wodzie była pani Murasaki. Pani Murasaki była w wodzie niczym kwiat w zamkowej fosie, gdzie pływały nieme łabędzie. Patrząc niemy jak one, Hannibal rozpostarł ręce, tak jak one rozpościerały skrzydła.

Odszedł od okna, dziwnie ociężały w wieczornej szarówce wrócił do swego pokoju i się położył.

Sufit sypialni państwa domu jaśniej od resztek żaru z paleniska. Hrabia Lecter ożywia się w półmroku pod dotykiem rąk i głosu pani Murasaki.

- Tęskniłam za tobą tak jak wtedy, kiedy byłeś w więzieniu - mówiła. - Przypomniał mi się wiersz Ono no Komachi, jednego z naszych przodków sprzed tysiąca lat.

- Hmm...

- Była bardzo namiętną poetką.

- Powiedz jaki, nie mogę się już doczekać.

- „*Hito ni awan tsuki no naki yo wa/omiokite/mune hashiribi ni/kokoro yaki ori*”. Słyszysz tę muzykę?

Zachodnie ucho Roberta Lectera żadnej muzyki tam nie słyszało, lecz wiedząc, gdzie jej szukać, hrabia z entuzjazmem odparł:

- O tak. Co to znaczy?
- „Nie mogę się z nim widzieć/w tę bezksiężycową noc/Leżę, nie śpiąc, tęskniąc i płonąc/piersi me w ogniu, serce w płomieniach”.

- Boże, Sheba...

Wyśmienicie zatroszczyła się o to, żeby zaoszczędzić mu wysiłku.

Zegar stojący w zamkowym holu mówi, że już późno i w kamiennych korytarzach rozbrzmiewa echo cichego bim-bom. Suka kręci się w budzie i odpowiadając zegarowi, trzynastcie razy krótko wyje. Leżący w czystym łóżku Hannibal przewraca się przez sen. I śni.

W stodole jest zimno, a Niebieskooki i Płetworęki zsunęli im do pasa ubranie i macają ich przedramiona. Pozostali, ci z tyłu, śmieją się pod nosem i krążą jak hieny, które muszą poczekać. Oto ten, który zawsze dzieli się jedzeniem. Misza kaszle, ma gorączkę, odwraca głowę, żeby nie czuć ich oddechu. Niebieskooki chwytą ich za tańcuch na szyi. Na twarzy ma krew i pióra ptaka, którego skórę pożarł.

Zniekształcony głos Tego od Miski:

- *Weź ją, ona i tak uumrze. A on będzie dłużej świeżuuutki...*

Niebieskooki do Miszy, makabrycznie ją zwodząc:

- *Chodźmy się pobawić, chodźmy się pobawić]*

Zaczyna śpiewać i dołącza do niego Płetworęki:

- *Ein Mannlein steht im Walde ganz still und stumm,*

Es hat von lauter Purpur ein Mantelein um.

Ten od Miski przynosi miskę. Płetworęki podnosi siekiere, Niebieskooki chwytą Misze, Hannibal rzuca się na niego, gryzie go w policzek, wisząca za rączkę Misza odwraca się do niego i...

- *Misza, Misza!*

Krzyk rozbrzmiewa w kamiennych korytarzach i do pokoju wpadają hrabia i pani Murasaki. Hannibal rozerwał zębami poduszkę

i wszędzie fruwać pióra. Chłopiec warczy, charczy, przeraźliwie krzyczy, rzuca się na łożku, z kimś walczy, zgrzyta zębami. Hrabia przygniata go całym ciężarem ciała, owija mu ręce kocem, przydusza kolanami.

- Spokojnie, spokojnie.

Bojąc się, że Hannibal odgryzie sobie język, pani Murasaki ściąga pasek od szlafroka, mocno ściska mu nos i gdy chłopiec otwiera usta, wkłada mu pasek między zęby

Hannibal drży i nieruchomieje jak umierający ptak. Pani Murasaki ma rozchylony szlafrok i tuli go do siebie, przytula do piersi jego twarz mokrą od łez gniewu i oklejoną ptasimi piórami.

Ale to hrabia pyta:

- Już dobrze?

16

Wstał wcześniej i wodą z dzbanka obmył twarz w misce na stole nocnym. W wodzie pływało piórko. Wieczorne wspomnienia były mgliste i poplątane.

Usłyszał szelest papieru na posadzce: ktoś wsunął kopertę pod drzwi. Do listu był przyklejony kotek wiosennej bazi. Hannibal ujął kartkę złożonymi w łódkę dłońmi i przyłożył ją do twarzy.

Hannibalu

Będzie mi bardzo miło, jeśli zechcesz odwiedzić mnie w saloniku o godzinie koźła. (We Francji to 10 rano).

Murasaki Shikibu

Hannibal Lecter, lat trzynaście, z przylizanymi wodą włosami stanął przed drzwiami saloniku. Zza drzwi dochodził dźwięk lutni. Nie była to ta sama piosenka, którą słyszał w łaźni. Zapukał.

- Proszę.

Pracownia i salon, dwa w jednym: pod oknem ramka do robótek ręcznych i stolik do kaligrafii.

Pani Murasaki siedziała przy niskim stoliku do herbaty. Miała wysoko upięte włosy, we włosach hebanowe szpilki. Układała kwiaty i rękawy jej kimona cichutko szeptały.

Dobre maniery wszystkich kultur łączą się ze sobą we wspólnym celu. Pani Murasaki powitała go powolnym, wdzięcznym skinieniem głowy.

Hannibal skłonił się od pasa w górę, tak jak uczył go ojciec. Zobaczył smugę dymu z kadzidła, która przecinała okno jak lecący w oddali klucz ptaków, niebieską żyłkę na przedramieniu pani Murasaki z kwiatem w ręku i różowy płatek jej podświetlonego słońcem ucha. Zza parawanu dochodziły ciche dźwięki lutni.

Pani Murasaki poprosiła, żeby usiadł naprzeciwko. Mówiła przyjemnym altem, w którym pobrzmiwały nutki obce dla zachodniej skali głosowej. Dla Hannibala jej mowa brzmiała jak przygodna muzyka poruszanych wiatrem dzwoneczków.

-Jeśli nie chcesz rozmawiać po francusku, angielsku czy po włosku, możemy użyć słów japońskich, na przykład: *kieuseru*. *Kieusem* znaczy „znikać”. - Odłożyła kwiat i podniosła wzrok. - Hiroszima, cały mój świat zniknął w rozbłysku ognia.Twój ci odebrano. Dlatego musimy stworzyć sobie świat nowy. Razem.Teraz.Tu, w tym pokoju.

Wzięła z maty kilka innych kwiatów i położyła je na stoliku obok wazy. Hannibal słyszał szelest liści, słyszał szept rękawów kimona.

- Gdzie byś je włożył, żeby całość wyglądała jak najładniej? Włóż je, gdzie chcesz.

Hannibal spojrział na kwiaty.

- Kiedy byłeś mały, twój ojciec przysyłał nam twoje rysunki. Masz obiecujące oko. Jeśli wolisz tę kompozycję narysować, weź blok. Leży obok ciebie.

Hannibal się zastanowił. Podniósł kwiaty, wziął nóż. Popatrzył na łukowate okna, na łukowaty kominek, na czajnik nad ogniem. Przyciął łądygi i włożył kwiaty do wazy, tworząc wektor łączący bukiet z krzywiznami pokoju. Odcięte kawałki łądygi położył na stole.

Pani Murasaki robiła wrażenie zadowolonej.

- Aaa... Nazwalibyśmy to *moribana*, styl skośny. - Podała mu jedwabście ciężką piwonię. -A gdzie umieścićbyś ją? A może w ogóle byś z niej zrezygnował?

Zakipiała i zawrzała woda w czajniku. Hannibal usłyszał to, zerknął na jej wzburzoną powierzchnię, zmieniła mu się twarz i pokój zniknął.

Wanienka Miszy na płycie w domku myśliwskim, czaszka jelonka w gotującej się wodzie, rogi, które uderzają w ścianki, tak jakby zwierzę próbowało się uwolnić. Grzechoczące w wodzie kości.

Wrócił do siebie, wrócił do pokoju pani Murasaki i po stole potoczył się zakrwawiony kwiat piwonii, a tuż obok zaklekotał nóż. Opanował się i wstał, trzymając z tyłu skaleczoną rękę. Skłonił się i ruszył do wyjścia.

- Hannibalu.

Otworzył drzwi.

- Hannibalu. - Pani Murasaki też wstała i szybko do niego podeszła. Wyciągnęła rękę, ściągnęła na siebie jego wzrok, nie dotknęła go, pokiwała na niego palcami. Wzięła go za skaleczoną rękę, a on zarejestrował ten dotyk oczami, lekkim zwężeniem źrenic.

- Trzeba zszyc. Serge zawiezie nas do miasta.

Hannibal pokręcił głową i wskazał ramę do robótek ręcznych przy oknie. Pani Murasaki patrzyła mu w oczy, dopóki nie zyskała całkowitej pewności.

- Chiyoh, wygotuj igłę i nici.

Przy oknie, w dobrym świetle, japońska dziewczynka podała jej igłę i parującą od wrzątku nić nawiniętą na hebanową szpilkę do włosów. Pani Murasaki przytrzymała mu rękę i założyła na palec sześć równych szwów. Na jej białe, jedwabne kimono spadły krople krwi. Hannibal obserwował ją, kiedy szyla. Nie okazywał żadnej reakcji na ból. Wydawało się, że myśli o czymś innym.

Patrzył, jak nić rozwija się ze szpilki i mocno zaciska. Pomyślał, że łuk igielnego ucha jest funkcją średnicy szpilki. Kartki z książki Huy-gensa rozrzucone na śniegu i posklejane mózgiem.

Chiyoh przyłożyła liść aloesu i pani Murasaki zabandażowała mu rękę. Kiedy skończyła, Hannibal podszedł do stolika, wziął piwonię i przyciął łodygę. Potem włożył kwiat do wazy, zamykając wytworną kompozycję. Spojrzał na panią Murasaki i Chiyoh.

Przez jego twarz przebiegło drżenie, podobne do drżenia wzburzonej wody, i spróbował powiedzieć: „Dziękuję”. Nagrodziła ten

wysiłek swoim najłżejszym i najpiękniejszym uśmiechem, ale nie pozwoliła mu długo próbować.

- Pójdiesz ze mną? Pomożesz mi z kwiatami?

Poszli na strych.

Drzwi na strych pochodziły z innej części domu; była na nich wyrzeźbiona twarz, grecka maska komiczna. Pani Murasaki miała lampion i poprowadziła go przestronnym strychem, mijając trzechsetletnią kolekcję szpargałów, kufrów, bożonarodzeniowych ozdób, wiklinowych mebli, kostiumów kabuki i Noh, i rząd naturalnej wielkości marionetek, które wywieszało się na święta.

Zarys przesłoniętego okna mansardowego na strychu i ołtarzyk w blasku świecy, poświęcona bogom półka naprzeciwko okna — na ołtarzyku zdjęcia przodków pani Murasaki i Hannibala. Nad zdjęciami leciał klucz papierowych żurawi origami, mnóstwo żurawi. Było tu również zdjęcie rodziców Hannibala zrobione w dniu ich ślubu. Hannibal przyjrzał się im. Matka robiła wrażenie szczęśliwej. Teraz palił się tylko lampion w jego rękę -jej ubranie nie płonęło.

Tuż obok wyczuł czyjąś przytłaczającą obecność, tuż obok i nad nim - spojrzął w ciemność. Kiedy pani Murasaki podniosła żaluzje, załało go poranne światło, jego i tę wielką mroczną postać, załało okute w zbroję stopy, wojenny wachlarz w stalowej rękawicy, napierśnik, wreszcie żelazną maskę i rogaty hełm samurajskiego dowódcy. Zbroja stała na podwyższeniu. Na stojaku przed nią leżały krótkie i długie miecze, sztylet *tanto* i topór wojenny.

- Kwiaty połóżmy tutaj - powiedziała pani Murasaki, robiąc miejsce przed zdjęciem jego rodziców. -Tu się za ciebie modlę i gorąco zalecam, żebyś modlił się za siebie, żebyś radził się rodziców i prosił ich o mądrość i siłę.

Hannibal skłonił głowę uprzejmie przed ołtarzykiem, lecz coraz bardziej przyciągała go zbroja: czuł jej obecność całym ciałem, tuż obok. Podszedł do stojaka, chciał dotknąć broni. Pani Murasaki powstrzymała go gestem ręki.'

-Ta zbroja stała przed wojną w paryskiej ambasadzie, kiedy mój ojciec był ambasadorem. Ukryliśmy ją przed Niemcami. Dotykam

jej tylko raz w roku. W dzień urodzin mojego praprapradziadka mam zaszczyt czyścić jego zbroję i broń, i smarować ją olejkami, kameliowym i goździkowym. Uroczy zapach.

Wyjęła korek z fiolki i dała mu powąchać.

Na podeście przed stojakiem leżał pergaminowy zwój rozwinięty tylko na tyle, że widać było pierwszy rysunek, samuraja w zbroi przyjmującego na audyencji poddanych. Podczas gdy pani Murasaki porządkowała ołtarzyk, Hannibal rozwinął zwój trochę bardziej i zobaczył drugi rysunek, na którym postać w zbroi przewodniczyła samurajskiej ceremonii prezentacji głów: każda miała tabliczkę z nazwiskiem przywiązaną do włosów albo do ucha, jeśli była tyśa.

Pani Murasaki odebrała mu łagodnie zwój i zwinęła go tak, że znowu widać było tylko jej przodka w zbroi.

- To było po bitwie pod zamkiem w Osace - wyjaśniła. - Są tu inne ciekawe zwoje, bardziej dla ciebie odpowiednie. Sprawiłbyś wujowi i mnie wielką radość, gdybyś stał się mężczyzną takimjakim był twój ojciec, jakim jest twój wuj.

Hannibal popatrzył na zbroję, zerknął na nią pytająco.

Pani Murasaki czytała mu z twarzy.

- I takim jak on? Do pewnego stopnia, ale nie tak okrutnym. - Ona też zerknęła na zbroję, jakby ta mogła ich podsłuchiwać, i lekko się uśmiechnęła. - Nie powiedziałabym tego przy nim po japońsku.

Podeszła bliżej z lampionem w rękę.

- Hannibalu, możesz uciec z krainy koszmarów. Możesz zostać, kim tylko zechcesz. Wkrocz na most marzeń. Wejdiesz nań ze mną?

Bardzo różniła się od jego matki. Nie była jego matką, mimo to czuł ją w piersi. Wpatrywał się w nią tak uporczywie, że chyba się trochę zaniepokoiła i postanowiła zmienić nastrój.

- Most marzeń prowadzi wszędzie, ale najpierw do gabinetu lekarskiego i do szkoły - powiedziała. - Chodź. Pójdiesz ze mną?

Hannibal poszedł, ale przedtem wyjął z bukietu zakrwawioną piwonię i położył ją na podeście przed zbroją.

Doktor J. Rufin miał gabinet w domu z maleńkim ogródkiem. Na dyskretnej tabliczce obok bramy widniało jego nazwisko i tytuły: *Docteur en Medecine, Psychiatre*.

Hrabia Lecter i pani Murasaki siedzieli na krzesłach w poczekalni razem z innymi pacjentami, z których kilku nie mogło spokojnie usiedzieć na miejscu.

W gabinecie doktora stały ciężkie wiktoriańskie meble: dwa fotele po przeciwnych stronach kominka, szezlong z frędzlastą narzutą, oraz stół do badania i sterylizator z nierdzewnej stali pod oknami.

Rufin, brodaty mężczyzna w średnim wieku, i Hannibal siedzieli w fotelach; doktor przemawiał do chłopca niskim, przyjemnym głosem.

— Patrząc, jak wahadełko metronomu kiwa się w lewo i prawo, i słuchając mojego głosu, zapadniesz w stan, który nazywamy snem na jawie. Nie każę ci nic mówić, ale chcę, żebyś odpowiadał na pytania jakimś dźwiękiem. Ogarnia cię spokój, unosisz się, płyniesz, zapadasz w sen.

Wahadełko stojącego na stoliku metronomu kiwało się tam i z powrotem. Na kominku tykał zegar ze znakami zodiaku i aniołkami. Doktor mówił, a Hannibal liczył tyknięcia, porównując ich częstotliwość z częstotliwością tyknięć metronomu. Synchronizowały ze sobą, lecz nie zawsze i zastanawiał się, czy licząc tyknięcia zsynchronizowane i mierząc długość wahadełka metronomu,

można obliczyć długość niewidocznego wahadła w zegarze. Podczas gdy doktor Rufin mówił do niego i mówił, on doszedł do wniosku, że można.

—Wydaj jakiś dźwięk, Hannibalu, jakkolwiek dźwięk.

Posłusznie obserwując wahadło metronomu, Hannibal zatrząsał językiem i dolną wargą, wydając dźwięk przypominający grube pierdnięcie.

— Bardzo dobrze - powiedział doktor Rufin. - Dalej śniesz na jawie. A jakiego dźwięku użyjemy na: „nie”? Na: „nie”, Hannibalu, na: „nie”.

Hannibal znów zapierdział ustami, tym razem cienko, wypuszczając powietrze tuż pod górnymi dziąsłami.

— Nawiązaliśmy nic porozumienia, dobrze sobie radzisz. Myślisz, że możemy teraz pójść dalej?

Odpowiedź Hannibala była tak głośna, że usłyszano ją aż w poczekalni, gdzie pacjenci wymienili niespokojne spojrzenia. Hrabia Lecter założył nawet nogę na nogę i odchrząknął, a pani Murasaki powoli przewróciła swoimi ślicznymi oczami.

—To nie ja — powiedział jegomość podobny do wiewiórki.

—Hannibalu, wiem, że źle sypiasz — mówił doktor Rufin. —Jesteś teraz spokojny, wciąż śniesz na jawie: czy możesz mi powiedzieć, co ci się śni?

Licząc Łyknięcia, Hannibal odpowiedział tak jak poprzednio, chociaż tym razem w odgłosie tym pobrzmiwała nutka zadumy.

Zamiast rzymskiej cyfry IIII, po drugiej stronie VIII na cyferblacie zegara była IV. Hannibal zastanawiał się, czy oznacza to, że zegar bije po rzymsku, podwójnie, że jedno uderzenie znaczy: jest piąta, a drugie: jest pierwsza.

Doktor podał mu notatnik.

— Czy mógłbyś spisać rzeczy, które widzisz we śnie? Często wzywasz przez sen swoją siostrę. Widzisz ją wtedy?

Hannibal kiwnął głową.

Jedne zegary na zamku Lecterów były po rzymsku, inne nie, ale te, które były, wszystkie bez wyjątku, miały IV zamiast III. Raz pan Jakov otworzył jeden z nich, żeby zademonstrować, jak taki zegar działa i opowiedział mu o Knibbie i jego wczesnych rzymskich czasomierzach - byłoby dobrze zajrzeć myślą do Sali Zegarów i jeszcze raz obejrzeć werk. Miał ochotę zrobić to już teraz, ale doktor chyba by tego nie zniósł.

- Hannibalu. Hannibalu. Napiszesz, co widzisz, kiedy przypominasz sobie ostatnie chwile z siostrą? Napiszesz, co sobie wtedy wyobrażasz?

Hannibal pisał, nie patrząc na rękę, licząc Łyknięcia metronomu i Łyknięcia zegara.

Zerknąwszy na notatnik, doktor Rufus nabrał otuchy.

-Widzisz jej zęby? Tylko jej małe ząbki? Gdzie je widzisz?

Hannibal wyciągnął rękę, zatrzymał wahadełko, zmierzył wzrokiem jego długość, ocenił położenie ciężarka na skali metronomu. I napisał: „W wychodku. Czy mogę otworzyć ten zegar?”

Czekał w poczekalni razem z innymi pacjentami.

-To ty Zrobiłeś, nie ja - powiedział ten wiewiórkowaty. - Mógłbyś się chociaż przyznać. Masz gumę?

- Próbowałem wypytywać go dalej, ale zamknął się w *sobie* - mówił doktor Rufin. Hrabia stał za krzesłem pani Murasaki.

- Szczerze mówiąc, nie mogę go rozgryźć. Zbadałem go i jest zupełnie zdrowy. Ma blizny na głowie, ale czaszka jest cała, bez śladów pęknięć czy wgnieceń. Domyślam się jednak, że półkule jego mózgu działają niezależnie od siebie, tak jak w przypadku niektórych urazów głowy, kiedy to komunikacja między półkulami ulega zakłóceniu. Hannibal potrafi myśleć o kilku rzeczach naraz, nie rozprasząc się i nie tracąc wątku, a o jednej«z nich zawsze myśli tylko dla zabawy.

Blizna na szyi pochodzi od przymarzniętego do skóry łańcucha. Widziałem podobne tuż po wojnie, kiedy otwarto obozy. Nie chce

powiedzieć, co się stało z siostrą. Myślę, że wie, bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie, i właśnie na tym polega całe niebezpieczeństwo: umysł przypomina sobie tylko to, co jest w stanie, i to we własnym tempie. Hannibal przypomni sobie, kiedy będzie mógł to znieść.

Nie ponaglałbym go, hipnoza też nic tu nie da. Jeśli przypomni sobie za wcześnie, zamknie się w sobie na zawsze, zamarźnie, żeby uciec od bólu. Będzie mieszkał u państwa?

- Tak - odparli szybko chórem.

Rufin kiwnął głową.

- Proszę wciągnąć go w życie rodzinne. Kiedy z tego wyjdzie, przywiąże się do państwa bardziej, niż możecie to sobie wyobrazić.

18

Pełnia francuskiego lata, mgiełka pyłku kwiatowego nad Essonne, kaczki w trzcinach. Hannibal wciąż nie mówił, ale nic mu już się nie śniło i miał apetyt szybko rosnącego trzynastolatka.

Wuj Lecter był cieplejszy i bardziej otwarty niż jego ojciec. Przetrwiała w nim swego rodzaju artystyczna lekkomyślność, do której dołączyła teraz lekkomyślność związana z wiekiem.

Na dachu była galeria, gdzie mogli spacerować. Złocąc mech, w zagłębieniach posadzki zebrały się kupki pyłku, w powietrzu pływały unoszone wiatrem pajęczki na długich nitkach pajęczyny. Za drzewami połykiwał srebrzysty łuk rzeki.

Hrabia był wysoki i przypominał ptaka. W dobrym świecie na dachu, miał szarą skórę. Jego oparte o balustradę ręce robiły wrażenie chudych, lecz wyglądały jak ręce ojca.

- Nasza rodzina jest trochę niezwykła, Hannibalu - mówił. - Dowiadujemy się o tym wcześniej, ty też już pewnie o tym wiesz. Jeśli nie daje ci to spokoju, wiedz, że z biegiem lat będzie ci łatwiej. Straciłeś najbliższych i dom, ale spotkałeś mnie i Shebę. Czyż nie jest zachwycająca? Dwadzieścia pięć lat temu ojciec przywiózł ją na moją wystawę w Tokijskim Muzeum Metropolitalnym. Nigdy przedtem nie widziałem tak ślicznego dziecka. Piętnaście lat później, kiedy został ambasadorem w Paryżu, Sheba przyjechała wraz z nim. Nie mogłem uwierzyć własnemu szczęściu: natychmiast poszedłem do niego i oznajmiłem, że chcę nawrócić się na szintoizm. Odparł,

że moja religia go nie obchodzi. Nigdy mnie nie zaakceptował, ale podobają się mu moje obrazki. Obrazki! Chodź. —To moja pracownia. — Było to duże, bielone wapnem pomieszczenie na najwyższym piętrze zamku. Na sztalugach stały obrazy, które właśnie malował, pod ścianami te już ukończone. Na niskim podwyższeniu stał szezlong, obok wisiało kimono. Na sztalugach stał przesłonięty płótnem obraz.

Weszli do sąsiedniego pokoju, gdzie Hannibal zobaczył duże sztalugi, plik starych gazet, węgiel drzewny i kilka tubek farby.

- Zrobiłem ci tu miejsce - powiedział hrabia. - Masz teraz własną pracownię. Znajdziesz tu ulgę, Hannibalu. Kiedy poczujesz, że zaraz wybuchniesz, rysuj! Maluj! Szerokimi ruchami pędzla, jak największą ilością kolorów. Nie próbuj niczego osiągnąć, zapomnij o finezji. Finezji nauczy cię Sheba. - Popatrzył na rzekę za drzewami. - Spotkamy się na obiedzie. Poproś madame Brigitte, żeby znalazła ci jakiś kapelusz. Po lekcjach pójdziemy popływać łódką.

Po wyjściu wuja Hannibal nie od razu podszedł do sztalugi; najpierw zwiedził jego pracownię i obejrzał obrazy. Położył rękę na szezlongu, dotknął wiszącego na wieszaku kimona, przyłożył je do twarzy. Stanął przed sztalugami i podniósł płótno. Hrabia malował panią Murasaki, nago na szezlongu. Obraz wnikał w jego szeroko otwarte oczy, w źrenicach zatańczyły gorejące punkciki, spowijając go noc rozświetliły chmary robaczków świętojańskich.

Nadeszła jesień i pani Murasaki postanowiła, że będą jadać kolacje w ogrodzie, skąd można było podziwiać miesiąc w pełni i gdzie grały jesienne owady. Czekali na wschód księżycy i gdy cichło owadzie granie, w ciemności rozbrzmiewały dźwięki lutni Chiyoh. Kierując się jedynie szelestem jedwabiu i zapachem, Hannibal zawsze potrafił dokładnie powiedzieć, gdzie jest pani domu.

Hrabia wyjaśnił mu, że francuskie świerszcze nie dorównują znakomitym świerszczom japońskim, dzwonnikom *suzumushi*, ale cóż, musiały wystarczyć. Przed wojną wiele razy zamawiał dzwonniki

w Japonii, lecz żaden nie przetrwał podróży i hrabia nawet nie wspominał o tym żonie.

Pewnego spokojnego wieczoru, kiedy powietrze było wilgotne po deszczu, bawili się w zapachy: na tacce z miki Hannibal palił kadzidełka i korę różnych drzew, a Chiyoh musiała je rozpoznać. Żeby mogła się skupić, pani Murasaki grała na *koto*, podpowiadając jej muzycznymi wskazówkami z repertuaru, którego Hannibal nie znał i nie rozumiał.

Wysłano go do miejscowej szkoły, gdzie stał się obiektem ciekawości, ponieważ nie potrafił wyrecytować lekcji. Drugiego dnia jakiś prostak ze starszej klasy napluł na głowę małemu pierwszakowi i Hannibal złamał mu kość ogonową i nos. Podczas bójki ani razu nie zmienił mu się wyraz twarzy. Odesłano go do domu.

Zamiast do szkoły, zaczął uczęszczać na lekcje Chiyoh. Chiyoh była od lat zaręczona z synem japońskiego dyplomaty i teraz, w wieku trzynastu lat, nabywała u pani Murasaki umiejętności, których miała wkrótce potrzebować.

Lekcje bardzo różniły się od lekcji pana Jakova, lecz wykładane przez nie przedmioty cechowało osobliwe piękno, tak jak matematykę w jego interpretacji, i okazały się fascynujące.

W dobrym przyokiennym świetle w saloniku pani Murasaki uczyła go kaligrafii, malując na gazetach, i dużym pędzlem potrafiła osiągnąć zdumiewająco misterne rezultaty. Oto symbol wieczności, miły dla oka trójkątny kształt. Tuż pod nim nagłówek: „Lekarze skazani w Norymberdze”.

-To ćwiczenie nazywa się „Wieczność w ośmiu pociągnięciach pędzlem” - powiedziała. - Spróbuj.

Pod koniec lekcji zaczęła robić z Chiyoh origami, papierowe żurawie, które zamierzała umieścić na ołtarzyku.

Hannibal też wziął kawałek papieru. Chiyoh posłała pani Murasaki pytające spojrzenie i przez chwilę czuł się jak ktoś obcy. Pani

Murasaki podała mu nożyczki. (Później miała wytknąć Chiyoh to uchybienie, absolutnie niedopuszczalne w kręgach dyplomatycznych).

- Chiyoh ma w Hiroszynie kuzynkę imieniem Sadako - wyjaśniła. - Sadako umiera na chorobę popromienną. Wierzy, że wyzdrowieje, jeśli zrobi tysiąc żurawi. Jest osłabiona, dlatego codziennie jej pomagamy. Nieważne, czy ptaki te mają właściwości terapeutyczne czy nie: robiąc je, myślimy o niej i o innych, którzy zachorowali po wojnie. Ty będziesz robił żurawie dla nas, a my dla ciebie. A teraz zróbmy kilka dla Sadako.

19

Wczwartki odbywał się w miasteczku targ pod parasolami wokół fontanny i pomnika marszałka Focha. Od stoisk z marynatami wiatr niósł zapach słonawego octu, a od straganów z leżącymi na wodorostach rybami i mięczakami - zapach morza.

Kilka radiodbiorników grało kłócące się ze sobą melodie. Kataryniarz i jego małpka, których po śniadaniu wypuszczono z aresztu, gdzie często bywali, bezlitośnie dręczyli klientów *Mostami Paryża*, dopóki ktoś nie dał mu szklanki wina i nie poczęstował jej kawałkiem orzechowego łoża. Kataryniarz natychmiast wychylił szklankę do dna i skonfiskował połowę łoża, chociaż małpka, swoimi małymi, mądrymi oczami, od razu wysledziła, do której kieszeni go schował. Dwaj żandarmi jak zwykle — i na próżno - udzielili kataryniarzowi napomnienia i poszli do stoiska z ciastami.

Celem wyprawy pani Murasaki był Legiumes Bulot, największy stragan z warzywami, gdzie chciała kupić jadalne pędy paproci. Hrabia za nimi przepadał, a klienci szybko je wykupowali.

Hannibal szedł za nią z koszykiem. Przystanął, żeby popatrzeć, jak sprzedawca sera oliwi strunę fortepianową i tnie nią wielki okrągły parmezan. Sprzedawca dał mu kawałek do spróbowania i poprosił, żeby Hannibal polecił go, Madame.

Na straganie paproci nie było, ale zanim pani Murasaki zdążyła się odezwać, Bulot wyjął spod lady koszyk.

- Są tak wyśmienite, że nie mogłem pozwolić, by stały na słońcu - powiedział. - Czekając na panią, przykryłem je ściereczką, którą zwilżyłem nie zwykłą wodą, tylko prawdziwą rosą z ogrodu.

Przy rzeźnickim pniu po drugiej stronie przejścia, w zakrwawionym fartuchu siedział Paul Momund, wrzucając odpadki do wiadra, a żołądki i wątróbki do misek. Był roslym, krzepkim mężczyzną z tatuażem na ramieniu, czerwoną wiśnią, pod którą widniał napis: „*Voici la Mienne, ou est la Tienne?*” Wiśnia zdążyła już wyblaknąć i była bledsza niż krew na jego rękach. Jego brat, bardziej okzesany w rozmowach z klientami, stał przy ladzie, pod płachtą z napisem: „Wyborne mięso od Momunda”. Dał bratu gęś do wypatroszenia. Paul pociągnął z butelki łyk taniego winiaku i wytarł ręką usta, rozsmarowując na policzkach krew, do której przykleiły się pióra.

- Nie chleję tyle - rzucił jego brat. - Czekają nas długi dzień.

- To może ty tę kurew oskubiesz, co? Wolisz chyba skubać, niż pierdolić - odparł rozbawiony Paul.

Hannibal przyglądał się właśnie świńskiej głowie, gdy usłyszał jego głos:

- Hej, *Japonnaisel*

I głos Bulota, tego od warzyw:

-Wypraszam sobie, monsieur! To niedopuszczalne.

I znowu głos Paula:

- Hej, *Japonnaise*, czy to prawda, że macie piczki w poprzek? Z kępką prostych włosów na wszystkie strony, takich jak po wybuchu?

Dopiero wtedy zobaczył Paula, jego twarz, zakrwawioną i oklejona piórami *jak twarz Niebieskookiego, jak twarz Niebieskookiego, gdy przeżuwał ptasią skórę.*

Paul przeniósł wzrok na brata.

- Mówię ci, w Marsylii miałem kiedyś taką, co to brała całego...

Potężny cios udźcem baranim w twarz: Paul pada do tyłu, prosto na zwoje ptasich jelit. Hannibal już na nim siedzi, udziec podnosi się i opada, wreszcie wyślizguje mu się z ręki. Hannibal sięga

za siebie po nóż do patroszenia, ale zamiast noża znajduje na pniu garść wnętrzości i nie zwracając uwagi na to, że rzeźnik okłada go wielkimi, zakrwawionymi pięściami, rozsmarowuje mu je na twarzy. Brat rzeźnika kopie go w tył głowy, chwytając z lady tłuczek do mięsa i do straganu wpada pani Murasaki: brat Paula odpychają, lecz ona krzyczy:

- *Kiaail*

Duży rzeźnicki nóż na gardle brata, dokładnie w miejscu, w które ten ugodziłby, kłując świnie. I jej głos:

- Niech się pan nie rusza, monsieur.

Zamierają na długą chwilę, słysząc już policyjne gwizdki. Wielkie dłonie Paula na szyi Hannibala, rozedrgane oko jego brata, które zerka na muskające gardło ostrze, ręka Hannibala, która maca, maca i maca na oślep po rzeźnickim pniu.

Ślizgając się na ptasich wnętrzościach, dwaj żandarmi odciągnęli chłopca od rzeźnika, podnieśli go i posadzili po drugiej stronie lady.

Hannibal długo nie mówił i miał nieco ochryply głos, ale rzeźnik go zrozumiał.

- Bydlę - powiedział spokojnie chłopiec. Zabrzmiało to jak nazwa, nie jak obelga.

Komendant posterunku był tego dnia po cywilnemu, w wymiętym letnim garniturze. Miał pięćdziesiąt kilka lat i był zmęczony wojną. Wskazał im krzesła i usiadł. Jeśli nie liczyć popielniczki reklamującej Cinzano i buteleczki clanzoflatu, lekarstwa na żołądek, jego biurko było zupełnie puste. Poczęstował panią Murasaki papierosem. Odmówiła.

Zapukało i weszło dwóch żandarmów z targu. Stanęli pod ścianą, zerkając na nią kątem oka.

- Czy ktoś z tu obecnych uderzył was albo stawiał opór? - spytał komendant.

- Nie, panie komendancie.

Komendant ponaglił ich skinieniem głowy.

Starszy z żandarmów zajrzał do notesu.

- Bulot, ten od warzyw, zeznał, że rzeźnik dostał szalu i próbował sięgnąć po nóż, krzycząc, że wszystkich pozabija, nawet zakonnice w kościele.

Komendant przewrócił oczami, szukając cierpliwości na suficie.

- Rzeźnik kolaborował i jak pani zapewne wie, tutejsi go nienawidzą. Policzę się z nim później. Przepraszam, że musiała pani wysłuchiwać tych obelg. Młody człowieku, jeśli ktoś obrazi przy tobie panią Murasaki, od razu przyjdź do mnie. Rozumiesz?

Hannibal kiwnął głową.

- Nie pozwolę, żeby ktoś tu na kogoś napadał, chyba że tym kimś będę ja. - Komendant podniósł się z krzesła i stanął za nim. - Przepraszam na chwilę, Madame. Pozwól ze mną, chłopcze.

Pani Murasaki zerknęła na niego niespokojnie. Policjant lekko pokręcił głową.

Zaprowadził Hannibala na tyły posterunku, gdzie mieściły się dwie cele, jedna zajęta przez śpiącego pijaka, druga zwolniona ostatnio przez kataryniarza i małpkę, której miseczka z wodą wciąż stała na podłodze.

-Wejdz tam.

Hannibal stanął na środku celi. Komendant zatrzasnął drzwi. Pijak poruszył się i coś wymamrotał.

- Spójrz na podłogę. Widzisz te poplamione i wypaczone deski? Zrobiły się takie od łez. Spróbuj otworzyć drzwi. Śmiało. Jak widzisz, nie otworzą się z tamtej strony. Gniew to przydatny, lecz i niebezpieczny dar. Kieruj się rozsądkiem, a nigdy tu nie trafisz. Przymykam oko tylko raz. Pamiętaj. Nie rób tego więcej. Nie bij nikogo mięsem.

Odprowadził ich do samochodu. Gdy Hannibal wsiadł, pani Murasaki poprosiła go na słowo.

- Panie komendancie, nie chcę, żeby dowiedział się o tym mój mąż. Doktor Rufin wyjaśni panu dlaczego.

Policjant kiwnął głową.

- Jeśli mimo to mąż się dowie i zacznie mnie wypytywać, powiem, że doszło do bójki między pijakami i że Hannibal przypadkowo się w nią wplątał. Przykro mi, że hrabia źle się czuje. Pod każdym innym względem jest najszcześliwszym z ludzi.

Całkiem możliwe, że pracujący w odosobnieniu hrabia Lecter nigdy by się o tym nie dowiedział. Ale wieczorem, gdy palił cygaro, do zamku wrócił kierowca Serge z wieczornymi gazetami i poprosił go na stronę.

Piątkowy targ odbywał się w Villiers, szesnaście kilometrów dalej. Z poszarzałą z niewyspania twarzą hrabia wysiadł z samochodu w chwili, gdy rzeźnik Paul wnosił baranią tuszę do swojej budki. Hrabia uderzył go, trafił w górną wargę i zaczął okładać laską.

-Ty śmieciu, miałeś czelność obrazić moją żonę!

Paul rzucił tuszę i pchnął go na ladę, lecz hrabia znowu zaatakował go laską. Wtem zamarł z wyrazem zdziwienia na twarzy. Podniósł rękę, ręka znieruchomiła na wysokości kamizelki i hrabia runął jak kłoda na podłogę.

20

Zniesmaczony jęklivymi, zawodzącymi hymnami i monotonnie buczącymi modlitwami Hannibal, lat trzynaście, ostatni z Lecterów, stał z panią Murasaki i Chiyoh w drzwiach kościoła, machinalnie ściskając ręce żałobnikom, w tym kobietom, które wychodząc, zdejmowały chustki; po wojnie się do nich uprzedziły.

Pani Murasaki słuchała, odpowiadając im uprzejmie i poprawnie.

Wyczuwając jej zmęczenie, Hannibal przełamał się, przemówił i stwierdził, że rozmawia z ludźmi tylko po to, żeby ona mogła pomilczeć i że jego nowy głos szybko przechodzi w skrzek. Pani Murasaki nie okazała zaskoczenia, ale wyciągnąwszy rękę do następnego żałobnika, mocno ścisnęła Hannibalowi dłoń.

Przyszła tam również hałaśliwa grupa paryskich reporterów i dziennikarzy, żeby opisać pogrzeb wielkiego artysty, który unikał ich za życia. Pani Murasaki nie miała im nic do powiedzenia.

Po południu tego długiego dnia do zamku przyjechał prawnik hrabiego i urzędnik z urzędu skarbowego. Pani Murasaki poczęstowała ich herbatą.

- Madame - powiedział urzędnik - bardzo mi przykro, że natchodzę panią w chwilach cierpienia, ale pragnę panią zapewnić, że zanim zamek zostanie wystawiony na sprzedaż w celu uzyskania pieniędzy na zapłacenie podatku spadkowego, będzie pani miała dużo czasu na załatwienie pozostałych formalności. Chciałbym, żebyśmy

mogli przyjąć pani poręczenie majątkowe, ale ze względu na pani obywatelstwo jest to niemożliwe.

Nareszcie zapadł wieczór i Hannibal odprowadził panią Murasaki do drzwi sypialni. Tej nocy spać z nią miała Chiyoh, która rozłożyła już sobie siennik.

Hannibal długo nie mógł zasnąć, a kiedy wreszcie zasnął, nawiedziły go sny.

Wysmarowana krwią i oklejona piórami twarz Niebieskookiego zmieniająca się w twarz rzeźnika i twarz rzeźnika zmieniająca się w twarz Niebieskookiego.

Obudził się w ciemności, lecz twarze nie zniknęły i niczym hologram pojawiły się na suficie. Mógł już mówić, więc nie krzyczał.

Wstał i poszedł po cichu do pracowni wuja. Zapalił świece na sztalugach. Artysta odszedł i jego portrety na ścianach, te ukończone i te nieukończone, nabrały wyrazistości. Wpatrywały jego duszy, jakby wciąż miały nadzieję, że hrabia jeszcze oddycha, i Hannibal to czuł.

W puszcze stały czyste pędzle, na rowkowanych tackach leżała kreda i węgiel. Portret pani Murasaki zniknął, zniknęło również jej kimono.

Próbując się otrząsnąć, Hannibal zaczął szkicować zamaszystymi ruchami ręki, robić skośne, wielobarwne linie na papierze, tak jak radził mu hrabia. Nie poskutkowało. Przed świtem przestał się zmuszać; przestał rysować na siłę i po prostu obserwował to, co wychodziło mu spod ręki.

21

Siedział na pniaku na małej polanie nad brzegiem rzeki, grając na japońskiej lutni i obserwując tkającego się pająka. Był to wspianiały, żółto-czarny krzyżak ogrodowy. Pracował tak, że drgała cała pajęczyna. Dźwięki lutni bardzo go podniecały, bo gdy chłopiec uderzał w struny, on biegał tam i z powrotem, żeby sprawdzić, czy nic nie wpadło w sieć. Hannibal potrafił zagrać japońską melodię, chociaż czasem fałszował. Przypominał mu się wtedy przyjemny dla ucha alt pani Murasaki mówiącej po angielsku, głos, w którym pobrzmiwały obce nutki. Grając, to przysuwał się do pająka, to się od niego odsuwał. W sieć wpadł powolny żuk i krzyżak szybko omotał go pajęczyną.

Panowała cisza i spokój, rzeka była idealnie gładka. Przy brzegu biegały pająki wodne, nad trzcinami hasały ważki. Wiosłując jedną ręką, rzeźnik Paul skręcił w stronę kępy wierzb. W koszyku na przynęty cykały świerszcze, przykuwając uwagę czerwonoookiej muchy, która sfrunęła z jego wielkiej dłoni, gdy chwycił jednego, by nadziać go na haczyk. Zarzucił wędkę pod wierzbami: zakończony piórem spławik natychmiast zniknął pod wodą, momentalnie ożyło wędzisko.

Zdjął rybę z haczyka i założył ją na zwisające z burty troczki. Zajęty pracą, usłyszał ciche, cichuteńkie pobrzękiwanie. Posłał zakrwawiony rybią krwią kciuk i powiosłował w stronę małego drewnianego mola na lesistym brzegu, gdzie zaparkował furgonetkę. Na molo,

na prowizorycznej ławce, wypatroszył największą rybę i włożył ją do płóciennej torby z lodem. Resztę ryb, wciąż żywych, zostawił na troczkach. Próbując uciec, ryby schowały się pod molo.

Znowu to przytłumione brzęczenie, ta drżąca, na pewno nie francuska melodia. Popatrzył na furgonetkę, jakby to ona mogła tak brzęczeć. Z nożem do oprawiania ryb podszedł bliżej, obejrzał antenę i koła. Sprawdzał, czy drzwiczki są zamknięte. I znowu to samo, znowu ten sam dźwięk, tym razem cała seria.

Ruszył w tamtą stronę i ominąwszy kępę krzaków, wyszedł na małą polanę, gdzie zobaczył grającego na lutni Hannibala i futerał oparty o rower z motorkiem. Na ziemi leżał szkicownik. Paul natychmiast wrócił do samochodu i sprawdził, czy na wlewie paliwa nie ma kryształków cukru. Chłopiec przestał grać dopiero wtedy, gdy rzeźnik stanął tuż przed nim.

-Wyborne mięso od Momunda - powiedział, podnosząc wzrok. Widział go niezwykle ostro, w kręgu odbitego światła na skraju pola widzenia, światła czerwonego jak lód na szybie albo na brzegu soczewki.

- Niemy sukinsyn zaczął mówić, co? Jeśli naszczałeś mi do chłodnicy, urwę ci łeb. I *żaden jlk* ci nie pomoże.

- Panu też nie. - Hannibal uderzył w struny. - To, co pan zrobił, jest niewybaczalne. - Odłożył lutnię i podniósł szkicownik. Spojrzał na rzeźnika i małym palcem rozmazał jakąś linię, wprowadzając drobną poprawkę do rysunku.

Przerzucił kartki, wstał i podał mu szkicownik.

-Jest pan winien pisemne przeprosiny pewnej damie. - Rzeźnik cuchnął łożem i brudnymi włosami.

- Chłopcze, jesteś szalony, że tu przyszedłeś.

- Niech pan napisze, że pan przeprasza, że jest pan ostatnim nikczemnikiem i że już nigdy więcej nie spojrzy pan na nią ani nie odezwie się do niej na rynku.

- Przeprzić *Japonnais*? - roześmiał się Paul. - Najpierw wrzucę cię do rzeki i opłuczę. - Położył rękę na nożu. - A potem rozetnę

ci gacie i wsadzę ci go tam, gdzie na pewno nie zechcesz. — Ruszył.

Hannibal cofnął się w stronę roweru i futerału.

Przystanął.

- O ile pamiętam, pytał pan ojej cipkę. Twierdził pan, że w którą biegnie stronę?

- To twoja matka? Japonki zawsze mają w poprzek. Wyruchaj jakąś, to sam zobaczysz.

Paul rzucił się naprzód, gotów zmiażdżyć go potężnymi rękami, lecz ułamek sekundy przedtem Hannibal jednym płynnym ruchem wyjął z futerału lekko wygięty miecz i ciął go przez brzuch.

-W poprzek? O tak?

Przeraźliwy krzyk odbił się echem wśród drzew, płosząc ptaki. Rzeźnik chwycił się za brzuch i zobaczył na rękach krew. Spojrzał w dół, na ranę, i spróbował ją zatkać, lecz wnętrzości wciąż wyslizgiwały mu się i uciekały. Hannibal stanął z boku i ciął go mieczem na wysokości nerek.

- A może bardziej na skos w stosunku do kręgosłupa?

Miecz rysujący krzyże na ciele, zaszokowane, szeroko rozwarte oczy - Paul próbował uciec, lecz ostrze przecięło obojczyk i krew trysnęła z sykiem na twarz chłopca. Kolejne dwa ciosy przecięły ścięgna nad kostkami nóg i rzeźnik runął na ziemię jak młody wół.

Paul siedzi oparty o pniak. Nie może podnieść rąk.

Hannibal patrzy mu w oczy.

- Chce pan obejrzeć mój rysunek? - Podsuwa mu szkicownik. Na "kartce jest szkic głowy Paula na tacy, głowy z tabliczką przyklejoną do włosów. Na tabliczce widnieje napis: „Wyborne mięso od Momunda”. Paulowi ciemnieje w oczach. Przez ułamek sekundy widzi wszystko w poprzek, bo Hannibal znowu tnie mieczem. Po tem ciśnienie krwi spada i jest już tylko ciemność.

W swojej własnej ciemności Hannibal widzi wychodzącego z fosy łabędzia i słyszy głos Miszy: „Och, Anniba!”

Zmierchało. Zapadła szarówka, a on wciąż siedział z zamkniętymi oczami, opierając się o pień, na którym leżała głowa rzeźnika.

Potem otworzył oczy, lecz się nie poruszył. Wreszcie wstał i poszedł na molo. Troczki były przymocowane do łańcuszka i na jego widok Hannibal potarł ręką szyję. Ryby wciąż żyły. Zmoczył rękę i uwolnił je jedną po drugiej.

- Uciekajcie - szepnął. - Uciekajcie. - Pusty łańcuch wrzucił do wody.

Świerszcze też uwolnił.

- Uciekajcie, uciekajcie - powiedział. Zajrzał do płóciennej torby, zobaczył wielką, sprawioną rybę i zaburczało mu w brzuchu.

- Mniam.

Dla wielu mieszkańców miasteczka, którego burmistrza i radnych rozstrzelali hiderowcy w odwecie za działalność ruchu oporu, gwałtowna śmierć Paula nie była żadną tragedią.

Jego znakomita większość spoczywała na ocynkowanym stole w sali do balsamowania zwłok zakładu pogrzebowego Pompes Funebres Roget, dokładnie tam, gdzie jeszcze niedawno spoczywał hrabia Lecer. O zmierzchu przed zakładem zaparkował czarny citroen traction avant. Czuwający na ulicy żandarm szybko otworzył drzwiczki.

- Dobry wieczór, panie inspektorze.

Schludnie ubrany mężczyzna, który wysiadł z samochodu, miał około czterdziestu lat. Przyjacielskim skinieniem głowy odpowiedział na dziarski salut żandarma i odwrócił się do samochodu.

- Zawieźcie te skrzynki na komendę - rzucił do kierowcy i siedzącego z tyłu funkcjonariusza.

W sali do balsamowania zwłok - krany, węże z wodą, biała emalia,¹ butelki i fiolki w przeszklonych szafkach - zastał komendanta policji i monsieur Rogeta, właściciela zakładu. Komendant rozpromienił się na widok paryskiego policjanta.

- Inspektor Popi! Cieszę się, że mógł pan przyjechać. Pewnie mnie pan nie pamięta, ale...

Inspektor przyjrzał mu się uważnie.

- Ależ oczywiście, że pamiętam. Przywiózł pan De Raisa do Norymbergi, siedział pan za nim na procesie.

- A ja widziałem, jak pan zeznawał. To dla mnie zaszczyt, inspektorze.

- Kogóż tu mamy?

Laurent, pomocnik właściciela zakładu, ściągnął ze stołu prześcieradło.

Rzeźnik Paul był wciąż ubrany i przecinały go długie, skośne, czerwone pasy w miejscach, gdzie koszula i spodnie przesiąkły krwią. Brakowało mu głowy.

- Paula Momunda, a przynajmniej jego większość - odparł komendant.—To jego dossier?

Popił kiwnął głową.

- Krótkie i paskudne. Woził Żydów z Orleanu. - Popatrzył na ciało, obszedł stół, podniósł rękę rzeźnika i obejrzał jego rudy tatuaż, teraz nieco jaśniejszy na sonej skórze. - Ma na rękach rany, jakby się bronił - rzucił w roztargnieniu ni to do nich, ni do siebie. - Ale siniaki na kłykciach pochodzą sprzed kilku dni. Niedawno się z kimś bił.

- Często się bił - mruknął właściciel zakładu.

-W zeszlą niedzielę - wtrącił Laurent - wywołał bójkę w barze i wybił zęby jakiemuś mężczyźnie i dziewczynie. - Siłę ciosu zilu-strował szarpnięciem malutkiej głowy i szarpnął nią tak gwałtownie, że podskoczyła mu czupryna na czole.

- Listę poproszę — *rzucił inspektor*. - Tych, z którymi się ostatnio bił. - Nachylił się nad zeszywniałym ciałem i pociągnął nosem. - Nic pan z nim nie robił?

- Nie - odparł właściciel zakładu. - Pan komendant kategorycznie zabronił...

Popił kiwnął na niego palcem. Do stołu podszedł i Laurent.

- Czy ten zapach pochodzi od czegoś, czego tu używacie?

-To cyjanek - orzekł Roget. - Najpierw go otruto!

- Cyjanek ma zapach palonych migdałów - zauważył Popił.

- Pachnie jak lekarstwo na zęby - skonstatował Laurent, odru-chowo pocierając szczękę.

- Kretyn! - warknął Roget. - Gdzie ty tu widzisz zęby?
- Tak — rzucił Popił. — Olejkiem goździkowym. Panie komendancie, czy moglibyśmy ściągnąć tu aptekarza?

Pod okiem kucharza upiekł przepyszną rybę w ziołach i bretońskiej soli morskiej, którą wyjął teraz z pieca. Pod szybkim uderzeniem noża solna skorupka pękła, skóra zeszała razem z łuskami i w kuchni rozszedł się cudowny zapach.

- A teraz uważaj - powiedział kucharz. - Najsmaczniejsze są w rybie polędwiczki; my nazywamy je policzkami. Nie tylko w rybie, w innych stworzeniach też. Kiedy będziesz dzielił rybę przy stole, jeden policzek dasz Madame, drugi gościowi honorowemu. Oczywiście jeśli dzielisz ją w kuchni, dla siebie, obydwaj zjadasz sam. Z zakupów w miasteczku wrócił Serge. Zaczął rozpakowywać torby i chować jedzenie do kredensu. Stał tyłem do drzwi.

Do kuchni weszła po cichu pani Murasaki.

- Widziałem Laurenta w Petit Zinc - opowiadał kierowca. - Jeszcze nie znaleźli jego głowy. Laurent mówi, że trup pachnie - teraz uważajcie - olejkiem goździkowym, takim na ból zębów. I że...

W tym momencie Hannibal zobaczył, że nie są sami.

- Naprawdę powinnaś coś zjeść, pani - powiedział. - To będzie bardzo, ale to bardzo dobre.

- Przywiozłem też lody brzoskwiniowe i świeże brzoskwinie - dodał Serge.

Pani Murasaki długo patrzyła Hannibalowi w oczy.

Chłopiec uśmiechnął się do niej. Był zupełnie spokojny.

- Brzoskwinię! - powiedział.

Pólnoc; pani Murasaki leżała już w łóżku. Przez otwarte okno wpadał do środka leciutki powiew wiatru, niosąc ze sobą zapach mimozy kwitnącej w rogu dziedzińca. Odrzuciła koc, żeby bryza muskała jej ręce i nogi. Miała otwarte oczy, patrzyła na czarny sufit i mrugając, słyszała cichutkie potrzaskiwanie.

Stara suka poruszyła się przez sen w budzie na dziedzińcu i rozszerzonymi nozdrzami wciągnęła haust powietrza. Pofałdowała się jej skóra na czole, ale fałdy szybko zniknęły, bo znowu przyśnił jej się przyjemny sen o pościgach i smaku krwi w pysku.

Nad panią Murasaki zatrzeszczał sufit. Nie, to nie był pisk myszy: deski ugięły się pod czymś ciężarem. Pani Murasaki wzięła głęboki oddech i spuściła nogi na chłodną, kamienną posadzkę. Włożyła lekkie kimono, poprawiła włosy, wzięła kwiaty z wazonu w holu i z lampionem w ręku weszła na strych.

Z drzwi uśmiechnęła się do niej rzeźbiona maska. Pani Murasaki wyprostowała się i pchnęła ją ręką. Poczowała, jak przeciąg, leciutkie pchnięcie powietrza, dociska jej kimono do pleców i daleko, na samym końcu strychu, zobaczyła błysk migotliwego ognika. Ruszyła w tamtą stronę, oświetlając lampionem śledzące ją maski *No* i rząd zwisających z sufitu marionetek, które zakołysały się muśnięte oddechem jej ciała. Minęła kilka wiklinowych koszów, kilka upstrzonymi hotelowymi naklejkami kufarów - szła do rodzinnego ołtarzyka i zbroi, gdzie paliły się świece.

Na ołtarzyku stał ciemny przedmiot. Widziała jego podświetlony zarys. Postawiła lampion na skrzyni i bez mrugnięcia okiem spojrzała na głowę Paula stojącą w płytkim suibanie. Twarz rzeźnika jest blada i czysta, usta nietknięte, lecz brakuje mu policzków; pomiędzy warg wyciekło trochę krwi, która spłynęła do suibanu i stoi tam teraz jak woda pod kwiatami. Do włosów ma przyczepioną karteczkę. Na karteczce widnieje napis wykonany starannym, staroświeckim charakterem pisma: „*Momund, Boucherie de Qualite*”.

Głowa stała twarzą do zbroi, oczy patrzyły na samurajską maskę. Pani Murasaki też na nią spojrzała.

- Dobry wieczór, szlachetny przodku - powiedziała po japońsku. - Racz wybaczyć ten niestosowny bukiet. Z całym szacunkiem, ale nie o taką pomoc mi chodziło.

Odruchowo podniosła z podłogi zwiędły kwiat i wstążeczkę, i rozglądając się dyskretnie na wszystkie strony, ukryła je w rękawie. Długi miecz leżał na swoim miejscu, topór wojenny też. Na stojaku brakowało krótkiego miecza.

Zrobiła krok do tyłu, podeszła do mansardowego okna i otworzyła je. Wzięła głęboki oddech. W uszach pulsowała jej krew. Powiał wiatr, zatrzepotało kimono, zatańczył płomień świet.

Cichy grzechot od strony masek *No*. Jedna z nich miała oczy, jedna z nich ją obserwowała.

- Dobry wieczór, Hannibalu - powiedziała po japońsku pani Murasaki.

- Dobry wieczór, pani - padło po japońsku z ciemności.

- Moglibyśmy kontynuować po angielsku? Pewnych spraw wolałabym nie poruszać w obecności przodka.

- Jak sobie życzysz, pani. Zresztą wyczerpaliśmy już moją znajomość japońskiego.

Wszedł w krąg światła z krótkim mieczem i ściereczką. Pani Murasaki podeszła bliżej. Długi miecz wciąż leżał na stojaku przed zbroją. W razie potrzeby mogła go chwycić.

- Użyłbym jego noża — powiedział Hannibal. - Ale wziąłem miecz Masamune-dono, bo wydawało się mi, że będzie bardziej odpowiedni. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Na ostrzu nie ma najmniejszego zarysowania, zapewniam. Rzeźnik był miękki jak masło.

- Boję się o ciebie.

- Proszę, nie martw się, pani. Pozbędę się tej...

- Nie musiałeś tego dla mnie robić.

- Zrobiłem to dla siebie, bo jesteś dla mnie bezcenna. Cała odpowiedzialność spada na mnie. Myślę, że Masamune-dono pozwoliłby mi użyć swego miecza. To naprawdę zdumiewające narzędzie.

Hannibal wsunął miecz do pochwy i z pełnym szacunku ukłonem położył go na stojaku.

- Pani, ty drzysz - powiedział. - Doskonale nad sobą panujesz, a jednak drzysz jak ptak. Nie podszedłbym do ciebie bez kwiatów. Kocham cię, pani.

Na dziedzińcu zawyła policyjna syrena, tylko raz, charakterystycznym dwudźwiękiem. Suka podniosła się i wyszła zaszczezać.

Pani Murasaki podbiega do Hannibala, chwytą go za ręce, tuli do twarzy jego dłonie. Całuje go w czoło i szepcze:

- Szybko! Dobrze wyszoruj ręce! Chiyoh ma cytrynę.

W głębi domu słychać dudnienie kołatki.

24

Kazała mu czekać sto uderzeń serca, zanim ukazała się na schodach. Stał z asystentem na środku kopulastego holu i podniósł wzrok, gdy weszła na podest. Czujny i nieruchomy przypominał wytwornego pająka przed spowitym pajęczyną oknem, za którym panuje bezkresna noc.

Na jej widok gwałtownie wciągnął powietrze. Kopuła holu wzmacniała dźwięk, a pani Murasaki uważnie nadśluchiwała.

Schodziła na dół tak, jakby płynęła, jakby w ogóle nie poruszała nogami. Ręce trzymała w rękawach kimona.

Serge miał przekrwione oczy. Stał z boku i powiedział:

- Madame, ci panowie są z policji.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór. Przepraszam, że przychodzimy tak późno.

Muszę zadać pani kilka pytań na temat pani... bratanka?

-Tak, bratanka. Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty? - Powoli wyjęła rękę z rękawa, powoli rozdziała ją z szat. Wzięła legitymację, przeczytała wszystkie dane, dokładnie obejrzała zdjęcie.

- Inspektor Popił?

- Tak, Madame, z akcentem na drugą sylabę.

- Na zdjęciu ma pan Legię Honorową.

-Tak.

- Dziękuję, że pofatygował się pan osobiście.

Gdy zwracała mu legitymację, poczuł jej zapach, lekki i świeży. Ona natomiast obserwowała jego twarz, czekając, aż go poczuje i wreszcie zobaczył ją ledwo dostrzegalnie rozszerzając mu się nozdrza i źrenice.

- Madame...

- Murasaki Shikibu.

- Madame jest żoną hrabiego Lectera i zwyczaj nakazuje zwracać się do niej pani Murasaki - wtrącił odważnie Serge.

- Pani Murasaki, chciałbym porozmawiać z panią na osobności, a potem, również na osobności, z pani bratankiem.

- Z całym szacunkiem, panie inspektorze, ale to niemożliwe.

- Och, wprost przeciwnie, Madame.

- Jest pan tu mile widzianym gościem i zapraszam pana na rozmowę we troje.

- Dobry wieczór, panie inspektorze - powiedział ze schodów Hannibal.

Popił podniósł głowę.

- Młody człowieku, pojedziesz z nami.

- Oczywiście.

- Przyniesiesz mi szal? - poprosiła Serge'a pani Murasaki.

- To nie będzie konieczne, Madame - powiedział Popił. - Pani zostanie. Przesłucham panią jutro. Zapewniam, że bratankowi nic się nie stanie.

-Wszystko w porządku, pani - wtrącił Hannibal.

Ukryte w rękawach kimona, kurczowo zaciśnięte na nadgarstkach palce pani Murasaki nieco się rozluźniły.

W sali do balsamowania zwłok było ciemno i cicho, jeśli nie liczyć odgłosu powolnego kapania wody w zlewie. Inspektor i Hannibal stali w drzwiach; na ich ramionach i butach lśniły krople deszczu.

W głębi sali był Momund. Hannibal czuł jego zapach. Czekał, aż inspektor zapali światło, ciekaw, czym go chce zaszokować.

- Myślisz, że rozpoznałbyś tego rzeźnika, gdybyś go teraz zobaczył?
- Zrobię, co w mojej mocy, panie inspektorze.

Popił zapalił światło. Pracownik zakładu rozebrał zwłoki i zgodnie z poleceniem, schował ubranie do papierowych toreb. Ranę na brzuchu zamknął kawałkiem gumowego płaszcza przeciwdeszczowego i przyszył go do ciała topornymi szwami, a okaleczoną szyję przykrył ręcznikiem.

- Pamiętasz jego tatuaż?

Hannibal obszedł stół.

-Tak. - Popatrzył na inspektora. Dostrzegł w jego oczach coś na kształt inteligencji.

- No i co tam jest napisane?
- „Oto moja, gdzie jest twoja?”
- Może powinien był wytatuować sobie: „Oto twoja, gdzie jest moja?” Zabiłeś mnie, gdzie jest moja głowa? Jak sądzisz?
- Myślę, że to pana niegodne. Taką przynajmniej mam nadzieję. Oczekuje pan, że w mojej obecności zaczną krwawić mu rany?

- Co on takiego powiedział, że wpadłeś w szal?
- Nie wpadłem w szal. Obraził wszystkich dookoła, łącznie ze mną. Był grubiański.

—Ale co takiego powiedział?

- Spytał, czy to prawda, że Japonki mają cipki w poprzek. „Hej, *Japonnaisse*”: zwrócił się tak do pani Murasaki.

—W poprzek. - Popił przesunął palcem tuż nad brzuchem Momunda, niemal dotykając szwów. —W poprzek? O tak? — Sondował twarz chłopca, czegoś w niej szukał. Nie znalazł. Nie znalazł niczego, więc zadał kolejne pytanie.

—Jak się czujesz, widząc jego trupa?

Hannibal zająknął pod zakrywający szyję ręcznik.

- Nijak.

Miejscowi policjanci nigdy dotąd nie widzieli poligrafii, dlatego byli nim bardzo zaintrygowani. Technik, który przyjechał z Popiłem z Paryża, kręcił gałkami - trochę na pokaz - do ostatniej chwili regulując urządzenie. Gdy rozgrzały się wszystkie rurki i przewody, gdy w pokoju rozszedł się swąd gorącej izolacji, mieszając się z zapachem potu i papierosowego dymu, inspektor, który obserwował patrzącego na poligraf Hannibala, wyprosił na korytarz wszystkich oprócz niego, technika i siebie samego. Technik podłączył chłopca do urządzenia.

- Podaj swoje imię i nazwisko - zaczął.

- Hannibal Lecter. - Hannibal miał zachrypły głos.

- Ile masz lat?

- Trzydzieści.

Zakończona atramentową końcówką rylce przesuwali się gładko po papierowej taśmie.

- Od jak dawna mieszkasz we Francji?

- Od pół roku.

- Czy znałeś rzeźnika Paula Momunda?

- Nie zostaliśmy sobie przedstawieni.

Rylce ani drgnęły.

- Ale wiesz, kim był.

-Wiem.

- Czy w czwartek doszło między wami do ostrej wymiany zdań, a raczej do bójki na targu?

-Tak.

- Czy chodzisz do szkoły?

-Tak.

- Czy w twojej szkole trzeba nosić mundurek?

- Nie.

- Czy masz wyrzuty sumienia w związku ze śmiercią Paula Momunda?

-Wyrzuty sumienia?

- Odpowiadaj: „tak” lub „nie”.

-Nie.

Wierzchołki krzywych na papierowej taśmie biegną na tej samej wysokości. Ciśnienie krwi nie wzrasta, oddech jest równy i spokojny.

-Wiesz, że Momund nie żyje.

-Tak.

Technik znowu pokręcił gałkami.

- Czy uczysz się matematyki?

-Tak.

- Czy uczysz się geografii?

-Tak.

- Czy widziałeś zwłoki Paula Momunda?

-Tak.

- Czy go zabiłeś?

-Nie.

Brak wyraźnych szczytów na atramentowych liniach. Technik zdjął okulary, dając inspektorowi znak, że to już koniec badania.

Miejsce Hannibala zajął znany, wielokrotnie notowany włamywacz z Orleanu. Włamywacz czekał, podczas gdy Popił i technik naradzali się na korytarzu.

Popił rozwinął papierową taśmę.

- I nic.
- Bo on na nic nie reaguje - powiedział technik. -To otepiąły sierota wojenny o potwornej wprost samokontroli.
- Tak, potwornej — powtórzył inspektor.
- Chce pan najpierw przesłuchać tego włamywacza?
- On mnie nie interesuje, ale tak, zrób mu test. I może przylej mu parę razy w obecności chłopca. Rozumiesz?

Opadającą w kierunku miasteczka drogą zjeżdżał motorower z wyłączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Rowerzysta był w czarnym kombinezonie i czarnej kominiarce. Bezszelestnie skręcił za róg po drugiej stronie opustoszałego skweru, zniknął na chwilę za parkującą przed pocztą furgonetką i szybko pedałowując, pojechał dalej. Silnik uruchomił dopiero za miastem.

Inspektor Popił i Hannibal siedzieli w biurze komendanta. Inspektor zerknął na buteleczkę clanzoflatu i pomyślał, że może warto by z niej pociągnąć.

Położył na biurku papierową taśmę i pchnął ją palcem. Taśma rozwinęła się, demonstrując rząd szpiczastych wierzchołków. Przyminały podnóże tonącej w chmurach góry.

- Zabiłeś go, Hannibalu?
- Mogę o coś spytać?
- Możesz.
- Paryż jest daleko. Czy specjalizuje się pan w zabójstwach rzeźników?
- Specjalizuję się w zbrodniach wojennych, a Paula Momunda o nie podejrzewano. Zbrodnie wojenne nie kończą się wraz z wojną, Hannibalu. - Popił zamilkł, żeby przeczytać reklamy na popielniczce. - Rozumiem twoją sytuację lepiej, niż myślisz.
- Jaką sytuację, panie inspektorze?
- Wojna cię osierociła. Trafiliś do zakładu, zamknąłeś się w sobie, straciłeś rodzinę. I w końcu, w końcu wynagrodziła ci to wszystko twoja piękna macocha. - Chcąc nawiązać z nim lepszy kontakt, po-

łożył mu rękę na ramieniu. - Wystarczy zatracić się w jej zapachu i obraz sierocińca znika. Aż tu nagle rzeźnik wylewa na nią kubek pompy. Gdybyś go zabił, zrozumiałbym to. Przyznaj się. Moglibyśmy wyjaśnić to razem sędziemu...

Hannibal cofnął się z krzesłem poza zasięg jego rąk.

- „Wystarczy zatracić się w jej zapachu i obraz sierocińca znika”? - powtórzył Hannibal. - Pisze pan wiersze?

- Zabiłeś go?

- Paul Momund zabił się sam. Zginał przez swoją głupotę i grubiaństwo.

Popił posiadał rozległą wiedzę na temat wszelkiego rodzaju potworności i właśnie tego wypatrywał: leciutkiej zmiany barwy głosu, głosu - co zaskakujące - małego chłopca.

Nigdy dotąd nie odebrał fali o tak specyficznej długości, jednak rozpoznał, że jest Inna. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni czuł dreszcz towarzyszący polowaniu, obecność umysłu pojętnego przeciwника. Rejestrował to skórą głowy i ramion. Tym i dla tego żył.

Po części pragnął, żeby zabójcą okazał się włamywacz. Po części wiedział, jak samotna byłaby pani Murasaki, gdyby chłopiec trafił do poprawczaka, jak bardzo potrzebowałaby towarzystwa.

- Rzeźnik łowił ryby. Na jego nożu była krew i łuski, ale ryb przy nim nie znaleziono. Kucharz mówi, że przyniosłeś pyszną rybę na kolację. Skąd ją wzięłeś?

- Z rzeki. Za hangarem na łodzie jest żyłka z przynętą. Pokażę ją panu, jeśli pan chce. Panie inspektorze, czy celowo wybrał pan zbrodnie wojenne?

-Tak.

- Bo stracił pan na wojnie kogoś z rodziny?

-Tak.

- Mogę spytać, w jaki sposób?

- Kilkoro podczas walki. Kilkoro wywieziono na wschód.

- Czy złapał pan tych, którzy to zrobili?

-Nie.

- Ale ci ludzie kolaborowali zVichy, tak jak ten rzeźnik.
- Tak.
- Możemy być z sobą zupełnie szczerzy?
- Absolutnie.
- Czy jest panu przykro, że Paul Momund nie żyje?

M. Rubin, miejscowy fryzjer, wyszedł z cienistej ulicy na wieczorny spacer wokół skweru ze swoim małym terierem. Po całodziennych rozmowach z klientami rozmawiał teraz z psem. Odciągnął go od trawnika przed pocztą.

- Powinieneś być zrobić swoje na trawniku Felipe'a, gdzie nikt by tego nie widział — mówił. — Tutaj możesz zapłacić mandat. Ale ty nie masz pieniędzy. I musiałbym zapłacić ja.

Przed pocztą stała skrzynka na słupku. Pies pociągnął fryzjera w tamtą stronę i podniósł nogę.

Widząc nad skrzynką czyjąś twarz, Rubin rzucił:

- Dobry wieczór, monsieur - a do psa: - Uważaj, żebyś pana nie obsikał!

Terier zaskowyczał i Rubin zauważył, że po drugiej stronie skrzynki nie ma nóg.

Motorower pędził wąską drogą tak szybko, że niemal doganiał krąg mglistego światła z lampki. Raz, gdy z naprzeciwka nadjechał jakiś samochód, rowerzysta skręcił między przydrożne drzewa i zaczął czekać, aż tylne światła wozu znikną w ciemności.

Chateau, mroczna szopa na dziedzińcu. Gasnąca lampka motoroweru, stygnący, cichutko postękujący silnik. Pani Murasaki zdjęła kominiarkę i poprawiła włosy.

Światło policyjnych latarek skupiało się na głowie Paula Momunda na skrzynce pocztowej. Na czole, tuż pod linią włosów, widniał napis: „Boche”. Wokół skrzynki zbierali się gapie, nocni pijacy i robotnicy z drugiej zmiany.

Inspektor Popił podprowadził Hannibala bliżej i spojrział na niego w odbijającym się od głowy świede. Chłopiec miał kamienną twarz.

- Ci z ruchu oporu nareszcie go dopadli - rzekł fryzjer i opowiedział wszystkim, jak dokonał znaleziska, starannie pomijając występek psa.

Ktoś z tłumu uważał, że Hannibal nie powinien tego oglądać. Starsza kobieta, nocna pielęgniarka wracająca do domu, powiedziała to na głos.

Popił odesłał go radiowozem. Hannibal wrócił do zamku o świcie i przed wejściem do domu ściął kilka kwiatów, po czym ułożył je w dłoni według długości. Gdy przycinał łądygi, przyszedł mu do głowy stosowny dla kwiatów wiersz. W pracowni znalazł wciąż mokry pędzel pani Murasaki i napisał:

Nocna czapla

W pełni księżyca —

Które z nich jest piękniejsze?

Spał długo i spokojnie. Śniła mu się Misza latem przed wojną: niania, która wystawia wanienkę do ogrodu w domku myśliwskim, żeby słońce nagrzało wodę, siedząca w waniencie'siostra i latające wokół niej bielinki. Ściął dla niej fioletowy bakłazan, a ona przytuliła go do siebie, ten bakłazan fioletowy i ciepły od słońca.

Gdy się obudził, pod drzwiami znalazł liścik z kwiatem glicynii.

Osaczony przez żaby powiedziałby, że czapla.

26

Przygotowując się do powrotu do domu, Chiyoh intensywnie wpajała mu podstawy japońskiego z nadzieją, że będzie mógł choć trochę porozmawiać z panią Murasaki i zabić monotonię, jaką była dla niej ciągła rozmowa po angielsku.

Chiyoh stwierdziła, że chłopiec szybko zrozumiał wywodzącą się z Heian tradycję komunikowania się poprzez poezję i uczyła go pisać wiersze — przyznała również, że umiejętności tej brakuje jej przyszłemu mężowi. Wykorzystując szereg przedmiotów, które uważała za święte dla przedstawiciela kultury zachodniej, kazała mu przysiąc, że będzie strzegł pani Murasaki jak oka w głowie. Musiał przysięgać nie tylko przed ołtarzykiem na strychu, ale i złożyć przysięgę krwi, co łączyło się z nakłuwaniem palca szpilką.

Czasu nie dało się powstrzymać życzeniami: pani Murasaki i Hannibal spakowali się przed wyjazdem do Paryża, Chiyoh przed powrotem do Japonii. Na Gare de Lyon Serge i Hannibal załadowali jej kufer do wagonu, podczas gdy pani Murasaki siedziała z nią w przedziale i do ostatniej chwili trzymała ją za rękę. Widząc, jak wymieniają ostatnie ukłony, postronny obserwator uznałby, że nie wiedzą, co znaczy wzruszenie.

Jej brak odczuli już w drodze powrotnej do domu. Teraz zostali tylko we dwoje.

Paryskie mieszkanie, zajmowane przed wojną przez ojca pani Murasaki, było bardzo japońskie w dyskretnej grze cieni i obfitości laki. Jeśli widok znajomych mebli, z których jeden po drugim zdejmowano pokrowce, budził w niej wspomnienia, niczym tego nie okazywała.

Podwiązali razem ciężkie zasłony, wpuszczając do środka słońce. Hannibal spojrzął z góry na Place des Vosges - samo światło, przestrzeń i ciepła, czerwona cegła - jeden z najpiękniejszych placów Paryża, mimo zapuszczonego od wojny parku.

Tam, na dole, król Henryk II walczył na kopie w barwach Diany de Poitiers: padł śmiertelnie ugodzony w oko drzazgą i nie zdołał go uratować nawet samWesaliusz.

Zamknąwszy jedno oko, Hannibal zastanowił się, gdzie by to mogło być - prawdopodobnie tam, gdzie stał teraz inspektor Popił z doniczkowym kwiatem w ręku, patrząc na ich okna. Hannibal mu nie pomachał.

- Chyba będziemy mieli gościa — rzucił przez ramię.

Pani Murasaki nie spytała jakiego. Gdy Popił zapukał do drzwi, odczekała chwilę i otworzyła.

Wszedł z doniczką i torebką czekoladek od Fauchona. I trochę się pogubił, bo mając zajęte ręce, próbował zdjąć kapelusz. Pani Murasaki mu pomogła.

- Witam w Paryżu - powiedział. - Kwiaciarka kleła się na wszystkie świętości, że nada się na taras.

- Na taras? Widzę, że mnie pan śledzi, inspektorze, i że dowiedział się pan już, iż takowy mam.

- To jeszcze nic. Udało mi się również potwierdzić, że ma pani przedpokój, podejrzewam, że kuchnię też.

-A więc pracuje pan metodą od pokoju do pokoju?

- Otóż to.

-Aż dojdzie pan dokąd? - Lekko się zaczerwienił, więc mu odpuściła. -Wystawmy go na słońce, dobrze?

Gdy weszli, Hannibal właśnie rozpakowywał zbroję. Stał przy skrzyni z samurajską maską w rękach. Nie odwrócił się do niego, odwrócił tylko głowę jak sowa. Widząc kapelusz w rękach pani Murasaki, oszacował, że głowa inspektora ma dziewiętnaście i pół centymetra wysokości i waży sześć kilo.

- Wkładasz ją czasem? — spytał Popił. — Tę maskę.

- Nie zasłużyłem na to.

- Ciekawe.

- Czy nosi pan swoje medale, panie inspektorze?

- Na uroczystościach, kiedy wymagają tego okoliczności.

- Czekoladki od Fauchona. Bardzo przemyślne. Zabijają zapach sierocińca.

- Ale nie zapach olejku goździkowego. Szanowna pani, musimy porozmawiać na temat pani prawa stałego pobytu.

Rozmawiali na tarasie. Hannibal obserwował ich przez okno: skorygował pierwotne szacunki i uznał, że kapelusz inspektora ma dwadzieścia centymetrów wysokości. Podczas rozmowy kilka razy przestawiali kwiat, żeby dobrać najodpowiedniejsze nasłonecznienie. Chyba musieli się czymś zająć.

Hannibal przestał rozpakowywać zbroję. Ukląkł przed skrzynią i położył ręce na pochwie krótkiego miecza pokrytej skórą płaszczki. Spojrzał na inspektora oczami samurajskiej maski.

Pani Murasaki się śmiała. Popił próbował pewnie żartować i śmiała się przez grzeczność. Kiedy wrócili do mieszkania, zostawiła ich samych.

- Hannibalu, tuż przed śmiercią twój wuj próbował dowiedzieć się czegoś o Miszy. Ja też mogę spróbować. Na Litwie, w krajach bałtyckich, jest teraz bardzo ciężko: Sowietci czasem współpracują, ale częściej odmawiają. Mógłbym ich przycisnąć.

- Dziękuję.

- Co pamiętasz?

- Mieszkaliśmy w domku myśliwskim. Był wybuch. Pamiętam, że zabrali mnie żołnierze i że jechałem czołgiem do wsi. Co było przedtem, nie wiem. Próbuję sobie przypomnieć. Nie mogę.

- Rozmawiałem z doktorem Rufinem.

Brak widocznej reakcji.

- Nie chciał mi zdradzić szczegółów waszych spotkań.

Na to też.

- Ale powiedział, że bardzo martwisz się o siostrę. Że z czasem pamięć może wrócić. Jeśli cokolwiek pamiętasz, powiedz mi, proszę.

Hannibal spojrział mu w oczy.

- Dlaczego miałbym nie powiedzieć? - Żałował, że nie słycać było zegara. Dobrze by było słyszeć teraz zegar.

- Kiedy rozmawialiśmy po tej... po tym incydencie z Paułem Momundem, powiedziałem ci, że straciłem na wojnie bliskich. Ciężko mi o tym myśleć. Wiesz dlaczego?

- Proszę mi powiedzieć.

- Dlatego, że powinienem był ich uratować. Ilekroć przekonuję się, że czegoś nie zrobiłem, że mogłem coś zrobić, przeżywam piekło. Jeśli odczuwasz to samo, jeśli też się czegoś boisz, nie pozwól, żeby strach zdusił w tobie pamięć o czymś, co mogłoby pomóc Miszy. Mnie możesz powiedzieć absolutnie wszystko.

Wróciła pani Murasaki. Popił wstał i zmienił temat.

- Liceum to dobra szkoła i w pełni zasłużyłeś, żeby się w niej uczyć. Jeśli będę mógł w czymś pomóc, pomogę. Od czasu do czasu będę cię tam odwiedzał.

- Ale wolałby pan odwiedzać mnie tutaj - odparł Hannibal.

- Będzie pan mile widziany - wtrąciła pani Murasaki.

- Do widzenia, panie inspektorze - rzucił Hannibal.

Pani Murasaki odprowadziła Popiła do drzwi i wróciła, kipiąc gniewem.

- Podobasz mu się, pani - powiedział Hannibal. - Widać to po jego twarzy.

-A co widać po twojej? Niebezpiecznie jest go prowokować.

-Jest nudny.

-A ty niegrzeczny.To zupełnie do ciebie niepodobne.Jeśli chcesz być niegrzeczny dla gości, bądź niegrzeczny w swoim własnym domu.

- Pani, chcę zostać tutaj, z tobą.

Gniew z niej wyparował.

- Nie. Wakacje i weekendy będziemy spędzać razem, ale musisz zamieszkać w bursie, tak jak wymagają tego przepisy. Wiesz, że moja ręka jest zawsze na twym sercu. - I położyła mu rękę na piersi.

Na sercu. Ręka, która trzymała kapelusz Popina, leżała na jego sercu. Ręka, która trzymała nóż na gardle brata rzeźnika. Ręka, która chwyciła rzeźnika za włosy, wrzuciła jego głowę do torby i postawiła ją na skrzynce pocztowej. Jej bijące na dłoni serce. Twarz jej niezgłębiona.

Żaby zakonserwowano w formalinie jeszcze przed wojną i jeśli ich organy jakkolwiek wtedy zabarwiono, barwy te już dawno wyblakły. Na sześciu uczniów w cuchnącym szkolnym laboratorium przypadała tylko jedna. Wokół każdego talerza, na którym leżało skurczone truchełko, tłoczyło się sześciu chłopców, a ponieważ wszyscy rysowali, na stole leżało pełno okruszków startej gumy. W klasie było zimno - brakowało węgla - i niektórzy siedzieli w rękawiczkach z obciętymi czubkami palców.

Hannibal podszedł do stołu, spojrzął na żabę i wrócił do ławki. W sumie podszedł tam tylko dwa razy. Jak na nauczyciela przystało, profesor Bienville podejrzewał każdego, kto siedział na końcu klasy. Zaszedł Hannibala z boku i okazało się, że podejrzewał go słusznie, ponieważ zamiast żaby, chłopiec szkicował czyjaś twarz.

- Lecter, dlaczego nie rysujesz okazu?

- Już skończyłem, panie profesorze. - Hannibal podniósł kartkę i ukazał się rysunek żaby dokładnie opisanej i oddanej z anatomiczną precyzją godną samego Leonarda. Wnętrznosci były pokratkowane i pocieniowane.

Profesor uważnie przyjrzał się jego twarzy. Poprawił językiem protezę i powiedział:

- Wezmę to. Chcę to komuś pokazać. Dostaniesz pochwałę. - Przerzucił kartkę. — A to kto?

- Nie wiem. Gdzieś go widziałem.

Była to twarz Vladisa Grutasa, ale Hannibal nie znał jego nazwiska. Widział ją na tle księżycy, widział na suficie o północy.

Rok szarówki za oknami szkoły. Dobrze chociaż, że światło było na tyle rozproszone, że mógł przy nim rysować, no i zmieniły się same pomieszczenia, bo przenoszono go do coraz to wyższej klasy.

Nareszcie wakacje.

Pierwszej jesieni po śmierci hrabiego i po wyjeździe Chiyoh pani Murasaki boleśnie odczuwała ich stratę. Gdy mąż żył, jadali kolacje na łące pod zamkiem, skąd widać było księżyc w pełni i gdzie grały jesienne świerszcze.

A teraz, siedząc na tarasie swego paryskiego mieszkania, czytała Hannibalowi list od Chiyoh, w którym dziewczynka opisywała przygotowania do ślubu. Patrzyli, jak powoli dopełnia się księżyc, lecz świerszcze milczały.

Wczesnym rankiem Hannibal złożył połówkę, pojechał rowerem do ogrodu botanicznego na drugim brzegu Sekwany i jak zwykle zajrzał do menażerii. Dobra nowina: pospiesznie napisana wiadomość z adresem.

Dziesięć minut później, na południe od Place Monge i rue Ortolan, znalazł sklep: *Poissons Tropicaux, Petites Oiseaux & Animaux Exotiques*.

Z torby na bagażniku wyjął aktówkę i wszedł do środka.

W ciasnym sklepiku stały baterie akwariów i klatek, zewsząd dochodził świergot ptaków i szum obracanych przez chomiki kółek. Pachniało ziarnem, ciepłymi piórami i pokarmem dla ryb.

Z klatki przy kasie odezwała się po japońsku duża papuga. Za ladą pojawił się starszy Japończyk o miłej twarzy, który gotował coś na zapleczu.

- *Gomekudasai*, monsieur? - zaczął Hannibal.

—*Irasshaimase*, monsieur — odparł tamten.

—*Irasshaimase*, monsieur — powtórzyła papuga.

- Ma pan dzwonniki *suzumushi*, monsieur?
- *Non, je suis desolee, monsieur*- odrzekł właściciel sklepu.
- *Non, je suis desolee, monsieur* - powiedziała papuga.

Japończyk spojrział na nią, zmarszczył brwi i żeby zbić wścibskie-go ptaka z tropu, przeszedł na angielski.

- Mam znakomitą odmianę świerszcza walczącego. To zawzięci wojownicy, zwyciężają na wszystkich turniejach.

- To ma być prezent dla pewnej japońskiej damy, która o tej porze roku tęskni za graniem *suzumushi*. Zwykły świerszcz to nie to samo.

- Nie śmiałybym proponować ci świerszcza francuskiego, którego granie jest miłe tylko dlatego, że kojarzy się z tą czy inną porą roku. Ale nie, nie mam *suzumushi* na sprzedaż. Może twojej damie spodobałaby się papuga z bogatym japońskim słownictwem ze wszystkich dziedzin życia?

- A ma pan może swego osobistego *suzumushi*?

Japończyk zapatrzył się w dal. W nowej republice przepisy dotyczące importu owadów i ich jaj były jeszcze bardzo mętne.

- Chciałbyś go posłuchać?
- Byłbym zaszczycony - odparł Hannibal.

Właściciel sklepu zniknął na zapleczu; wrócił z małą klatką, ogórkiem i nożem. Postawił klatkę na ladzie, na oczach wygłodniałej papugi odkroił maleńki kawałek ogórka i wcisnął go między pręty. Chwilę później świerszcz zagrał i w sklepie zabrzmiał dźwięk dzwoneczków u sań. Japończyk wsłuchał się weń z błogim wyrazem twarzy.

Papuga próbowała naśladować pieśń świerszcza najlepiej jak umiała, głośno i wielokrotnie. Ponieważ nie dostała za to żadnej nagrody, zaczęła przeraźliwie krzyczeć i rzucać przekleństwami, i Hannibal pomyślał o wuju Elgarze. Właściciel sklepu przykrył klatkę ściereczką.

- *Merde* — rzuciła spod ściereczki papuga.

- Czy nie mógłbym go od pana wypożyczyć lub wdzierżawić? Chociaż na kilka tygodni.

- A w jaki sposób byś mi zapłacił?

- Miałem na myśli wymianę - odparł Hannibal. Wyjął z aktówki mały rysunek piórkiem i tuszem, złocistego żuka na zgiętym źdźble trawy.

Japończyk ostrożnie ujął rysunek za brzegi i podniósł go do światła. Oparł go o kasę.

- Mógłbym popytać wśród kolegów. Przyjdiesz po obiedzie?

Hannibal poszedł na spacer; kupił śliwkę na ulicznym straganie i ją zjadł. Oto sklep myśliwski z trofeami na wystawie, z łbem owcy gruborogiej i koziorożca. I elegancka dwururka marki Holland & Holland oparta o ścianę w rogu okna. Miała cudowne łożę; zdawało się, że drewno obrasta metal i że metal i drewno razem mają w sobie coś z pięknego, wijącego się węża.

Dubeltówka była wytworna i na swój sposób piękna jak pani Murasaki. Myśl ta była dość nieswoja pod okiem zwierzęcych głów.

Japończyk czekał na niego ze świerszczem.

- Zwrócisz klatkę w październiku?

- Jest szansa, że przeżyje jesień?

- Jeśli będziesz trzymał go w ciepłe, przeżyje i zimę - odparł Japończyk. - Przynieś mi klatkę... w stosownym czasie. - Sięgnął po ogórek. - Tylko nie dawaj mu całego naraz.

Pani Murasaki skończyła się modlić i pogrążona w jesiennych myślach wyszła na taras.

Kolacja przy niskim stoliku w świetlistym zmierzchu. Jedli już makaron, gdy zachęcony ogórkiem świerszcz zaskoczył ją krystalicznie czystą pieśnią, którą wyśpiewał z ciemności pod kwiatami. Myślała, że to sen. Ale świerszcz zaśpiewał znowu i znowu zabrzmiały dzwoneczki u sań.

Pojaśniały jej oczy i wróciła do rzeczywistości. Uśmiechnęła się do Hannibala.

- Na twój widok świerszcz śpiewa w duecie z moim sercem.

- Me serce drży na widok tej, która nauczyła je śpiewać.

Do wtóru pieśni świerszcza wzeszedł księżyc. Zdawało się, że taras wschodzi razem z nim, że księżycowa poświata wciąga go, dźwiga, że wynosi ich ponad nawiedzoną przez duchy ziemię do miejsca od nich wolnego, i wystarczyło im to, że są tam razem.

Z czasem miał jej powiedzieć, że świerszcz jest wypożyczony, że musi go zwrócić, gdy ubędzie księżyc.

Dzięki pracowitości, staranności, gustowi i pieniądзом, jakie pozostały po sprzedaży chateau i zapłaceniu podatku spadkowego, pani Murasaki mogła pozwolić sobie na względnie eleganckie życie. Dałaby Hannibalowi wszystko, o co by ją tylko poprosił, lecz on nie prosił o nic.

Robert Lecter zapisał mu pieniądze na podstawowe wydatki szkolne, na nic więcej.

Najważniejszym składnikiem budżetu Hannibala był list jego własnego autorstwa. Podpisany: „Dr. Gamil Jolipoli, alergolog” uczulał szkołę na to, że Hannibal jest bardzo wrażliwy na pył kredowy i powinien siedzieć jak najdalej od tablicy.

Ponieważ miał znakomite stopnie, dobrze wiedział, że nauczycieli nie obchodzi to, co robi, pod warunkiem, że nie zobaczą tego inni uczniowie, którzy mogliby wziąć z niego zły przykład.

Siedząc na końcu klasy i jednym uchem słuchając nauczyciela, mógł spokojnie szkicować i malować ptaki w stylu Musashi Miyamoto.

W Paryżu nastała moda na japońszczyznę. Rysunki były małe i mieściły się na ścianach ciasnych paryskich mieszkań, poza tym turysta mógł łatwo zmieścić je w walizce. Hannibal stemplował je symbolem „Wieczności w ośmiu pociągnięciach pędzlem”.

W dzielnicy był na nie zbyt, w galerijkach przy rue Saints-Peres i rue Jacob, chociaż właściciele niektórych woleli, żeby przynosił je po zamknięciu, tak by klienci nie wiedzieli, że maluje je dziecko.

Pod koniec lata chodził po szkole do Ogrodów Luksemburskich i ponieważ światło wciąż było dobre, szkicował tam dziecięce żagłówki na stawie, czekając, aż zamkną galerie. Potem siedł na Saint-Germain - zbliżały się urodziny pani Murasaki i wypatrzył dla niej piękny nefryt na Place Furstenberg.

Udało mu się sprzedać szkic łódki dekoratorowi wewnątrz z rue Jacob, ale rysunki japońskie zatrzymał dla właściciela małej, podejrzananej galerijki przy rue Saints-Peres. Były pełne imponujących zawijasów i oprawione, bo znalazł dobrego ramiarza, który udzielił mu kredytu.

Zaniósł je w plecaku na Saint-Germain. Stojące na chodniku stoliki kafejek były pełne, a uliczni klauni zadręczali przechodniów ku uciechu gości Cafe Florę. Kluby jazzowe na małych uliczkach bliżej rzeki, przy rue Saint-Benoit i rue de l'Abbaye, były jeszcze zamknięte, ale restauracje już działały.

Próbował zapomnieć o szkolnym obiedzie, o daniu, które nazywali „Szczałkami męczennika”, i z zainteresowaniem czytał mijane po drodze jadłospisy. Miał nadzieję, że już wkrótce uzbiera pieniądze na urodzinową kolację i szukał jeźwoców morskich.

Gdy zadzwonił dzwonek u drzwi, monsieur Leet, właściciel galerii Leet, golił się właśnie przed wieczornym spotkaniem. W sklepie wciąż paliło się światło, chociaż zasłony były już zaciągnięte. Leet był po belgijsku niecierpliwy w stosunku do Francuzów i drapieżny w stosunku do Amerykanów, których za wszelką cenę pragnął oskubać, wierząc, że kupią wszystko. Sprzedawał koneserskie dzieła malarzy figuratywnych, małe posąжки i antyki, a jego galeria słynęła z obrazów marynistycznych i pejzaży.

- Dobry wieczór, monsieur Lecter - powiedział. - Miło pana widzieć. Ufam, że ma się pan dobrze. Muszę pana poprosić, żeby zechciał pan poczekać, aż zapakuję ten obraz; jeszcze dziś pojedzie do Filadelfii.

Hannibal z doświadczenia wiedział, że tak ciepłe powitanie skrywa oszustwo. Dał mu rysunki ze zdecydowanie wypisaną ceną.

- Mogę się rozejrzeć?
- Bardzo proszę.

Miło było być poza murami szkoły i oglądać dobre obrazy. Po paru godzinach szkicowania żagliówek na stawie myślał o wodzie, o problemach związanych z jej malowaniem. Myślał o Turnerowskiej mgiełce i jego kolorach, o tym, że są nie do podrobienia i chodził od obrazu do obrazu, patrząc na wodę, na powietrze nad wodą. Natknął się na mały obraz na sztaludze, Canale Grandę w pełnym słońcu na tle kościoła Santa Maria della Salute.

Był to Guardi z ich zamku. Poznał go, zanim go rozpoznał, wystarczył rozbłysk pamięci pod powiekami: znajome płótno i znajoma rama. Może to tylko kopia. Podniósł go i uważnie obejrzał. W lewym górnym rogu były małe, brązowe kropki. Kiedy był mały, słyszał, jak rodzice mówią, że obraz zaczyna „linieć”, więc długo się mu przyglądał, próbując dostrzec w kropkach kształt lina lub choćby jego pletwy. Obraz nie był kopią. Rama parzyła w dłonie.

Do sali wszedł Leet. Zmarszczył brwi.

- Dotykamy tylko wtedy, kiedy chcemy kupić. Oto pański czek.
- Roześmiał się głośno. - Dałem panu za dużo, ale na Guardiiego i tak nie wystarczy.
- Nie, dzisiaj nie - oparł Hannibal. - Do następnego razu, monsieur Leet.

Inspektor Popił, zniecierpliwiony łagodnym brzmieniem gongu, załomotał do drzwi galerii przy rue Saints-Peres. Gdy Leet go wpuścił, Popił od razu przeszedł do rzeczy.

- Skąd pan ma Guardiiego?

- Kupiłem go od Kopnika, kiedy dzielił się majątkiem firmy - odparł właściciel galerii. Otarł twarz i pomyślał, że w tej nieprzewiewnej marynarce Popił wygląda jak obrzydliwy żabojad. - Kupił go od jakiegoś Fina, ale nie znam jego nazwiska.

- Poproszę o fakturę. Powinien pan mieć również katalog dzieł sztuki zrabowanych przez hitlerowców. O katalog też poproszę.

Leet porównał listę skradzionych dokumentów' z katalogiem.

- Niech pan spojrzy: zrabowany Guardi jest tu opisany inaczej. Według Roberta Lectera, jest to *Widok na Santa Maria delia Salute*, natomiast ja kupiłem go jako *Widok na Canale Grandę*.

- Mam nakaz konfiskaty tego obrazu bez względu na to, jak się nazywa. Dam panu pokwitowanie. Niech pan znajdzie tego „Kopnika”, monsieur Leet, a zaoszczędzi pan sobie wielu nieprzyjemności.

- Kopnik nie żyje, panie inspektorze. Był moim współnikiem. Galeria nazywała się wtedy Kopnik i Leet. Leet i Kopnik brzmiałoby lepiej.

- Ma pan jego księgi?

-Jego adwokat może mieć.

- Niech pan ich poszuka. I to dobrze. Chcę wiedzieć, jak ten obraz trafił z zamku Lecterów do pańskiej galerii.

- Lecerów? - powtórzył Leet. -To... ten chłopiec od rysunków?

-Tak.

- Niezwykłe.

- Owszem, niezwykle. Proszę zapakować obraz.

Leet zjawił się w Quai des Orfevres dwa dni później. Przyniósł dokumenty. Popił kazał mu poczekać na korytarzu, pod drzwiami z napisem: „Pokój przesłuchań nr 2”, gdzie trwało głośne przesłuchanie podejrzanego o gwałt, przerywane odgłosami głuchych uderzeń i krzykami. Leet musiał kisić się w tej atmosferze przez kwadrans, zanim inspektor poprosił go do gabinetu.

Leet dał mu pokwitowanie. Wynikało z niego, że Kopnik kupił obraz od niejakiego Emppu Makinena za osiem tysięcy funtów brytyjskich.

- Czy to według pana przekonujące? - spytał Popił. - Według mnie nie.

Leet odchrząknął i wbił wzrok w podłogę. Minęło dwadzieścia sekund.

- Prokurator chce wszcząć śledztwo, monsieur Leet. Wie pan, że jest kalwinistą, i to najsurowszym?

-Ten obraz...

Popił powstrzymał go gestem ręki.

- Niech pan o tym na chwilę zapomni. Załóżmy, że mógłbym zainterweniować w pańskiej sprawie. Chcę, żeby mi pan pomógł. Proszę spojrzeć. - Podał mu plik kartek gęsto zapisanych na maszynie. -To lista przedmiotów, które komisja do spraw dzieł sztuki sprowadza do Paryża z Monachijskiego Punktu Zbiorczego. Wszystkie są kradzione.

- Na wystawę w Jeu de Paume.

- Tak, osoby roszczące sobie do nich prawo będą mogły je tam obejrzeć. Połowa drugiej strony.To w kółku.

- *Most Westchnień*. Bernardo Bellotto, trzydzieści sześć na trzydzieści centymetrów, olej na drewnie.

- Zna pan ten obraz? - spytał Popił.

- Słyszałem o nim, oczywiście.

-Jeśli to autentyczny, zrabowano go z zamku Lecterów. Wie pan, że porównuje się go często z innym słynnym *Mostem Westchnień*.

-Tak, Canaletta. Canaletto namalował go tego samego dnia.

- Ten obraz też zniknął z zamku Lecterów. Prawdopodobnie ukradła go ta sama osoba. O ile więcej zarobiłby pan, sprzedając te dwa obrazy razem?

- Cztery razy. Nikt rozsądny by ich nie rozdzielił.

- Rozdzielono je z głupoty albo przez przypadek. Dwa obrazy Mostu Westchnień. Jeśli ten, kto je ukradł, wciąż ma jeden z nich, czy nie chciałby odzyskać drugiego?

- Bardzo.

- Kiedy ten obraz zawiśnie w Jeu de Paume, zrobi się o nim głośno. Pójdzie pan ze mną na wystawę i zobaczymy, kto będzie wokół niego węszył.

Dzięki zaproszeniu pani Murasaki weszła do muzeum przed wielkim tłumem rozgadanych i zniecierpliwionych ludzi, którzy zgromadził się w Tuileries, chcąc obejrzeć ponad pięćset dzieł sztuki, które aliancka Komisja do spraw Skradzionych Zabytków, Dzieł Sztuki i Archiwów sprowadziła z Monachijskiego Punktu Zbiorczego, żeby znaleźć ich prawowitych właścicieli.

Dla niektórych dzieł była to już trzecia podróż między Francją i Niemcami, ponieważ najpierw ukradł je w Niemczech Napoleon, potem ukradli je we Francji Niemcy, a teraz przywieźli je tu alianci.

Na parterze muzeum pani Murasaki zobaczyła zdumiewającą mieszaninę zachodnich wizerunków. Jeden koniec sali wypełniały obrazy religijne, krwawa jatka pełna wiszących Chrystusów.

Dla ukojenia obejrzała *Mięsną przekąskę*, wesoly obraz przedstawiający obficie zastawiony bufet, przy którym nie było nikogo oprócz spaniela przymierzającego się do porwania szynki. Nieco dalej wisały obrazy ze szkoły Rubensa, pulchne, różowe kobiety w otoczeniu pulchnych maluchów ze skrzydełkami.

To właśnie tam inspektor Popił po raz pierwszy zobaczył ją w podróbce kostiumu od Chanel, szczupłą i elegancką na tle różowych nagości Rubensa.

Zaraz potem wypatrzył Hannibala, który właśnie wchodził schodami na górę. Popił nie pokazał się, tylko czujnie obserwował.

Aaa, już siebie widzą, piękna Japonka i jej podopieczny. Ciekawiło go, jak się przywitają; przystanęli kilkadziesiąt centymetrów od siebie i zamiast ukłonów, wymienili uśmiechy. Potem podeszli bliżej i się objęli. Pani Murasaki pocałowała Hannibala w policzek i od razu pograżyli się w rozmowie.

Tuż nad ich ciepłym powitaniem wisiła dobra kopia *Judyty obcinającej głowę Holofemesowi* Caravaggia. Inspektor byłby rozbawiony - przed wojną. Teraz dostał gęsiej skórki.

Ściągnąwszy na siebie wzrok Hannibala, dyskretnie wskazał mu mały gabinet przy wejściu, gdzie czekał Leet.

- Ci z Monachijskiego Punktu Zbiorczego mówią, że półtora roku temu obraz odebrano przemytnikowi na polskiej granicy - zaczął Popił.

- Ten przemytnik powiedział coś? Zdradził źródło? - spytał Leet.

Inspektor pokręcił głową.

- Jakiś Niemiec udusił go w więzieniu wojskowym w Monachium. Tej samej nocy Niemiec zniknął, uważamy, że dzięki siatce przemytniczej Dragonovica. To ślepy zaułek.

- Obraz wisi na stanowisku osiemdziesiątym ósmym, na samym rogu. Monsieur Leets mówi, że wygląda na autentyk. Hannibalu, jesteś w stanie go rozpoznać i potwierdzić, że należał do waszej rodziny?

-Tak.

- Jeśli to wasz obraz, dotknij ręką policzka. Jeżeli ktoś do ciebie zagada, powiedz, że bardzo się cieszysz, że go odnalazłeś i że mało cię interesuje, kto go ukradł. Bardzo chcesz go mieć, chcesz go odzyskać i jak najszybciej sprzedać, ale chcesz też mieć ten od pary.

- Bądź trudny, zepsuty i samolubny - mówił Popił z niepasującą do niego lubością. - Dasz radę? Posprzeczaj się ze swoją opiekunką. To on będzie chciał z tobą porozmawiać, a nie ty z nim. Poczuj się bezpieczniej, jeśli się pokłócicie. Uprzyj się, że chcesz się z nim jakoś skontaktować. Leet i ja wyjdziemy; daj nam kilka minut, zanim zaczniesz.

- Chodźmy — rzucił do siedzącego obok Leeta. — Robimy to legalnie, nie musi się pan ukrywać.

Hannibal i pani Murasaki oglądają, oglądają rząd małych obrazów.

Tam, na wysokości wzroku: *Most Westchnień*. Jego widok poruszył Hannibala bardziej niż Guardi. Widział na nim twarz matki.

Coraz więcej ludzi, listy zrabowanych dzieł sztuki w ich ręku, pliki dokumentów potwierdzających własność pod pachą. Między nimi mężczyzna w garniturze tak bardzo angielskim, że marynarka zdawała się mieć lotki.

Z listą przed oczami, stanął na tyle blisko, że mógł ich podsłuchać.

- Ten obraz wisiał w pokoju do szycia mojej matki - mówił Hannibal. - Kiedy wyjeżdżaliśmy, dała mi go i kazała zanieść kucharzowi. Prosiła, żebym uważał i nie pobrudził tyłu.

Zdjął obraz ze ściany i odwrócił go. Zaskrzyły mu się oczy. Na płótnie z tyłu obrazu był kredowy zarys dziecięcej ręki, prawie już starty, bo pozostał tylko odcisk kciuka i palca wskazującego. Ocalał zabezpieczony cienkim przezroczystym papierem.

Hannibal długo mu się przyglądał. W tej przyprawiającej o zawrót głowy chwili zdawało mu się, że palec i kciuk się poruszają, że falują.

Z trudem przypomniał sobie polecenie Popila. *Jei/j to wasz obraz, dotknij ręką policzka.*

Wziął głęboki oddech i dotknął.

- To ręka Miszy - powiedział do pani Murasaki. - Kiedy miałem osiem lat, bielono u nas ściany na górze. Obydwa obrazy, ten i ten od pary, przeniesiono na otomanę w pokoju matki i przykryto prześcieradłem. Weszliśmy z Miszą pod prześcieradło jak pod namiot. Bawiliśmy się w nomadów na pustyni. Wyjąłem kredę z kieszeni i obrysowałem jej rękę, żeby odpędzić złe oko. Rodzice wpadli w gniew, ale obrazowi nic się nie stało i w końcu potraktowali to jak zabawny epizod.

Szedł ku nim mężczyzna w filcowym kapeluszu z szerokim, lekko uniesionym rondem; na szyi miał identyfikator na sznurku.

„Ten z komisji potraktuje cię z góry, więc się z nim pokłóć”, mówił Popił.

- Proszę tego nie robić - rzucił urzędnik. - Proszę nie dotykać.

- Nie dotknąłbym go, gdyby nie należał do mnie - odparł Hannibal.

- Proszę nie dotykać, dopóki nie udowodni pan, że obraz należy do pana, w przeciwnym razie każę stąd pana wyprosić. Pójdę po kogoś z kancelarii.

Gdy tylko urzędnik odszedł, u boku Hannibala wyrósł mężczyzna w angielskim garniturze.

- Alec Trebelaux - powiedział. - Mogę panu pomóc.

Popił i Leet obserwowali ich z odległości dwudziestu metrów.

- Zna go pan? - spytał inspektor.

- Nie - odparł Leet.

Trebelaux zaprosił Hannibala i panią Murasaki na rozmowę w głębokiej niszy okna. Miał pięćdziesiąt kilka lat, mocno opaloną łysinę i opalone ręce. W bijącym z okna świetle widać było łupież w jego brwiach. Hannibal go nie znał.

Widok pani Murasaki sprawiał przyjemność większości mężczyzn. Trebelaux nie sprawił i chociaż miał złudnie nienaganne maniery, pani Murasaki natychmiast to wyczuła.

- Bardzo się cieszę, że mogę panią poznać, Madame. Czy chodzi o jakieś problemy związane z opieką prawną?

- Madame jest moją doradczynią - odparł Hannibal. - Proszę rozmawiać ze mną.

Bardzo chcesz go mieć—powiedział Popił. -Jesteś trudny, zepsuty i samolubny. Pani Murasaki będzie głosem rozsądku i umiarkowania.

- Owszem, monsieur - odrzekła. - Są pewne problemy.

- Ale ten obraz należy do mnie - upierał się Hannibal.

- Będziesz musiał udowodnić to przed komisją, a komisja jest zajęta na półtora roku naprzód. Do tego czasu obraz pozostanie " w depozycie.

- Chodzę do szkoły, monsieur, liczyłem na to, że...

- Mogę ci pomóc — przerwał mu Trebelaux.
- Proszę powiedzieć jak.
- Za trzy tygodnie staję przed komisją w innej sprawie.
- Handluje pan dziełami sztuki, monsieur? - spytała pani Murasaki.
- Madame, chętnie bym je zbierał, gdyby było mnie na to stać. Ale żeby kupić, muszę najpierw sprzedać. Miło jest mieć coś pięknego, choćby tylko przez chwilę. Kolekcja Lecterów była niewielka, lecz wyśmienita.
- Zna pan tę kolekcję? - spytała pani Murasaki.
- Dzieła zrabowane z zamku zostały umieszczone na liście przez pani zmarłego... przez Roberta Lectera.
- I mógłby pan przedstawić moją sprawę na posiedzeniu komisji? - wtrącił Hannibal.
- Tak, zgodnie z konwencją haską z tysiąc dziewięćset siódmego. Zaraz ci to wytłumaczę...
- Tak, zgodnie z artykułem czterdziestym szóstym, już o tym rozmawialiśmy. - Hannibal zerknął na panią Murasaki i oblizał usta, żeby wyglądać na chciwca.
- Braliśmy pod uwagę wiele rozwiązań, Hannibalu - odparła pani Murasaki.
- A jeśli nie zechcę go sprzedać? - spytał Hannibal.
- Będziesz musiał zaczekać na swoją kolej i stanąć przed komisją, pewnie już jako dorosły.
- Mój mąż mówił, że to obraz od pary - powiedziała pani Murasaki. - Że razem są warte o wiele więcej. Nie wie pan przypadkiem, gdzie jest ten drugi, ten Canaletta?
- Nie, Madame.
- Warto by było się dowiedzieć, monsieur. - Popatrzyła mu prosto w oczy. - Chciałabym się z panem jakoś skontaktować. Ja z panem - dodała z naciskiem na „ja”.
- Dał jej adres hoteliku w pobliżu Gare de l'Est, nie patrząc na Hannibala, ucisnął mu rękę i zniknął w tłumie.

Hannibal zarejestrował się jako osoba wysuwająca roszczenia, po czym wraz z panią Murasaki przespacerował się wśród beładnej mieszaniny dzieł sztuki. Widok odcisku ręki Miszy wprawił go w odrętwienie; ożywioną miał tylko twarz, bo pani Murasaki poklepała go po policzku i czuł dotyk jej ręki.

Przystanął przed gobelinem o nazwie *Poświęcenie Izaaka* i długo go oglądał.

- W korytarzach na górze mieliśmy pełno gobelinów - powiedział. - Stając na palcach, mogłem dotknąć ich dolnego brzegu. - Odchylił róg tkaniny. - Zawsze wolałem tę stronę, osnowę i wątki, które tworzą obraz.

- Są jak splątane myśli - odparła pani Murasaki.

Hannibal puścił gobelin. Abraham zadrżał, ściskając syna za gardło, anioł wyciągnął rękę, żeby powstrzymać nóż.

- Myślisz, pani, że Bóg chciał zjeść Izaaka i dlatego kazał Abrahamowi go zabić?

- Nie, Hannibalu. Oczywiście, że nie. Anioł zdążył mu przeszkodzić.

- Tym razem tak. Ale nie zawsze.

Kiedy Trebelaux zobaczył, że już wychodzą; zmoczył wodą chustkę w toalecie i wrócił na korytarz. Rozejrzał się szybko. Nie patrzył na niego żaden z urzędników pilnujących ekspozycji. Z dreszczykiem podniecenia zdjął obraz ze ściany, odchylił przezroczysty papier i stał chustką kredowy odcisk ręki. Mógł go zostawić ktoś nieostrożny, kiedy obraz trafił do depozytu. Wartość sentymalna? Po co?

31

Funkcjonariusz René Aden czekał po cywilnemu przed hotelem Trebelaux, dopóki nie zgasło światło na drugim piętrze. Wtedy poszedł na dworzec kolejowy, żeby coś przekąsić, i zdążył wrócić w chwili, gdy Trebelaux wyszedł z hotelu ze sportową torbą w ręku.

Na postoju przed Gare de l'Est wsiadł do taksówki, pojechał na drugi brzeg Sekwany, wysiadł przed łaźnią parową przy rue de Babylone i wszedł do środka. Aden zaparkował nieoznakowany samochód w strefie przeciwpożarowej, policzył do pięćdziesięciu i wszedł do holu. Powietrze było tam gęste i pachniało płynem do nacierania. Mężczyźni w szlafrokach czytali gazety w kilku językach.

Aden nie zamierzał się rozbierać. Był człowiekiem zdecydowanym, lecz jego ojciec zmarł na stopę okopową, dlatego nie chciał zdejmować butów w takim miejscu. Wziął z wieszaka gazetę w drewnianej ramce i usiadł na krześle.

Stukocząc przydużymi drewniakami, Trebelaux szedł przez sale pełne mężczyzn pocących się w upale na wyłożonych kafelkami ławkach.

Prywatne sauny wynajmowało się na piętnaście minut. Wszedł do tej drugiej. Nie zapłacił, bo już za niego zapłacono. Powietrze było gęste i wilgotne, więc, wytarł ręcznikiem okulary.

- Czemu tak długo? - rzucił Leet z kłębow pary. - Zaraz się tu rozpuszczę.

- Recepcjonista przekazał mi wiadomość, kiedy byłem już w łóżku - odparł Trebelaux.

- Policja obserwowała cię dzisiaj w muzeum.. Wiedzą, że Guardi, którego mi sprzedałeś, jest trefny.

- Kto ich na mnie nasłał? Ty?

- Przestań. Myślą, że wiesz, kto ma obrazy z zamku Lecterów. Wiesz?

- Nie. Może mój klient wie.

-Jeśli zdobędziesz drugi *Most Westchnień*, sprzedamy obydwie.

- Ale komu?

-To moja sprawa. Dużemu kupcowi z Ameryki. Powiedzmy, że pewnej instytucji. Wiesz coś, czy pocę się na datmo?

- Odezwę się - odrzekł Trebelaux.

Nazajutrz po pofucfniu Trebelaux kupił bifet do Luksemburga na Gare de l'Est. Aden patrzył, jak wsiada z walizką do pociągu. Konduktor był niezadowolony z napiwku.

Aden wykonał szybki telefon na Quai des Orfevres i pokazawszy konduktorowi odznakę, w ostatniej chwili wskoczył do odjeżdżającego pociągu.

Gdy dojechali do Meaux, zapadła już noc. Trebelaux poszedł do łazienki z przybornikiem do golenia. Gdy znowu ruszyli, wyskoczył z pociągu, zostawiając w przedziale walizkę.

Ulicę za dworcem czekał na niego samochód.

- Dlaczego akurat tutaj? - spytał Trebelaux, siadając obok kierowcy. - Mogłem przyjechać do Fontainebleau.

- Prowadzimy tu interesy - odparł kierowca. — Dobre interesy. -Trebelaux znał go jako Christophe'a Klebera.

Kleber podjechał do pobliskiej kafejki, gdzie zamówił obfitą kolację; zaczął od zupy z porów, którą wypił prosto z miseczki. Trebelaux bawił się sałatką; fasolką szparagową wypisywał swoje inicjały na brzegu talerza.

- Policja skonfiskowała Guardiego - powiedział, gdy Kleberowi podano kotlet cielęcy.

-Już mówiłeś, Hercule'owi. Nie powinieneś gadać o takich rzeczach przez telefon. O co chodzi?

- Policja powiedziała Leetowi, że zrabowano go na Wschodzie. To prawda?

- Ależ skąd. Kto go wypytywał?

-Jakiś inspektor z listą z komisji. Mówił, że Guardiego skradziono. Skradziono?

-Widziałeś pieczęć?

- Co jest warta pieczęć sowieckiego Komisariatu Oświaty?

- Ci z policji mówili, do kogo należał? Jeśli do jakiegoś Żyda, sprawa nie ma znaczenia, bo alianci nie odsyłają rzeczy odebranych Żydom. Żydzi nie żyją. Sowietci zatrzymują je dla siebie.

-To nie jest zwykły policjant, to jest inspektor - odparł Trebellaux.

- Mówisz jak prawdziwy Szwajcar. Jak się nazywa?

- Popił, jakoś tak.

- Aaaa... - Kleber wytarł usta serwetką. -Tak myślałem.W takim razie nie ma sprawy. Od lat jest na naszej liście płac. Próbował wymusić od niego pieniądze, to wszystko. Co mu Leet powiedział?

- Jeszcze nic, ale jest zdenerwowany. Na razie zwałił winę na Kopnika, swego nieżyjącego już współnika.

- Leet nic nie wie? Nie domyśla się, skąd masz ten obraz?

- Myśli, że kupiłem go w Lozannie, tak jak uzgodniliśmy. Zaczyna mendzić, domaga się zwrotu pieniędzy. Powiedziałem, że skontaktuję się z klientem.

- Mam Popiła w kieszeni. Zapomnij o tym, zostaw to mnie. Mamy do obgadania poważniejszą sprawę. Mógłbyś pojechać do Ameryki?

- Przez kontrolę celną niczego nie przemycam.

- Kontrola celna to nie twój problem.Ty masz tylko negocjować, tam, na miejscu. Obejrzysz towar, zanim go wyślemy i zobaczysz go znowu dopiero w Ameryce, podczas spotkania w banku.

-Ale jaki towar?

- Antyki. Kilka ikon, słończka. Zerkniemy na nie i powiesz, co myślisz.

- A tamta sprawa?

- Jesteś zupełnie bezpieczny — zapewnił go Kleber.

Kleber występował pod tym nazwiskiem tylko we Francji. Tak naprawdę nazywał się Petras Kolnas i owszem, znał inspektora Popiła, ale nie ze swojej listy płac.

Łódź „Christabel” cumowała przy nabrzeżu Marny na wschód od Paryża - była przywiązana tylko szpringiem - i kiedy Trebelaux wszedł na pokład, natychmiast odpłynęła. Była to zbudowana w Holandii barka mieszkalna z niskimi nadbudówkami i kontenerowym ogródkiem z kwitnącymi krzewami.

Jej właściciel, szczupły mężczyzna o wyblakłych, niebieskich oczach i miłym wyrazie twarzy, czekał na trapie: powitał Trebelaux i zaprosił go pod pokład.

- Cieszę się, że mogę pana poznać - powiedział i wyciągnął do niego rękę. Włosy na ręku rosły w odwrotnym kierunku, w stronę nadgarstka, i Szwajcar dostał gęsiej skórki. - Monsieur Milko pana zaprowadzi. Wszystko jest poukładane i przygotowane.

Właściciel został na pokładzie z Kolnasem. Przechadzali się przez chwilę między terakotowymi gazonami, by przystanąć przed metalowym szkaradztwem pośrodku ładnie utrzymanego ogródka, prawie dwustulitrową beczką z dziurami dużymi na tyle, że mogły wpłynąć nimi ryby, i z wierzchem, który obcięto palnikiem i przywiązano do beczki drutem. Właściciel łodzi poklepał ją tak głośno, że aż zadzwoniła.

- Chodźmy - rzucił.

Na dolnym pokładzie stworzył wysoką szafę. Zawierała broń, snajperkę Dragunowa, pistolet maszynowy Thompsona, dwa niemieckie schmeissery, pięć panzerfaustów na wrogie łodzie i kilka

pistoletów. Właściciel wybrał trójzębny oścień ze spiłowanymi zadziorami. Podał go Kolnasowi.

- Nie chcę go za bardzo pochlastać - powiedział miłym, łagodnym głosem. - Dzisiaj nie ma Ewy, nikt tu nie posprząta. Zrobisz to na pokładzie, kiedy powie już, co komu wygadał. Tylko dobrze go dziabnij, żeby nie wypłynął.

- Milko może...

-Ty go wystraszałeś, o twoją dupę tu chodzi, więc ty to zrobisz. Kroisz u siebie mięso czy nie? Kiedy go zaciukasz, Milko pomoże ci zapakować go do beczki. Zabierz mu klucze i przeszukaj jego pokój. W razie czego skasujemy i Leeta. Sprawy trzeba załatwiać do końca. I na jakiś czas koniec ze sztuką - powiedział właściciel łodzi, który we Francji nazywał się Victor Gustavson.

Victor Gustavson jest bardzo dobrze prosperującym biznesmenem zajmującym się handlem esesmańską morfiną i prostytutką, głównie kobiecą. Jego prawdziwe nazwisko brzmi Vladis Grutas.

Leet przeżył, lecz nie zdobył obrazów. Przez wiele lat przetrzymywano je w rządowym skarbcu, ponieważ sąd nie mógł się zdecydować czy chorwacka umowa reparacyjna może odnosić się do Litwy, tymczasem Trebelaux spoglądał niewidomymi oczami z beczki na dnie Marny: nie był już łysy, bo miał teraz włosy z zielonych alg i trawy morskiej, które falowały w wodzie jak gęste loki z jego młodości.

Przez wiele lat na rynku miał nie pojawić się ani jeden obraz z zamku Lecterów.

Dzięki wpływom inspektora Popiła Hannibal mógł od czasu do czasu oglądać zdeponowane obrazy. Siedzenie w głuchej ciszy skarbcza pod okiem strażnika i słuchanie jego nosowego dyszenia było irytujące.

Hannibal Lecter patrzy na obraz, który wziął z rąk matki, i wie, że przeszłość nie jest wcale przeszłością; bestia, która wymalowała swój śmierdzący oddech na skórze jego i Miszy, wciąż oddycha i sapie,

sapie i teraz. Hannibal odwraca *Most Westchnień* i przez długie minuty patrzy na jego tył - śladu ręki już nie ma, jest tylko pusty kwadrat, na którym chłopiec wyświetla swe gniewne sny.

Hannibal dorasta i się zmienia, a może staje się kimś, kim zawsze był.

II

*Gdy powiedziałem, że to Miłosierdzie stoi,
Gdzie granica lasu kapie się w zieleni,
Myślałem o łagodnej bestii o ostrych pazurach
I skrwawionych, śmierć" szybką zadających szczękach.*

Lawrence Spingarn

Na głównej scenie Opery Paryskiej paktującemu z diabłem doktorowi Faustowi zaczynało brakować czasu. Hannibal Lecter i pani Murasaki, siedząc w kameralnej łoży po lewej stronie, słuchali jego błagań i patrzyli na płomienie strzelające pod ognioodporny sufit najwspanialszego teatru Charles'a Garniera.

Hannibal, lat osiemnaście, dopingował Mefistofelesa i pogardzał Faustem, lecz sceny kulminacyjnej słuchał tylko jednym uchem. Obserwował panią Murasaki w peruce, którą włożyła do opery, oddychał jej zapachem. W sąsiednich łożach widać było małe błyski: siedzący tam mężczyźni kierowali lornetki w ich stronę, żeby też na nią popatrzeć.

Na tle jasno oświetlonej sceny była jedynie sylwetką, tak jak wtedy, gdy jako mały chłopiec zobaczył ją po raz pierwszy w chateau. Stały mu przed oczyma tamte obrazy: *błyszcząca wilgocia wrona pod rynną na dachu, błyszczące włosy pani Murasaki. Najpierw tylko sylwetka, potem otworzyła okno i światło musnęło jej twarz.*

Daleko zaszedł na moście marzeń. Wyrósł i nosił teraz ubrania hrabiego, podczas gdy ona nie zmieniła się wcale.

Jej dłoń zamknęła się na materiale sukni i ponad muzyką usłyszał cichy szelest. Wiedząc, że potrafi wyczuć jego wzrok, odwrócił głowę i rozejrzał się wokoło.

Łoża miała swój koloryt. Za fotelami, osłonięty przed wzrokiem tych siedzących naprzeciwko, stał mały, grzeszny szezlong na koźlich

nózkach, gdzie kochankowie mogli odbyć małe tete-a-tete przy dźwiękach dobiegającej z dołu muzyki - Hannibal dowiedział się od sanitariuszy, że w poprzednim sezonie pewien starszy pan uległ tam atakowi serca podczas ostatnich taktów *Lotu trzmiela*.

Nie byli w łoży sami.

Na dwóch przednich fotelach siedział prefekt paryskiej policji z żoną, dlatego nie było żadnych wątpliwościjk pani Murasaki zdobyła bilety. Dostała je od inspektora Popiła oczywiście. Jak to miło, że sam Popił nie mógł przyjść — prawdopodobnie zatrzymało go śledztwo w sprawie jakiegoś morderstwa, oby długotrwałe i niebezpieczne, takie w złą pogodę, najlepiej z groźbą rażenia piorunem.

Zapaliły się światła i wymagająca publiczność nagrodziła tenora Beniamina Gigliego owacją na stojąco. Komisarz i jego żona ściskali wokoło ręce, dłonie odrętwiały od klaskania.

Żona miała jasne i ciekawskie oczy. Dała się zwieść Hannibalowi, ubranemu w nienagannie skrojony smoking hrabiego, i nie mogła nie zadać mu pewnego pytania.

- Młodzieńcze, mąż mówi, że w całej historii Francji nigdy nie przyjęto na medycynę studenta młodszego od ciebie.

- Archiwa są niekompletne, madame. Zapewne byli kiedyś asystenci, którzy...

- Czy to prawda, że czytasz podręczniki tylko raz i przed upływem tygodnia zwracasz je do księgarni, żeby odzyskać pieniądze?

- Nie, madame - odparł z uśmiechem Hannibal. - To niezupełnie tak. — Ciekawe, gdzie się tego dowiedziała? Pewnie tam, gdzie pani Murasaki zdobyła bilety. Nachylił się ku niej. Szukając wyjścia, wskazał wzrokiem komisarza, zgiął się wpół nad jej ręką i głośnym szeptem dodał: - To byłoby chyba przestępstwo.

Obejrzawszy cierpiącego za grzechy Fausta, komisarz był w dobrym humorze.

- Przymknę na to oko, jeśli wyznasz mojej żonie prawdę.

- Problem w tym, madame, że nie zwracają mi całej kwoty. Księgarnia pobiera dwieście franków za fatygę.

A potem, aby dalej od tłumu, na wielkie schody pod świecącymi w górę lampami - uciekali szybciej niż Faust, biegli tak szybko, że wśród furkotu malowanych i kamiennych skrzydeł mknął nad nimi zrekonstruowany przez Pila sufit. Na Place de l'Opera stały taksówki. Z koksownika ulicznego sprzedawcy bił zapach koszmaru Fausta. Hannibal podniósł rękę.

- Jestem zaskoczony, że powiedziałaś Popilowi o moich pod ręcznikach, pani - rzekł w samochodzie.

- Sam się dowiedział - odparła pani Murasaki. - Powiedział komisarzowi, a komisarz żonie. Ona musi flirtować. Zwykle jesteś bardziej rozgarnięty.

W zamkniętej przestrzeni czuje się ze mną nieswojo, pomyślał; wyraża to irytacją.

- Przepraszam.

Zdąysz wypić herbatę - powiedziała pani Murasaki. Od razu zaprowadziła go na taras, wyraźnie wołac być z nim na dworze. Nie wiedział, co o tym myśleć. On się zmienił, ona nie. Lekki podmuch wiatru — płomień lampki oliwnej zachybotał i strześlił do góry. Gdy nalewała mu zielonej herbaty, widział, jak pulsuje jej krew w nadgarstku, a delikatny zapach z jej rękawa przeniknął go jak własna myśl.

- List od Chiyoh - powiedziała. - Zerwała zaręczyny. Dyplomacja już jej nie odpowiada.

—Jest szczęśliwa?

- Chyba tak. To była dobra para, ale według starego sposobu myślenia. Jak mogę potępiac... Piszec, że robi to, co ja: idzie za głosem serca.

- Dokąd?

- Poznała kogoś z uniwersytetu w Kioto, młodego studenta z wydziału inżynieryjnego.

- Chciałbym, żeby była szczęśliwa.

-Aja, żebyś ty był szczęśliwy. Czy ty w ogóle sypiasz?

- Kiedy mam czas. Jeśli nie mogę u siebie, śpię na noszach.

-Wiesz, o co mi chodzi.

- Czy coś mi się śni? Tak. A czy ty, pani, nie odwiedzasz we snach Hiroszimy?

- Ja tych snów nie spraszam.

- Muszę to sobie przypomnieć, każdy sposób jest dobry.

W drzwiach dała mu pudełko z kanapkami na kolację i paczkę herbaty rumiankowej.

- Na sen - powiedziała.

Pocałował ją w rękę. Nie skłonił głowy jak grzeczny Francuz, tylko pocałował wierzch dłoni, żeby poczuć jej smak.

I powiedział jej wiersz, który napisał tak dawno temu, w noc rzeźnika:

Nocna czapla

W pełni księżycu —

Które z nich jest piękniejsze?

- Dziś nie ma pełni - odrzekła z uśmiechem, kładąc mu rękę na sercu, tak jak robiła to, odkąd skończył trzynaście lat. Potem ją zabrała i poczuł w tym miejscu chłód.

- Naprawdę zwracasz podręczniki do księgarni?

-Tak.

-W takim razie pamiętasz wszystko, co w nich jest.

-Wszystko, co ważne.

-W takim razie potrafisz zapamiętać, że nie warto jest prowokować inspektora Popiła. Niesprowokowany jest zupełnie nieszkodliwy. Dla ciebie i dla mnie.

Ubiera się w rozdrażnienie jak w zimowe kimono. Czy mogę dzięki temu nie myśleć o niej w kąpieli, tam, w łaźni, tak dawno temu, ojejtwarzypiersiachjakwodnekwiaty? Jak różowe i kremowe lilie w zamkowej fosie? Czy mogę? Nie mogę.

Wyszedł w noc - przecinając kilka pierwszych ulic, czuł się nie-swojo - i wychynawszy z labiryntu wąskich uliczek Marais, przeszedł przez Pont Louis Phillippe z płynącą w dole Sekwaną i mostem w blasku księżycy.

Widziana od wschodu katedra Notre Dame, ze swoimi licznymi, okrągłymi oknami, przypominała gigantycznego pajaka na pałkowatych przyporach nóg. Hannibal wyobraził sobie, jak pajak ten truchta po ciemku po mieście, porywając z dworca ten

czy tamten pociąg, by delektować się nim jak robakiem, a jeszcze lepiej, jak ledwie krok dalej dostrzega pewnego wielce pożywnego inspektora, który właśnie wychodzi z komendy na Quai des Orfevres.

W katedrze śpiewał chór.

Hannibal przystanął pod łukami głównego wejścia i spojrzął na relief Sądu Ostatecznego nad drzwiami. Zastanawiał się, czy nie przenieść go do pałacu pamięci i nie umieścić na nim skomplikowanego przekroju gardła. Tam, na ościeży górnej, święty Michał trzymał wagę, jakby przeprowadzał sekcję zwłok. Waga była podobna do kości gnykowej, a tuż nad nim siedzieli święci Wyrostka Sutkowatego. Oścież dolna, gdzie maszerowali potępieni grzesznicy w łańcuchach, mogłaby być obojczykiem, a rząd łuków warstwami strukturalnymi gardła - modlitwa była łatwa do zapamiętania: mięsień mostkowo-gnykowy, łopatkowo-gnykowy, tarczowo-gnykowy i szyjny. Amen.

Nie, nic z tego. Problemem było światło. Każda ekspozycja w pałacu pamięci musi być dobrze oświetlona, a eksponaty powinny leżeć daleko od siebie. Ten brudny kamień miał zbyt jednolitą barwę. Pewnego razu Hannibal nie odpowiedział na jedno z pytań egzaminacyjnych: nie dostrzegł odpowiedzi, ponieważ była ciemna, a on umieścił ją na ciemnym de. Skomplikowany przekrój trójkąta szyjnego, który miał przygotować na przyszły tydzień, wymagał jasnej, dobrze rozplanowanej ekspozycji.

Z katedry wychodzili ostatni chórzyci z togami na ramieniu. Wszedł do środka. Było ciemno, bo paliły się tylko świece wotywny. Podszedł do świętej Joanny d'Arc w marmurze przy południowym wejściu. Płonące przed nią świece migotały w przeciągu. Oparł się o tonącą w ciemności kolumnę i przez płomień spojrzął na twarz świętej. Ubranie matki w płomieniach. W jego oczach igrały czerwone ogniki.

W chybottliwym blasku świec twarz Joanny d'Arc ciągle się zmieniała, tak jak melodia w poruszanych wiatrem dzwoneczkach.

Wspomnienia, wspomnienia. Zastanawiał się, czy Joanna, ze swoimi wspomnieniami, wolałaby wotum inne niż ogień. Wiedział, że matka na pewno.

Zbliżające się kroki kościelnego. Pobrzękiwanie kluczy, echo najpierw od ścian, potem od sufitu i - stuk-puk - podwójne echo kroków z bezkresnych ciemności na górze.

Kościelny zobaczył najpierw jego oczy, czerwone w blasku świec, i natychmiast ożyła w nim pierwotna ostrożność. Dostał gęziej skórki na karku i przeżegnał się kluczami. Aaa, to tylko jakiś mężczyzna, w dodatku młody. Pomachał kluczami jak kadzielnica.

-Już późno - powiedział, ruchem głowy wskazując wyjście.

-Tak, późno i za późno - odparł Hannibal i bocznymi drzwiami wyszedł w noc.

Przez Pont au Double na drugi brzeg Sekwany, potem rue Bucherie, obok klubu jazzowego w piwnicy, skąd dobiega śmiech i dźwięki saksofonu. W drzwiach chłopak, dziewczyna i zapach marihuany. Dziewczyna staje na palcach i całuje chłopca w policzek, a Hannibal wyraźnie czuje ten pocałunek na swojej twarzy. Strzępy muzyki mieszają się z muzyką w jego głowie i go ponaglają. Czas, czas. Czas.

Rue Dante, potem przez szeroki bulwar Saint-Germain ze światłem księżycy na twarzy, jeszcze potem Cluny, rue de l'Ecole de Medecine, nocne wejście i rozmyte światło lampy nad wejściem. Otworzył kluczem drzwi i wszedł do środka.

Był sam. Przebrał się w biały fartuch i wziął tabliczkę z listą rzeczy do zrobienia. Jego mentorem i opiekunem naukowym był profesor Dumas, utalentowany anatom, który wołał uczyć, niż praktykować. Błyskotliwy i roztargniony, nie miał w oku typowej dla chirurga iskry. Każdemu studentowi kazał napisać list do anonimowego trupa, którego ten miał kroić, podziękować mu za przywilej studiowania jego ciała, zapewnić go, że zostanie potraktowane z szacunkiem i że przez cały czas będzie okryte, nie licząc preparowanych miejsc.

Na najbliższy wykład Hannibal miał przygotować dwie prezentacje, ekspozycję klatki piersiowej z odsłoniętym i nietkniętym osierdziem oraz delikatną sekcję czaszkową.

Noc w ponurym prosektorium. Duża sala z wysokimi oknami i wielkim wentylatorem, chłodna na tyle, że dwadzieścia zakonserwowanych w formalinie ciał mogło zostać na noc na stołach. Latem, pod koniec dnia, wkładano je do basenów. Małe, żałosne ciała pod prześcieradłami, zwłoki niczyje, nieodebrane, znalezione w zaułku zabiedzone chudziny, skulone, obejmujące się aż do ustąpienia stężenia pośmiertnego, które miało dopiero tam, między innymi trupami w basenie z formaliną. Krusi, wåtli i skurczeni byli jak małe, zamaznięte ptaki, które wygłodniali ludzie podnoszą ze śniegu i obdzierają ze skóry zębami.

"Wojna pochłoneła czterdzieści milionów ofiar, dlatego Hannibal dziwił się, że studenci medycyny muszą korzystać ze zwłok długo przechowywanych w basenach, ciał zupełnie wyblakłych od formaliny.

Czasem mieli szczęście i dostawali zwłoki skazańców powieszonych, rozstrzelanych w forcie Montrouge lub Fresnes lub zgilotynowanych w La Sante. Ponieważ miał strepanować czaszkę, cieszył się, że ze zlewu obserwuje go głowa absolwenta La Sante, cała jeszcze we krwi i słomie.

Laboratoryjna piła wciąż czekała na nowy silnik, zamówiony przed wieloma miesiącami, Hannibal zmodyfikował więc amerykański świder, przytwierdzając do końcówki okrągłe ostrze. Miał również transformator wielkości pojemnika na chleb, który buczał prawie tak głośno jak piła.

Właśnie skończył odsłaniać żebra, gdy - zdarzało się to dość często - wysiadł prąd i zgasło światło. Zapalił lampę naftową i czekając, aż usuną awarię, stanął przy zlewie, żeby obmyć krew i słomę z twarzy zgilotynowanego.

Gdy zapaliło się światło, nie tracąc czasu, zdjął skórę z czaszki i usunąwszy płaszczyzną wieńcową, odsłonił mózg. Do głównych naczyń krwionośnych wstrzyknął kolorowy żel, starając się jak najmniej nakłuwać oponę twardą. Tak było trudniej, ale profesor, mający skłonność do teatralności, chciał usunąć oponę sam, podnieść ją

niczym kurtynę w obecności studentów, dlatego Hannibal pozostał ją prawie nietkniętą.

Potem lekko położył rękę na nagim mózgu. Prześladowany swoją pamięcią i pustymi w niej miejscami żałował, że dotykaniem nie może odczytać snów zmarłego, że siłą woli nie może poznać własnych.

Prosektorium nocą było dobrym miejscem do myślenia, bo ciszę burzył tu tylko brzęk narzędzi i - o wiele rzadziej - cichy jęk zwłok w pierwszych stadiach sekcji, kiedy to w niektórych organach było jeszcze powietrze.

Pedantycznie spreparowawszy lewą stronę twarzy, narysował głowę zarówno od strony spreparowanej, jak i tej nienaruszonej; w ramach stypendium miał sporządzać rysunki anatomiczne.

Potem zapragnął na stałe zachować w pamięci strukturę mięśniową, nerwową i naczyniową twarzy człowieka. Usiadł i z ręką na głowie ściętego zajrzał do swego umysłu, do foyer pałacu pamięci. Zdecydował się na muzykę, na kwartet smyczkowy Bacha - przez sale Matematyczną i Chemiczną szybko przeszedł do komnaty, którą zaadaptował ostatnio, wzorując się na wnętrzach Carnavalet, i którą nazwał Komnatą Czaszki. Rozmieszczenie nowych eksponatów, skojarzenie anatomicznych szczegółów z układem ekspozycji w muzeum, zajęło ledwie kilka minut, musiał tylko pamiętać, żeby nie umieszczać błękitnawych żył twarzy na tle niebieskich gobelinów.

Skończywszy, przystanął na chwilę w Sali Matematycznej, tej najbliższej wejścia. Była to jedna z najstarszych komnat. Chciał porozkoszować się uczuciem, jakie ogarnęło go, gdy w wieku siedmiu lat zrozumiał dowód pana Jakova. Przechowywał w tej sali wszystkie jego lekcje i wykłady, lecz nie było tu ich rozmów z domku myśliwskiego.

Wspomnienia z domku znajdowały się poza pałacem, na dziedzińcu, w mrocznej stodole snów - były zwęglone jak sam domek i żeby się do nich dostać, musiałby wyjść na dwór. Musiałby przejść przez śnieg, gdzie przymarznięte do ziemi kartki z *Traktatu o świetle* Huygensa kleiły się do krwi i mózgu pana Jakova.

W pałacowych korytarzach mógł włączać i wyłączać muzykę, lecz w stodole nie panował nad dźwiękiem, a pewien szczególny dźwięk mógł go zabić.

Opuścił pałac, wrócił do umysłu i wyszedł na zewnątrz oczami osiemnastoletniego chłopca siedzącego przy stole w prosektorium z ręką na ludzkim mózgu.

Rysował przez godzinę. Na ukończonym rysunku żyły i nerwy odsłoniętej połowy twarzy wyglądały identycznie jak te, na których się wzorował. Natomiast nienaruszona część twarzy wyglądała zupełnie inaczej. Była to twarz z mrocznej stodoły snu. Twarz Vladisa Grutasa, chociaż on nazywał go Niebieskookim.

Wąskie schody, pięć podestów, pokój, i spać.

Sufit był pochyły, mansardowy, a część pokoju pod nim, tam gdzie niskie łóżko, schludna, harmonijna i bardzo japońska. Biurko stało w drugiej części, tej wyższej. Na otaczających je ścianach pieśniła się dzika mieszanina obrazów, szkiców, rysunków, przekrojów anatomicznych i niedokończonych ilustracji. Wszystkie widniejące na nich organy i naczynia krwionośne były doskonale oddane, lecz same twarze pochodziły ze snów. Z półki oglądała je czaszka gibbona z długimi kłami.

Odór formaliny zawsze mógł zmyć, a chemiczny zapach prosektorium tak wysoko nie dochodził, chociaż budynek był stary i pełen przeciągów. Idąc spać, nie zabierał ze sobą groteskowych obrazów całych i częściowo już pokrojonych trupów ani widoku ściętych lub powieszonych przestępców, których wybierał czasem w więzieniach. Tylko jeden obraz, tylko jeden odgłos mógł wyrwać go ze snu. A on nigdy nie wiedział, kiedy go zobaczy lub usłyszy.

Zachód księżyca. Poświata, rozproszona w pofalowanym, pęcherzykowatym szkle, przesuwa się ukradkiem po twarzy Hannibala i centymetr po centymetrze bezszelestnie wpełza na ściany. Muska rękę Miszy na rysunku nad łóżkiem, omywa fragmenty twarzy na

szkicach anatomicznych, muska twarze ze snów, wreszcie dociera do czaszki gibbona, najpierw odbijając się od jego wielkich kłów, a potem od łuków brwiowych nad pustymi, przepastnymi oczodołami. Z głębi czaszki gibbon obserwuje śpiącego Hannibala. Hannibal ma dziecięcą twarz. Coś mamrocze i przewraca się na bok, wrywając rękę z niewidzialnego uścisku.

Stoi z Misza w stodole przy domku myśliwskim; tuli ją, Misza kaszle. Ten od Miski maca ich ramiona i coś mówi, ale zamiast dźwięku z jego ust wydobywa się tylko cuchnący oddech, który widać w mroźnym powietrzu. Żeby go nie czuć, Misza ukrywa twarz na piersi Hannibala. Niebieskooki też coś mówi i zaczynają śpiewać, zwodzić ich i łudzić. Hannibal widzi siekiere i miskę. Rzuca się na Niebieskookiego. Smak krwi w ustach, uktucie szczeciniastego zarostu i tamci zabierają Misze. Misze, siekiere i miskę. Hannibal wrywa się, biegnie za nimi do drzwi, ale nogi poruszają się zbyt wolno, za woolno! Niebieskooki i Ten od Miski chwytają Misze za ręce, podnoszą ją, a ona rozpaczliwie wykręca szyję, patrzy na niego przez zakrwawiony śnieg i woła...

Obudził się, dławiąc się i krztusząc, próbując zapamiętać końcówkę snu i mocno zaciskając oczy, żeby na przekór sobie śnić dalej. Zagryzł róg poduszki i przeanalizował to, co zapamiętał. Jak oni się do siebie zwracali? Jak się nazywali? Kiedy przestał ich słyszeć? Nie pamiętał. Chciał wiedzieć, jakich używali imion. Musiał dośnić ten sen. Zajrzał do pałacu pamięci i spróbował przejść przez dziedziniec do mrocznej stodoły snów, tuż obok mózgu pana Jakova na śniegu, lecz nie mógł. Nie mógł znieść widoku płonącego na matce ubrania, widoku trupów Berndta i pana Jakova. Widział z podestu szabrowników w izbie. Ale w żaden sposób nie mógł przedrzeć się dalej, zobaczyć, co stanie się po tym, gdy zawieszona w powietrzu siostra przestanie krzyczeć i odwracać głowę. Dalej nie pamiętał już nic, pamiętał tylko to, co zdarzyło się o wiele później, to, że znaleziony przez żołnierzy jechał na czołgu z łańcuchem na szyi. Bardzo chciał

sobie przypomnieć. Musiał sobie przypomnieć. *Zębyw wychodku. Ten obraz powracał bardzo rzadko; Hannibal usiadł. Spojrzał na gibbona w księżycowej poświacie. Nie, tamte były o wiele mniejsze. Dziecięce. Wcale nie straszne. Takie jak moje. Muszę usłyszeć głosy niesione tym cuchnącym oddechem, wiem, jak pachną ich słowa. Muszę przypomnieć sobie ich nazwiska. Muszę ich znaleźć. I znajdę. Jak można przestuchać samego siebie?*

36

Profesor Dumas miał lekki, okrągły charakter pisma, nienaturalny wśród lekarzy. Wiadomość brzmiała tak:

Hannibalu, sprawdź, proszę, co da się zrobić w sprawie Louisa Ferrata z La Sante.

Dołączył wycinek prasowy z kilkoma szczegółami o skazanym: pochodzący z Lyonu Ferrat był podczas okupacji mało znaczącym urzędnikiem rządu Vichy, drobnym kolaborantem, ale potem Niemcy aresztowali go za fałszowanie i sprzedawanie kartek żywnościowych. Po wojnie oskarżono go o współudział w zbrodniach wojennych, lecz uniewinniono z braku dowodów. Francuski sąd skazał go na karę śmierci za zabójstwo dwóch kobiet w latach 1949-1950. Miał umrzeć za trzy dni.

Więzienie La Sante znajduje się w czternastej dzielnicy, niedaleko akademii medycznej. Hannibal dotarł tam po piętnastominutowym spacerze.

Robotnicy ze stosem rur naprawiali studzienki ściekowe na dziedzińcu, gdzie do roku 1939 odbywały się publiczne egzekucje. Strażnicy przy bramie znali Hannibala z widzenia i go przepuścili. Wpisując się do księgi gości, na górze strony zobaczył podpis inspektora Popiła.

Z dużego nagiego pomieszczenia w głównym korytarzu słychać było stukot młotka. Gdy tamtędy przechodził, mignęła mu znajoma twarz. Anatole Tourneau, państwowy kat, tradycyjnie zwany Mon-

sieur Paris, ustawiał gilotynę, którą przywiózł z magazynu przy rue de la Tombe-Issoire. Majstrował przy małych rolkach na prowadnicy, które zapobiegały zacięciom ostrza zwanego *mouton*.

Monsieur Paris był perfekcjonistą. Zawsze zasłaniał górną część gilotyny, żeby skazany nie widział ostrza i należało mu się za to uznanie.

Louis Ferrat siedział w celi śmierci, oddzielony korytarzem od pozostałych cel na pierwszym piętrze pierwszego budynku La Sante. Więzienny gwar brzmiał tam jak cichy, monotony pomruk przeplatany krzykami i pobrzękiwaniem, mimo to Ferrat słyszał stukot młotka i wiedział, co montują na dole.

Był szczupły i miał ciemne włosy świeżo przycięte na szyi i karku. Włosy na czubku głowy pozostawiono długie, żeby Monsieur Paris mógł za coś chwycić, bo uszy Ferrat miał dość małe.

Siedział na pryczy w trykotowym kombinezonie, pocierając palcami krzyżyk na szyi. Jego koszula i spodnie były starannie ułożone na krześle i wyglądało to tak, jakby siedzący tam mężczyzna wyparował nagle z ubrania. Buty stały obok siebie tuż pod nogawkami spodni. Ubranie było ułożone z anatomiczną wprost precyzją. Ferrat usłyszał go, lecz nie podniósł wzroku.

- Dzień dobry, monsieur Ferrat.

- Monsieur Ferrat wyszedł - odparł Ferrat. - Jestem jego pełnomocnikiem. Czego chcesz?

Nie poruszając oczami, Hannibal spojrział na ubranie.

- Chciałbym go prosić, żeby zechciał darować swe ciało akademii medycznej dla celów naukowych. Będzie traktowane z największym szacunkiem.

- I tak je zabierzesz. Wywleczesz je stąd.

- Nie mogę zabrać go bez pozwolenia. Tym bardziej wywlec.

- Aaa, oto i mój klient. - Ferrat odwrócił się i konferował przez chwilę z ubranie, jakby właśnie weszło do celi i usiadło na krześle. Potem znowu spojrział w stronę krat.

- Monsieur Ferrat pyta, dlaczego miałby je wam dać?

- Dlatego, że my damy piętnaście tysięcy franków jego krewnym.

Ferrat odwrócił się do ubrania, potem znowu do niego.

- Monsieur Ferrat mówi: „Pieprzyć krewnych. Jak wyciągną rękę, to na nią nasram”.— Zniżył głos.— Proszę wybaczyć, jest zdenerwowany, a waga sprawy wymaga, żebym dokładnie go zacytował.

- Doskonale to rozumiem - odparł Hannibal. - Myśli pan, że wolałby przeznaczyć tę kwotę na cele, którymi jego rodzina pogardza? Czy to by go zadowoliło, monsieur...

- Możesz mi mówić Louis, mamy tak samo na imię. Nie, monsieur Ferrat jest nieugięty. Ostatnio żyje jakby poza sobą. Mówi, że nie ma na siebie zbyt dużego wpływu.

- Rozumiem. Nie on jeden.

- Nie wiem, czy rozumiesz, jesteś jeszcze dziec... Pewnie niedawno skończyłeś szkołę.

-W takim razie może mi pan pomóc. Każdy student medycyny pisze osobisty list dziękczynny do dawcy, którym się aktualnie zajmuje. Ponieważ dobrze pan zna monsieur Ferrata, czy mógłby pan pomóc mi go ułożyć? Na wypadek, gdyby monsieur Ferrat podjął jednak inną decyzję.

Ferrat potarł policzek. Przed laty złamano mu wszystkie palce u rąk, a ponieważ źle się zrosły, wyglądało to tak, jakby miał dodatkowy rząd kłykci.

- A kto by go przeczytał poza samym monsieur Ferratem?

- Gdyby sobie tego zażyczył, wywiesilibyśmy list na uczelni. Przeczytaliby go wszyscy pracownicy naukowcy, ludzie znaczący i wpływowi. Monsieur Ferrat mógłby opublikować go nawet w „Le Canard Enchaîné”.

- Co by w tym liście było?

- Opisałbym w nim go jako człowieka zupełnie bezinteresownego, podkreśliłbym, jak bardzo przysłużył się nauce, całemu narodowi francuskiemu i postępowi w medycynie, który pomoże przyszłym pokoleniom dzieci.

- Bez dzieci. Dzieci w to nie mieszajmy.

Hannibal szybko napisał szkic listu.

- Myśli pan, że wystarczająco podkreśla jego wielkie zasługi?

- Podniósł notatnik, żeby Ferrat musiał zdrzeć głowę; chciał ocenić długość jego szyi.

Niezbyt długa. Jeśli Monsieur Paris nie chwyci go dobrze za włosy, poniżej kości gnykowej prawie nic nie zostanie i z trójkąta szyjnego będą nici.

- Nie możemy zapominać o jego patriotyzmie — powiedział Ferrat. - Kiedy Le Grand Charles nadawał z Londynu, kto odpowiedział na jego wezwanie? Ferrat! Ferrat na barykady! *Vive la France!*

W patriotycznym ferworze nabrzmiała mu żyła na czole, na szyi wystąpiła tętnica - miał naczynia znakomicie nadające się do wstrzykiwania.

- *Vive la France!* — powtórzył Hannibal, zdwajając wysiłki. - Czy nasz list powinien podkreślić, że chociaż nazywano go kolaborantem, to tak naprawdę był wielkim bohaterem francuskiego ruchu oporu?

- Oczywiście.

- I ratował zestrzelonych pilotów?

-Wiele razy.

- Brał udział w akcjach sabotażowych?

- Często nie zważając na bezpieczeństwo własne.

- Ukrywał Żydów?

Półsekundowe wahanie.

- Bez względu na ryzyko.

- A może go torturowano? Może dla dobra Francji dał sobie połamać palce?

- Co nie przeszkodziło mu z dumą oddawać honory, gdy wrócił do nas Le Grand Charles.

Hannibal skończył notować.

-Wypunktowałem najważniejsze rzeczy - powiedział. - Mógłby pan mu to pokazać?

Ferrat spojrział na kartkę i wskazując palcem punkt po punkcie, wymruczał:

-Trzeba by dodać kilka dowodów uznania od przyjaciół z ruchu oporu, mógłbym to załatwić. Chwileczkę. - Odwrócił się i nachylił do krzesła z ubraniem. Ubranie podjęło decyzję.

- Oto odpowiedź mojego klienta: „*Merde*. Powiedz temu gówniarzowi, że jak nie załatwi mi laudanum, to niczego nie podpiszę”. Przepraszam, ale dokładnie tak powiedział, *verbatim et literatim*.

- Ferrat nachylił się w stronę krat i konspiracyjnym szeptem dodał:

- Dowiedział się tu, że laudanum może... Że jak weźmie się dość laudanum, to nie czuć noża. „Śnić, a nie wyć”, jak powiedziałbym w sądzie. Akademia medyczna świętego Piotra daje laudanum w zamian za... pozwolenie. Dajecie?

- Jeszcze pana odwiedzę, wrócę z odpowiedzią.

- Nie czekałbym zbyt długo - odparł Ferrat. - Twoi przełożeni się zgodzą. - Podniósł głos i chwycił się za kołnierz trykotu, tak jak chwyciłby się za górną część kamizelki, wygłaszając orację. - Jestem upoważniony negocjować w jego imieniu.- Nachylił się jeszcze bardziej i dodał: - Za trzy dni biedny Ferrat umrze. Stracę klienta i będę w żałobie. Jesteś medykiem. Myślisz, że to boli? Że zaboli, kiedy...

- Nie - odparł Hannibal — absolutnie. Najgorzej jest teraz. Przed tym. A jeśli chodzi o samo to, nie, absolutnie. Ani przez sekundę.

- Ruszył do wyjścia, ale Ferrat go zawołał i Hannibal znowu podszedł do krat.

- Studenci nie będą się z niego śmiali, z jego członków?

- Na pewno nie. Ciało jest zawsze przykryte z wyjątkiem miejsca, które jest przedmiotem badań.

- Nawet gdyby było trochę... niezwykle?

- Pod jakim względem?

- Powiedzmy, że po części dziecięce.

- To dość powszechny przypadek, który nigdy, ale to nigdy nie jest przedmiotem żartów. - No proszę, kandydat do muzeum anatomicznego, pomyślał Hannibal. A tam dawcom się nie płaci.

Stukot katowskiego młotka — Ferratowi, siedzącemu na pryczy i ściskającemu rękaw swego towarzysza, ubrania na krześle, drgnął kącik oka. Wyobrażał sobie pewnie, jak montują gilotynę, jak ustawiają ramę, wyobrażał sobie ostrze osłonięte kawałkiem ogrodowego węża, pojemnik na głowę.

I nagle, widząc go oczami umysłu, Hannibal zrozumiał, czym jest ten pojemnik. Pojemnik był *dziecięcą wanienką*. Niczym spadające ostrze gilotyny umysł przeciął tę myśl i w ciszy, która potem zapadła, cierpienie Louisa Ferrata stało się dla niego równie znajome jak żyły jego twarzy, jak jego własne arterie.

- Załatwię laudanum - powiedział. Gdyby nie zdołał, zawsze mógł kupić kulkę opium w ulicznej bramie.

- Zostaw formularz. Odbierzesz go, jak coś przyniesiesz.

Hannibal spojrział na Ferrata, studiując jego twarz z taką samą (uwaga, z jaką przyglądał się jego szyi, i wyczuwszy paraliżujący go strach, powiedział:

- Louis, chciałbym, żeby pański klient nad czymś się zastanowił. Wszystkie wojny, całe cierpienie i ból w stuleciach przed jego narodzinami, przed jego życiem: czy monsieur Ferrat się tym przejmował?

-Wcale.

- W takim razie dlaczego miałby przejmować się czymś, co będzie potem? To jest jak spokojny sen. Różnica polega na tym, że już się nie obudzi.

Oryginalne klocki drzeworytnicze z rycinami do *De fabrica*, wielkiego atlasu anatomicznego Wesaliusza, uległy zniszczeniu w Monachium podczas II wojny światowej. Dla doktora Dumasa były świętymi relikwiami i w smutku i gniewie po ich stracie postanowił zebrać materiały do nowego atlasu. Miało to być dzieło największe i najbardziej aktualne spośród wszystkich tych, które stworzono w ciągu czterystu lat od wydania *De fabrica*.

Dumas doszedł do wniosku, że w anatomii ryciny są lepsze od zdjęć, zwłaszcza od niewyraźnych zdjęć rentgenowskich. Był znakomitym anatomem, lecz nie artystą. Ku swemu wielkiemu szczęściu zobaczył kiedyś szkolne rysunki Hannibala: śledził jego postępy i załatwił mu stypendium na akademii.

Wczesny wieczór w prosektorium. Za dnia profesor odsłonił wewnętrzne ucho na wykład, po czym zostawił je Hannibalowi, który stał właśnie przy tablicy, rysując kostki słuchowe w pięciokrotnym powiększeniu.

Zadzwoił nocny dzwonek. Hannibal czekał na przesyłkę od plutonu egzekucyjnego z Fresnes. Wziął wózek i wypchnął go na długi korytarz prowadzący do drzwi. Jedno z kółek wózka klekotało na kamiennej posadzce i zakonotował sobie, że trzeba je naprawić.

Obok zwłok stał inspektor Popił. Dwaj sanitariusze przenieśli bezwładny, przeciekający ładunek z noszy na wózek i odjechali.

Ku irytacji Hannibala, pani Murasaki wspomniała kiedyś, że Popił jest podobny do przystojnego aktora Louisa Jourdana.

- Dobry wieczór, panie inspektorze.

- Muszę zamienić z tobą dwa słowa - odparł Popił, który wcale Jourdana nie przypominał.

- Czy mógłbym rozmawiać i jednocześnie pracować?

- Oczywiście.

-To chodźmy- Hannibal pchnął coraz głośniejszą klekoczącą wózek. Pewnie poszło łożysko.

Popił otworzył wahadłowe drzwi do prosektorium.

Tak jak Hannibal się spodziewał, rozległe rany postrzałowe niemal całkowicie odsączyły krew. Zwłoki można było od razu włożyć do basenu. Równie dobrze mogły poczekać, ale Hannibal był ciekaw, czy w pomieszczeniu z basenem Popił będzie jeszcze mniej podobny do Louisa Jourdana i czy widok trupiarni wpłynie na jego brzoskwiniową cerę.

Trupiarnię zbudowano z samego betonu; sąsiadowała z prosektorium i wchodziło się tam podwójnymi drzwiami zaopatrzonymi w gumowe uszczelki. Na podłodze stał przykryty ocynkowanym wiekiem okrągły zbiornik średnicy prawie czterech metrów. W wieku było kilka klap na długich zawiasach. W stojącym w kącie piecu paliły się odpadki, tego dnia ludzkie uszy.

Nad basenem stał podnośnik. Ponumerowane i oznakowane ciała, każde w uprząży z łańcucha, były przywiązane do biegnącego wokół basenu pręta. W ścianie był duży wentylator z zakurzonymi łopatami. Hannibal włączył go i podniósł ciężkie wieko. Oznakował ciało rozstrzelanego, ubrał je w uprząż, dźwignął do góry podnośnikiem i opuścił do zbiornika.

- Przyjechał pan z nim z Fresnes? - spytał, gdy z formaliny poszły bąbelki.

-Tak.

- Był pan na egzekucji?

-Tak.

- Dlaczego?
 - Aresztowałem go. Skoro aresztowałem, musiałem być na egzekucji.
 - Czy to kwestia sumienia?
 - Śmierć jest konsekwencją tego, co robię. Wierzę w słuszność prawa akcji i reakcji. Obiecałeś Ferratowi laudanum?
 - Legalnie zdobyte.
 - Ale nielegalnie przepisane.
 - Często się to robi w zamian za pozwolenie. To powszechna praktyka, na pewno pan o tym wie.
 - Tak. Nic mu nie dawaj.
 - Ferrat to jeden z pańskich? Woli pan, żeby był przytomny?
 - Tak.
 - Chce pan, żeby poniósł wszystkie konsekwencje, żeby poczuł to tak do końca? Poprosi pan Monsieur Parisa, żeby zdjął pokrowiec z gilotyny i pokazał mu ostrze? Żeby Ferrat zobaczył je na trzeźwo, bez mroczków przed oczami?
 - Mam swoje powody. A ty nie zrobisz jednego: nie dasz mu laudanum. Jeśli stwierdzę, że jest pod wpływem laudanum, nie dostaniesz pozwolenia na wykonywanie zawodu: ty też spójrz na to trzeźwym okiem.
- Hannibal stwierdził, że pobyt w trupiarni nie robi na Popiłu żadnego wrażenia. Zwyciężyło poczucie obowiązku.
- Popił odwrócił głowę.
- Szkoda by było, bo jesteś obiecującym studentem. Gratuluję ci dobrych stopni. Sprawileś radość... Twoja rodzina byłaby, i jest, bardzo dumna. Dobranoc.
 - Dobranoc, panie inspektorze. Dziękuję za bilety do opery.

Wieczór w Paryżu, lekki deszcz, błyszczący bruk. Sklepikarze zamykają sklepy na noc, zwiniętymi kawałkami dywanów odprowadzają wodę do rynsztoka.

Małeńka wycieraczka wydziałowej furgonetki była napędzana podciśnieniem kolektora dolotowego i podczas krótkiej przejażdżki do La Sante Hannibal musiał co chwilę zdejmować nogę z gazu, żeby oczyścić przednią szybę.

Na dziedziniec wjeżdżał tyłem, a strażnik nie wyszedł, żeby mu pomóc. Żeby lepiej widzieć, wychylił się przez okno i zimny deszcz zmoczył mu głowę i kark.

W korytarzu spotkał pomocnika Monsieur Parisa, który poprosił go do pomieszczenia z gilotyną. Był w ceratowym fartuchu, nowy melonik też zabezpieczył ceratowym pokrowcem. Żeby nie zabrudzić sobie butów i nogawek spodni, pod ostrzem zamontował osłonę.

Tuż obok gilotyny stał długi wiklinowy kosz wyłożony ocynkowaną blachą.

-Tu się nie wprosisz, rozkaz naczelnika - powiedział pomocnik.

- Będziesz musiał zwrócić kosz. Pojedzie furgonetką?

-Tak.

- Może lepiej go zmierz?

-Nie.

-W takim razie zabierzesz wszystko razem. Włożymy mu ją pod pachę. Są tam.

W wybielonym pokoju z wysokimi zakratowanymi oknami w jaskrawym świetle lamp leżał na wózku skrępowany Louis Ferrat.

Był przywiązany do *bascule*, tak zwanej huśtawki, specjalnej deski, którą wsuwało się pod ostrze gilotyny. Z ręki sterczała mu igła.

Przy wózku stał inspektor Popił, który przemawiał do Ferrata, osłaniając mu oczy przed blaskiem lamp na suficie. Więzienny lekarz włożył do igły strzykawkę i wstrzyknął skazańcowi małą dawkę jakiegoś przezroczystego płynu.

Gdy Hannibal wszedł, Popił nawet nie podniósł wzroku.

- Przypomnij sobie, Louis - mówił. - Musisz sobie przypomnieć.

Ferrat przewrócił oczami i natychmiast dostrzegł Hannibala.

Inspektor zobaczył go zaraz potem i ostrzegawczym gestem podniósł rękę. Nachylił się nad spoconą twarzą Ferrata i szepnął:

- Mów.

- Włożyłem ciało Cendrine do dwóch worków. Obciążylem je lemiuszami i wtedy zaczęły mnie dręczyć te rymy...

- Nie Cendrine, Louis. Przypomnij sobie. Kto powiedział Klausowi Barbieniu, gdzie ukrywają się dzieci, które wysłał potem na Wschód?

- Prosiłem ją, powiedziałem: „Tylko mnie dotknij”, a ona wyśmiała mnie i znowu wróciły te rymowanki...

- Nie! Zapomnij o niej, Louis. Kto powiedział Niemcom o dzieciach?

- Nie mogę o tym myśleć.

- Musisz, ostatni raz. To pomoże ci sobie przypomnieć.

Lekarz wepchnął tłoczek i roztarł Ferratowi rękę.

- Musisz sobie przypomnieć. Klaus Barbie wysłał dzieci do Oświęcimia. Kto mu powiedział, gdzie się ukrywają? Ty?

Ferratowi poszarzała twarz.

- Gestapo przyłapało mnie na fałszowaniu kartek. Kiedy połamali mi palce, wydałem im Pardou. Pardou wiedział, gdzie są te sieroty. Dostał za to awans i nie połamali mu palców. Jest teraz bur-

mistrzem Trent-la-Forêt. Widziałem to, ale nie pomogłem. Patrzyły na mnie z ciężarówkami.

- Pardou. - Popił kiwnął głową. - Dziękuję, Louis. - Zaczął się od niego odwracać.

- Panie inspektorze - rzucił Ferrat.

-Tak?

- Kiedy Niemcy wrzucali te dzieci do ciężarówek, gdzie była wtedy policja?

Popił zamknął na chwilę oczy, a potem ruchem głowy dał znak strażnikowi, a ten otworzył drzwi do sąsiedniego pomieszczenia. Hannibal zobaczył księdza i Monsieur Parisa przy gilotynie. Pomocnik kata zdjął krzyżyk i łańcuszek z szyi Ferrata i włożył mu je do związanych rąk. Ferrat spojrzął na Hannibala. Podniósł głowę i otworzył usta. Hannibal podszedł bliżej, a Popił nie próbował go zatrzymać.

- Pieniądze, Louis.

- Do Saint Sulpice. Ale nie na biednych. Na duszę tych w czyścucu. Masz?

- Dobrze, na tych w czyścucu. - Hannibal wyjął z kieszeni fiolkę z rozcieńczonym roztworem opium. Strażnik i pomocnik kata demonstracyjnie odwrócili wzrok. Popił nie odwrócił. Hannibal przytknął fiolkę do ust Ferrata i skazaniec wypił jej zawartość. Ruchem głowy wskazał swoje ręce i znowu otworzył usta. Hannibal włożył do nich krzyżyk, a potem przewrócili go na desce, która miała towarzyszyć mu na gilotynie.

Hannibal patrzył, jak wywożą brzemień serca Ferrata. Wózek podskoczył na progu i strażnik zamknął drzwi.

- Chciał, żeby krzyżyk pozostał w głowie, a nie w sercu — powiedział Popił. - Wiedziałeś o tym, prawda? Co jeszcze macie ze sobą wspólnego?

- I jego, i mnie ciekawi, gdzie była policja, kiedy hitlerowcy wrzucali dzieci na ciężarówkami. Tylko to.

Zdawało się, że Popił go uderzy. Minęła chwila. Popił zamknął notes i wyszedł.

Hannibal podszedł do lekarza.

- Panie doktorze, co to za narkotyki?

- Mieszanka tiopentalu sodu i paru środków nasennych. Surete używa tego na przesłuchaniach. Czasami odblokowuje pamięć. U skazanych.

- Potrzebujemy czegoś takiego w laboratorium, do badania krwi.

Mógłbym dostać próbkę?

Lekarz dał mu fiolkę.

- Skład i dawkowanie jest na etykietce.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegł głuchy stukot.

- Na twoim miejscu zaczekałbym chwilę - powiedział lekarz.

- Niech Louis trochę osiadzie.

Leżał w swoim pokoju na strychu. Płomień świec migotał na twarzach ze snów, na czaszce gibbona tańczyły cienie. Patrząc na jego puste oczodoły, schował dolną wargę pod zęby, żeby wyglądały jak kły. Tuż za nim stał nakręcany patefon z tubą w kształcie kwiatu *klii*. W* jego rękę tkwifa igfa strzykawki wypełnionej mieszaniną leków, których używano na przesłuchaniu Louisa Ferrata.

- Misza, Misza. Już idę. - Ubranie matki w płomieniach, wotywnie świece przed świętą Joanną. Kościelny powiedział: „Już późno”.

Włączył patefon i opuścił grubą igłę na płytę z dziecięcymi piosenkami. Płyta była zdarta, dźwięk metaliczny i cienki, lecz przeszywający.

Sagt, wer mag das Mannlein sein

Das da steht Walde allein.

Lekko pchnął tłoczek i poczuł, jak narkotyk pali mu żyły. Potarł rękę, żeby szybciej się rozszedł. W świecie świec wbił wzrok w rysunki twarzy ze snów i spróbował poruszyć ustami. Może najpierw zaśpiewają, a potem wypowiedzą swoje nazwiska. Zaśpiewał, żeby zaśpiewali wraz z nim.

Nie potrafił już zmusić twarzy do ruchu, tak jak nie potrafił oblec w ciało czaszki gibbona. Ale to właśnie bezwargi gibbon uśmiechnął się do niego zza kłów, wykrzywiając żuchwę *i wtedy uśmiechnął się do niego Niebieskooki z rozbawioną twarzą, który tak mocno wrył mu się w pamięć. A potem buchnął zapach pałącego się drewna, potem*

zobaczył warstwy dymu w zimnej izbie domku myśliwskiego, poczuł trupi oddech mężczyzn stłoczonych przy palenisku wokół niego i Miszy. Jeszcze potem zaprowadzili ich do stodoły. Leżało tam dziecięce ubranie, poplamione i obce. Nie słyszał, jak rozmawiają, nie słyszał, jak się do siebie zwracają, słyszał tylko zniekształcony głos Tego od Miski: „Weź ją, ona i tak uumrze. A on będzie dłużej świeżuuutki...” Teraz szarpanina, teraz gryzienie, wierzganie i widok, którego nie mógł znieść, widok Miszy w ich rękach, Miszy, która z nóżkami nad krwawym śniegiem, wygina się, odwraca i PATRZY NA NIEGO.

„ANNIBA!” Jej głos...

Usiadł na łóżku i wepchnął tłoczek do końca.

Stodoła zawirowała.

-ANNIBA!

Wyrywa się, biegnie za nimi do drzwi, drzwi zatrząskują się, pękają kości. Niebieskooki odwraca się z podniesionym polanem, bierze zamach, uderza w głowę, z podwórza dochodzi stukot siekiery i zapada zbawienna ciemność.

Rzucał się na łóżku, widział to ostro, to niewyraźnie, po ścianach pływały twarze.

Już po. Po tym, na co nie mógł patrzeć, czego nie mógł słyszeć, z czym nie mógł żyć. Budzi się w domku myśliwskim z zakrwawioną skronią i przeszywającym bólem w ramieniu. Jest przykuty łańcuchem do balustrady i przykryty kocem. Grzmot— nie, to nie grzmot, to wybuchy pocisków artyleryjskich między drzewami. Mężczyźni przed kominkiem ze skórzaną torbą Garkotłuka: zdejmują nieśmiertelniki, wrzucają je do torby wraz z dokumentami z portfeli i wkładają opaski Czerwonego Krzyża. A potem przeraźliwy ryk i jaskrawy rozbłysk pocisku fosforowego, który trafia w skorupę martwego czołgu przed domkiem i płonie, płonie, płonie. Szabrownicy uciekają w noc, pędzą do ciężarówki, Garkotłuk przystaje w drzwiach. Podnosi torbę, żeby osłonić twarz przed gorącym, wyjmuje z kieszeni klucz do kłódki i rzuca go Hannibalowi w chwili, gdy nadlatuje kolejny pocisk, ale oni już tego nie słyszą, czują tylko, jak cały dom dźwiga się ciężko i opada — podest przechyla się,

schody walą się na Garkotłuka, Hannibal zjeżdża po balustradzie na dół. Słyszy, jak płoną mu włosy liźnięte jęzorem ognia i nagle jest na dworze: ziemia drży od wybuchów, wszędzie świszczą odłamki, a on, wciąż owinięty tłącym się na brzegach kocem, widzi znikającą w lesie półciążarówkę. Gasi koc śniegiem i powłócząc nogami, idzie, idzie, idzie przed siebie z bezwładnie zwisającą ręką.

Szary świt nad dachami Paryża. Patefon zwolnił i zamilkł, dopalają się świece. Hannibal otwiera oczy. Twarze na ścianach są nieruchome. Znowu są tylko rysunkami, kartkami papieru poruszającymi się lekko w przeciągu. Gibbon też przybrał normalny wygląd. Wstaje dzień. Wszędzie wzbiera światło. Nowe światło.

Pod niskim, szarym wileńskim niebem milicyjna skoda skręciła z ruchliwej Sventaragio w wąską uliczkę w pobliżu uniwersytetu, trąbiąc klaksonem na przechodniów, którzy pierzchali na boki, klnąc w kołnierze palt. Skoda zatrzymała się przed zbudowanym przez Rosjan olbrzymim mrówkowcem, nowym i surowym wśród starych, rozpadających się już domów. Wysiadł z niej wysoki mężczyzna w milicyjnym mundurze i przesunawszy palcem po rzędzie guzików przy drzwiach, wcisnął oznaczony nazwiskiem „Dortlich”.

Na drugim piętrze, w mieszkaniu starca leżącego w łóżku z baterią lekarstw na stoliku, zadzwonił dzwonek. Nad łóżkiem wisiał szwajcarski zegar z wahadłem. Z zegara zwisał długi, sięgający poduszki sznurek. Starzec był twardy, ale nocą, gdy nachodził go strach, mógł pociągnąć za sznurek i usłyszeć, jak zegar wybija godzinę, mógł przekonać się, że jeszcze żyje. Wskazówka minutowa przesuwała się gwałtownymi skokami. Starzec wyobrażał sobie, że wahadło zastanawia się - tyku-tyk, tyku-tyk - kiedy kazać mu umrzeć.

Brzęczenie dzwonka wziął za swój chrapliwy oddech. Z korytarza dobiegł go podniesiony głos gosposi, która po chwili - najeżona pod czepkiem - wystawiła głowę zza drzwi.

- Syn przyszedł. •

Dortlich otarł się o nią i wszedł do pokoju.

- Dzień dobry, ojczu.

-Jeszcze nie umarłem - odparł starzec. - Za wcześniej na szabrowanie. - To dziwne. Gniew rozbłyskiwał mu teraz tylko w głowie, nie docierał do serca.

- Przyniosłem ci czekoladki.

- Daj je Bergidjak będziesz wychodził. Tylko jej nie zgwałć. Do widzenia, poruczniku Dortlich.

- Za późno na taką gadaninę. Umierasz. Przyszedłem zobaczyć, czy nie potrzeba ci czegoś oprócz pieniędzy na utrzymanie. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Możesz zmienić nazwisko. Ile razy zmieniałeś strony?

-Tyle, ile musiałem, żeby przeżyć.

Dortlich był w mundurze sowieckich wojsk ochrony pogranicza. Zdjął rękawiczkę i podszedł do łóżka. Próbował chwycić ojca za nadgarstek, zbadać mu puls, ale on odepchnął jego pokrytą bliznami rękę. Na widok blizn oczy zaszklily mu się jak woda. Z trudem dźwignął rękę i dotknął rzędu medali zwisających z piersi pochyłego nad nim syna. Był wśród nich medal wzorowego funkcjonariusza służby bezpieczeństwa, przyznany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, medal Instytutu Zaawansowanych Metod Zarządzania Więzieniami i Obozami Pracy i odznaka Wzorowego Sapera - dość kłopotliwa: Dortlich zbudował kilka mostów pontonowych, ale dla hiderowców, w obozie pracy. Odznaka była jednak ładna, emaliowana, i kiedy ktoś go o nią pytał, Dordich zawsze potrafił się wyłgać.

- Rzucali je wam na chybił trafił z jakiegoś pudełka?

- Nie przyszedłem tu po twoje błogosławieństwo. Przyszedłem, żeby zobaczyć, czy niczego ci nie brakuje i się pożegnać.

-Wystarczyło mi, jak widziałem cię w sowieckim mundurze.

- W mundurze Dwudziestej Siódmej Strzeleckiej - uzupełnił Dortlich.

- A jeszcze gorzej, jak zobaczyłem cię w hiderowskim. Hiderowcy zabili twoją matkę.

- Było nas wielu. Nie tylko ja. Dzięki temu żyję. Dzięki temu umierasz w łóżku, zamiast w rowie. Dzięki temu masz węgiel. Więcej

nie muszę ci dawać. Pociągi na Syberię są przepełnione. Ludzie trują się nawzajem i srają w czapki. Ciesz się, że masz czyste prześcieradło.

- Grutas był gorszy od ciebie i dobrze o tym wiedziałeś. — Starzec zarzęził. — Dlaczego z nim poszedłeś? Szabrowaliście z przestępcami i chuliganami, rabowaliście domy, zdzieraliście ubranie z trupów.

- Kiedy byłem mały i mocno się poparzyłem - odparł Dortlich, jakby go nie słyszał - usiadłeś przy łóżku i zrobiłeś mi bąka z drewna. Dałeś mi go, kiedy mogłem już poruszać rękami i pokazałeś, jak się go puszcza. To naprawdę piękny bąk, tyle wyrzeźbiłeś w nim zwierzątek. Wciąż go mam. Dziękuję ci. - Położył czekoladki w nogach łóżka, żeby starzec nie mógł zrzucić ich na podłogę.

- Idź na komendę, weź moje akta i napisz w nich: „Rodzina nieznaną” — wychrypiął starzec.

Dortlich wyjął z kieszeni kartkę papieru.

-Jeśli chcesz, żebym odesłał cię po śmierci do domu, podpisz to i zostaw na widoku. Bergid ci pomoże, zaświadczy, że własnoręcznie podpisałeś.

Jechali w milczeniu, dopóki nie skręcili w ruchliwą Radvilaites.

Kierowca, sierżant Svenka, poczęstował go papierosem.

- Ciężko było?

- Cieszę się, że to nie ja - odparł Dortlich. - Ta pieprzona gosposia... Powinienem tam jeździć, kiedy jest w kościele. W kościele: może trafić za to do pierdła. Myśli, że nie wiem. Ojciec umrze w ciągu miesiąca. Wyślę go do Szwecji, do jego rodzinnego miasta. Będziemy mieli ze trzy metry szczęśliwe pod trumną, to porządny, trzymetrowy grób.

Porucznik Dortlich nie miał jeszcze własnego gabinetu, miał za to biurko we wspólnej sali na komendzie, gdzie prestiż zależał od odległości od pieca. Teraz, wiosną, piec był zimny i leżał na nim stos dokumentów. Połowa tych, które zaściełały biurko, dotyczyła biurokratycznych idiotyzmów, drugą zaś można było spokojnie wyrzucić.

Komunikacja pozioma między ministerstwami spraw wewnętrznych i służbami bezpieczeństwa w sąsiadujących z Rosją Łotwie i Polsce praktycznie nie istniała. Milicja w krajach satelickich kręciła się wokół moskiewskiej centrali jak koło ze szprychami bez obręczy.

Leżały przed nim papiery do przejrzania: telegraficzna lista obcokrajowców z litewską wizą. Porównał ją z długimi listami poszukiwanych i podejrzanych politycznie. Obcokrajowiec ósmy od góry nazywał się Hannibal Lecter i był nowym członkiem młodzieżówki Francuskiej Partii Komunistycznej.

Dortlich wszedł do swego dwutaktowego wartburga i pojechał na pocztę, gdzie raz w miesiącu miał coś do załatwienia. Zaczekał na ulicy i wszedł do środka dopiero wtedy, gdy zobaczył spieszącego na dyżur Svenkę. Svenka przejął centralę i wkrótce potem Dortlich znalazł się w kabinie z trzeszczącą i syczącą linią telefoniczną do Francji. Podłączył do aparatu miernik sygnału i przez chwilę obserwował wskazówkę, żeby sprawdzić, czy nie ma podsłuchu.

W ciemnej piwnicy restauracji pod Fontainebleau zadzwonił telefon. Zadzwonił pięć razy, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

- Mów.

- Szybciej nie mogłeś? Dupę tu narażam. Trzeba pogadać ze Szwedami, nasi muszą odebrać trumnę. Poza tym młody Lecter przyjeżdża. Ma studencką wizę; załatwili mu ją ci z francuskiej młodzieżówki.

- Kto przyjeżdża?

- Pomyśl. Rozmawialiśmy o tym podczas naszej ostatniej wspólnej kolacji.- Dortlich zerknął na listę.- Cel wizyty, „skatalogowanie zbiorów bibliotecznych zamku Lecterów”.To jakiś żart, Ruscy dupę tymi książkami sobie podcierali. Chyba będziecie musieli coś z tym zrobić. Wiesz, kogo zawiadomić.

Nad rzeką Neris, na północny zachód od Wilna są ruiny starej elektrowni, pierwszej w tym rejonie. W szczęśliwszych czasach elektrownia zaopatrywała w prąd miasto oraz kilka tartaków i warsztatów mechanicznych na brzegu rzeki. Pracowała na okrągło dzięki polskiemu węglowi, który dostarczano koleją lub barkami.

Podczas pierwszych pięciu dni niemieckiej inwazji bombowce Luftwaffe zrównały ją z ziemią. Po zainstalowaniu nowych radzieckich linii przesyłowych okazała się niepotrzebna i już jej nie odbudowano.

Drogę do elektrowni przegradzał zamknięty na kłódkę łańcuch między betonowymi słupami. Kłódka była zardzewiała, ale dobrze nasmarowana w środku. Na tablicy widniał napis po rosyjsku, litewsku i polsku: „Uwaga niewypały. Wstęp wzbroniony”.

Dordich wysiadł, zdjął łańcuch i rzucił go na ziemię. Svenka po nim przejechał. Zwirówka była porośnięta bujnymi chwastami, które z przeraźliwym sykiem ocierały się o podwozie.

- Ci z elektrowni *to* tutaj... - zaczął Svenka.

- Tak — przerwał mu Dortlich.

- Myślisz, że tu naprawdę są niewypały?

- Nie. A jeśli są, zatrzymaj to dla siebie. - Dortlich nie lubił się zwierzać, a to, że sierżant musiał mu pomagać, bardzo go irytowało.

Kilka metrów od spękanych, szerniających fundamentów elektrowni stał półokrągły barak z falistej blachy, z jednej strony mocno okopcony.

- Zatrzymaj koło tych krzaków - rzucił Dortlich. - I wyciągnij łańcuch.

Przywiązał łańcuch do haka z tyłu ciężarówki i potrząsnął węzłem, żeby ogniwa dobrze się ułożyły. Potem rozchylił krzaki, wyciął drewnianą platformę, przymocował do niej drugi koniec łańcucha i dał znak Svence, który odciągnął platformę wraz z krzakami, odsłaniając metalowe drzwi schronu przeciwlotniczego.

- Po ostatnim nalocie - powiedział Dortlich - Niemcy zrzucili spadochroniarzy, którzy mieli ubezpieczać przeprawę przez rzekę. Załoga elektrowni ukryła się tutaj. Jeden ze spadochroniarzy zapukał do drzwi i kiedy otworzyli, wrzucił do środka granat fosforowy. Trudno to było wyczyścić. Chwilę trwa, zanim człowiek przywyknie. - Mówiąc, zdjął z drzwi trzy kłódki.

Pociągnął za uchwyt i Svenkę uderzył w twarz podmuch spaleniźny. Dortlich zapalił lampę elektryczną i metalowymi schodami zszedł na dół. Sierżant wziął głęboki oddech i ruszył za nim. Wnętrze było wybielone i stały tam rzędy półek z nieheblowanych desek. Na półkach leżały dzieła sztuki. Owinięte kocami ikony, dziesiątki aluminiowych tub na mapy z zalanymi woskiem zakrętkami. Z tyłu schronu piętrzył się stos pustych ram; z niektórych powyciągano gwoździki, z innych zwisały strzępy pospiesznie wyciętego płótna.

- Bierz wszystko z tej półki i to z końca - rozkazał Dortlich. Wziął kilka ceratowych zawiniątek i zaprowadził Svenkę do baraku. W baraku, na drewnianych kozłach, stała piękna, dębowa trumna z wyrzeźbionym symbolem Stowarzyszenia Pracowników Morskich i Rzecznych w Kłajpedzie. Biegła wokół niej bogato zdobiona listwa odbojowa, a dolna połowa trumny była nieco ciemniejsza: kadłub łodzi z linią wodną - bardzo elegancki projekt.

- Okręt duszy mojego ojca - powiedział Dortlich. - Daj to pudło ze szmatami. Najważniejsze, żeby nic w środku nie grzechotało.

-Jeśli zagrzechocze, pomyśl, że to jęgo kości - odparł Svenka.

Dortlich klepnął go ręką w usta.

-Trochę szacunku. Daj śrubokręt.

Hannibal Lecter opuścił brudną szybę, wyglądając przez okno, patrząc, jak pociąg wije się wśród kęp wysokich lip i sosen po obu stronach torów, i zaraz potem, z odległości niecałych dwóch kilometrów, zobaczył baszty zamku. Cztery kilometry dalej, przeraźliwie piszcząc i sapiąc, pociąg zatrzymał się na stacji Dubrunst, żeby nabrać wody. Kilku żołnierzy i robotników zeszło wysikać się na nasyp. Na ostry rozkaz konduktora odwrócili się tyłem do wagonów. Hannibal wyskoczył wraz z nimi z chlebakiem na plecach. Kiedy konduktor wrócił do pociągu, on wszedł do lasu. Idąc, dał gazetę na wypadek, gdyby zobaczył go ktoś ze szczytu zbiornika na wodę. W lesie zaczekał, aż - puff-puff-puff - pociąg odjedzie. Został sam. Był brudny i zmęczony.

Kiedy miał sześć lat, Berndt wniósł go krętymi schodami na zbiornik i zza omszałej krawędzi pozwolił mu spojrzeć na wodę, w której odbijał się krąg nieba. W zbiorniku była drabina. Przy każdej okazji Berndt kąpał się tam z dziewczyną ze wsi. Berndt już nie żył i leżał teraz w głębokim lesie. Dziewczyna też już pewnie nie żyła.

Hannibal wziął szybką kąpiel i przepłał kilka rzeczy. Pomyślał o pani Murasaki w łaźni, pomyślał o wspólnej kąpieli w zbiorniku.

Potem ruszył torami w pizeciwnym kierunku, zbaczając do lasu tylko raz, kiedy usłyszał stukot nadjeżdżającej drezyny; jechało nią dwóch Cyganów przewiązanych w pasie koszulami.

Niecałe dwa kilometry od zamku tory przecinała sowiecka linia energetyczna; buldożery zrobiły w lesie długą przecinkę. Przechodząc pod ciężkimi przewodami, czuł, jak płynie nad nim elektryczność, i stanęły mu włosy na ramionach. Skręcił w bok, aby dalej od przewodów, szedł przed siebie, dopóki nie uspokoił się kompas na lornetce ojca. Tak więc mógł dotrzeć do domku na dwa sposoby, jeśli domek jeszcze tam był. Linia wysokiego napięcia znikwała w oddali. Jeżeli nigdzie nie skręcała, musiała przebiegać kilka kilometrów od niego.

Wyjął z chlebaka amerykańskie racje żywnościowe, wyrzucił pozostałe papierosy i rozmyślając, wyjadł mięso z puszki. *Zapadające się schody, walący się na Garkotłuka strop.*

Domku mogło już nie być. Jeśli był i jeśli cokolwiek w nim pozostało, to tylko dlatego, że szabrownicy nie dali rady przeskakać rumowiska, odsunąć ciężkich belek. Żeby zrobić to, czego oni nie mogli, musiał mieć siłę. Zatem do zamku.

Tuż przed zapadnięciem zmroku ruszył przez las w tamtym kierunku. To dziwne, ale gdy spojrzął na swój rodzinny dom, nie poczuł prawie żadnego wzruszenia; widok domu dzieciństwa nie koi, pomaga za to sprawdzić - zakładając, że się tego chce - czy jest się załamany, jak bardzo i dlaczego.

Na tle dogasającego na zachodzie światła siedziba Lecterów była czarna i płaska jak tekturowy zamek lalek Miszy. Zachowany w pamięci zamek siostry był większy niż ten kamienny. Papierowe lalki zwijają się płonąc. *Płonące na matce ubranie.*

Zza drzew za stajnią słyszał brzęk talerzy i sieroty śpiewające *Międzynarodówkę*. W lesie zaszczekał lis.

Ze stajni wyszedł mężczyzna w zabłoconych gumowcach. Ze szpadlem i wiadrem w ręku przeciął podwórze, usiadł na Kruczym Kamieniu, zdjął gumowce i wszedł do kuchni.

Berndt mówił, że posadzili tam kucharza. Że zabili go za to, że był Żydem, że opluł Hiwisa, który go potem zastrzelił. Nie powiedział, jak się ten Hiwis nazywał. „Lepiej, żeby i nie wiedział, załatwię to po wojnie”, mruknął, ściskając go za rękę.

Już ciemno. Elektryczność działała przynajmniej w części zamku. Gdy w gabinecie kierownika zapaliło się światło, Hannibal podniósł lornetkę. Przez okno zobaczył, że sufit w pokoju matki wybielono stalinowskim bielidłem, żeby zamalować postacie z burżuazyjnych mitów religijnych. Niedługo potem w oknie ukazał się sam kierownik ze szklanką w ręku. Był teraz tęższy, pochylony. Z tyłu podszedł do niego pierwszy nadzorca i położył mu rękę na ramieniu. Kierownik odwrócił się i po chwili w gabinecie zgasło światło.

Na tle księżycy sunęły wystrzępione chmury, wspinając się na blanki, przemykając po dachu. Hannibal odczekał jeszcze pół godziny. Potem, idąc w cieniu chmur, ruszył do stajni. Słyszał chrapanie konia w ciemności.

Gdy wszedł do przegrody, Cezar ocknął się, odchrząknął i postawił uszy. Hannibal dmuchnął mu w nos i potarł jego szyję.

- Obudź się, staruszkule - szepnął mu do ucha. Ucho drgnęło i połaskotało go w twarz. Musiał zatkać sobie nos, żeby nie kichnąć. Ostonił dłonią latarkę i obejrzał konia. Cezar był wyszczotkowany i miał zadbane kopyta. Urodził się, kiedy Hannibal miał pięć lat, więc teraz musiał mieć trzynaście.

- Przytyłeś tylko ze sto kilo. - Cezar szturchnął go przyjaźnie nosem i Hannibal musiał przytrzymać się ściany. Założył mu uzdę, chomało i uprzęż, zawiązał postronki. Do upręży podwiesił worek z owsem i Cezar natychmiast odwrócił głowę, próbując wetknąć doń pysk.

Potem wziął z szopy zwój liny, kilka narzędzi i lampę. Zamek tonął w ciemności. Hannibal sprowadził konia ze żwirówki na miękką ziemię i skręcił w stronę lasu pod rogatym księżycem.

W zamku nikt nie podniósł alarmu. Stojący na szczycie zachodniej baszty sierżant Svenka sięgnął po mikrofon radiostacji, którą wtaszczył na górę po dwustu stopniach.

Drogę przegradzało powalone drzewo, a na przybitej do pnia tabliczce widniał rosyjski napis: „Uwaga, niewypały”.

Hannibal obszedł drzewo i wraz z Cezarem zagłębił się w las swego dzieciństwa. Sącząca się przez korony drzew błada poświata malowała plamy na zarośniętej ścieżce. Po ciemku Cezar stapał bardzo ostrożnie. Przeszli spory kawałek, zanim Hannibal zapalił lampę. Szedł przodem, a wielkie jak talerz kopyta przydeptywały skraj kręgu świada. Ludzka kość udowa niczym grzyb sterczała z ziemi na poboczu.

Czasami przemawiał do konia.

- Ile razy woziliś nas tą drogą? Misze, mnie, nianię i pana Jakova.

Po trzech godzinach przedzierania się przez chaszczę dotarł do polany.

Domek wciąż stał. Nie robił wrażenia mniejszego. I w przeciwieństwie do zamku nie był płaski; wyglądał dokładnie tak jak w jego snach. Hannibal zatrzymał się na skraju lasu. Patrzył, obserwował. Tu papierowe lalki wciąż zwijały się w płomieniach. Domek był na wpół spalony i miał częściowo zapadnięty dach; przed całkowitym zawaleniem uchroniły go kamienne ściany. Polanę porastały wysokie do pasa chwasty i wyższe od człowieka krzewy.

Wypalony czołg tonał w pnączach. Kwitnące wici zwisały z lufy, a ogon roztrzaskanego sztukasa sterczał z zarośli niczym żagiel. W trawie nie było ścieżek. W zachwaszczonym ogrodzie strzelały w niebo tyki do fasoli.

Tam, do ogrodu, niania wносиła latem wanienkę, żeby słońce nagrzało wodę, i Misza siedziała w niej, machając do latających wokół bielinków. Raz, gdy tak siedziała, ściał dla niej bakłażan, bo lubiła fioletowy kolor, a ona przytuliła go do siebie, ten bakłażan ciepły od słońca.

Trawa pod drzwiami nie była stratowana. Na schodach leżał stos liści. Hannibal obserwował. Księżyc przesunął się po niebie o szerokość palca.

Pora, już czas. Wychynął z lasu i wraz z koniem ruszył przed siebie w świetle księżyca. Podeszedł do pompy, zalał ją kubkiem wody z bukłaka i pompował, dopóki zgrzytliwy tłok nie wyssał z ziemi pierwszego haustu zimnej wody. Hannibal powąchał ją, posmakował i dał się napić Cezarowi, który wyłopałszy ze cztery litry, zjadł dwie garści owsa z worka. Przenikliwy pisk pompy niósł się daleko w głąb lasu. Zahuczała sowa i koń zastrzygł uszami.

Czatujący sto metrów dalej Dordich usłyszał pisk pompy i wykorzystując hałas, ruszył naprzód. Przez wysokie paprocie szedł bezszelstnie, ale od czasu do czasu pod nogami trzaskały mu suche gałązki. Zamarł, gdy na polanie zapadła cisza i nagle usłyszał krzyk ptaka gdzieś między nim i domkiem. Zaraz potem ptak sfrunął z drzewa i z nieprawdopodobnie szeroko rozłożonymi skrzydłami przeleciał nad nim, sunąc bezgłośnie przez gęstwinę gałęzi i przesłaniając skrawki nieba.

Dortlicha przeszedł dreszcz. Postawił kołnierz i usiadł między paprociami, żeby trochę zaczekać.

Hannibal patrzył na domek, domek patrzył na niego. Wszystkie szyby były wybite. Ciemne okna obserwowały go jak puste oczodoły czaszki gibbona. Wybuch pocisku zmienił kąty i pochyłości, wysokie chwasty zmieniły wysokość ścian - domek myśliwski jego dzieciństwa stał się mroczną szopą ze snów. Teraz szedł ku niej przez zarośnięty ogród.

Tu leżała jego matka w płonącej sukience; przytulił się do jej piersi, lecz piersi były już zimne i twarde jak gład. Tam leżał Berndt, a tam,

wśród rozrzuconych kartek książki, zamarzł na śniegu mózg pana Jarkova. Niedaleko schodów twarzą do ziemi Użał ojciec, który zginął, podjąwszy taką, a nie inną decyzję.

Teraz nie było tu już nic.

Frontowe drzwi były pęknięte i wisiały na jednym zawiasie. Hannibal podszedł do nich i wepchnął je w ciemność. W środku zachrobotало coś małego i przerażonego. Z lampą w rękę Hannibal przekroczył próg.

Izba była częściowo wypalona, na wpół otwarta na niebo. Schody leżały na podłodze, na schodach belki stropowe. Stół był zmiażdżony. W kącie przycupnęło na boku pianino, szczerząc do niego zęby z kości słoniowej. Na ścianach rosyjskie graffiti: „Pieprzyć plan pięcioletni” i „Kapitan Grienko to chuj”. Przez okno wyskoczyły dwa małe zwierzątka.

W izbie panowała martwa cisza. Rzucając jej wyzwanie, Hannibal oczyścił łomem płytę i postawił na niej lampę. Duchówki były pootwierane i brakowało w nich półek; wraz z garnkami ukradli je pewnie złodzieje, żeby mieć na czym gotować nad ogniskiem.

Pracując w świetle lampy, oczyścił z gruzu podłogę wokół schodów. Resztę przygniatały wielkie belki, stos gigantycznych, nadpalonych bierok.

Za ślepyimi oknami wstał świt i na okopconą głowę zwierzaka na ścianie padły czerwone promienie wschodzącego słońca.

Hannibal przyjrzał się stercie belek, przywiązał podwójną linę do tej leżącej najbliżej środka stosu i rozwijając ją za sobą, wyszedł na dwór.

Obudził Cezara, który na przemian to drzemał, to skubał trawę. Pochodził z nim trochę, żeby go rozruszać. Rosa przemoczyła mu nogawki spodni; błyszczała na trawie i niczym krople zimnego potu spływała po aluminiowej skórze bombowca. Dopiero w świetle dnia zobaczył, że pnącza rosną w kabinie znacznie szybciej, jak w szklarni, że mają duże liście i świeże pędy. Pilot wciąż siedział w fotelu ze strzelcem z tyłu: zieleń oplotła go, obrosła i przerosła na wylot, wijąc się między żebrami i wypełniając czaszkę.

Hannibal przywiązał linę do uprzęży i poprowadził Cezara do przodu, aż lina naprężyła się i koń poczuł na piersi opór ładunku. Wtedy Hannibal zaklikał mu do ucha, tak jak to robił w dzieciństwie. Cezar napał na chomałto, napiął mięśnie i ruszył przed siebie. Z domku dobiegł trzask i głuchy łoskot. Oknami buchnęła sadza i niczym czmychający mrok uciekła do lasu.

Hannibal poklepał Cezara po szyi. Zniecierpliwiony, nie czekając, aż opadnie pył i kurz, zasłonił sobie twarz chustką do nosa, krztusząc się i kaszląc, wszedł po rumowisku do środka, szarpnął liną, zdjął ją i przywiązał do kolejnej belki. Dwa kursy i usunął spod schodów dwie najcięższe przeszkody. Potem, nie wyprzegając konia, łomem i szuflą zaczął przekopywać gruz i odrzucać na bok kawałki mebli, nadpalone poduszki, korkowy termos... Podniósł z podłogi osmalony łeb dzika na desce.

Głos matki: Perty przed wieprze.

Potrząsnął nim i w środku coś zagrzecotało. Chwycił za język i pociągnął. Język wyszedł z pyska wraz z zatyczką. Hannibal przechylił łeb i na płytę wysypała się biżuteria. Nawet jej nie obejrzawszy, wrócił do pracy.

Kiedy zobaczył wanienkę Miszy, miedzianą wanienkę ze ślimakowato zwiniętym uchem, przestał kopać i stanął prosto. Izba zawirowała i musiał przytrzymać się płyty, przyłożyć czoło do zimnego żelaza. Wszedł i wrócił z kilkoma metrami kwitnącego pnącza. Nie zajrzał do wanienki, przykrył ją tylko zwojem zieleni i postawił na płycie, lecz nie mogąc patrzeć, jak tam stoi, wyniósł ją na dwór i postawił na czołgu.

Hałas, odgłosy kopania i trzask podważanych łomem belek, ułatwił Dortlichowi posuwanie się naprzód. Wystawiając zza krzaków tylko jeden tubus lornetki i to tylko wtedy, gdy słyszał szurgotanie i stukot łomu, obserwował domek z ciemnego lasu.

Szpadel Hannibala uderzył w coś, odsłonił ludzką ręką, a potem czaszkę Garkotłuka - trupi uśmiech i dobre wieści: złote zęby dowodziły, że szabrownicy tak głęboko nie dotarli. Zaraz potem

znalazł skórzaną torbę, którą Garkotłuk wciąż przyciskał do siebie odzianymi w rękaw kośćmi. Hannibal podniósł ją i zaniósł do pieca. Jej zawartość zagrzecgotała na płycie: wojskowe naszywki na kołnierz, insygnia litewskiej policji, esesmańskie błyskawice, trupie główki WafFen-SS, aluminiowe orły litewskiej policji, naszywki Armii Zbawienia i - nareszcie - sześć nieśmiertelników z nierdzewnej stali.

Na wierzchu leżał nieśmiertelnik Dortlicha.

Cezar zauważał dwa rodzaje rzeczy w rękach człowieka: jabłka i worek zjedzeniem oraz wszelkiego rodzaju baty i kije. Z kijem nie można było do niego podejść, bo kiedy był źrebięciem, rozwścieczony kucharz wypędzał go często z warzywniaka. Gdyby wychodząc z lasu, Dortlich nie miał w ręku wzmocnionej ołowiem milicyjnej palki, koń pewnie by go zignorował. Ale ponieważ Dortlich pałkę miał, Cezar parsknął, ciągnąc za sobą linę, odbiegł kilka kroków dalej, po czym stanął pyskiem do przeciwnika.

Dortlich wycofał się między drzewa i zniknął w lesie. Przeszedł sto metrów przez mokre od rosy, wysokie do piersi paprocie, wreszcie znalazł się poza zasięgiem ślepych okien domku. Wyjął pistolet i wprowadził nabój do komory. Czterdzieści metrów za domkiem była wiktoriańska wygodka z bogatymi zdobieniami pod okapem - na prowadzącej do niej wąskiej ścieżce bujnie pienił się zdziczały tymianek i zrosnięty ze sobą żywopłot odgradzający wygodkę od domku. Dortlich ledwie się tamtędy przecisnął: gałęzie i liście podrapały mu szyję, ale żywopłot był giętki i nie zatrzeszczał. Z pałką w jednej i z pistoletem w drugiej ręce, zrobił dwa kroki w stronę bocznego okna, gdy w kręgosłup trafił go kant szpadla i odebrało mu władzę w dolnej części ciała. Wystrzelił w ziemię, nogi się pod nim ugięły, a wtedy szpadel grzmotnął go na plask w potylicę i tuż zanim pociemniało mu w oczach, poczuł jeszcze dotyk trawy na policzku.

Śpiew ptaków, trz nadle na drzewach i żółtawe światło poranka na wysokiej trawie, pochylonej tam, gdzie przeszedł z Cezarem.

Hannibal oparł się o skorupę wypalonego czołgu, zamknął oczy i stał tak przez pięć minut. Potem spojrzął na wanienkę i odsunął palcem pnąca na tyle, żeby zobaczyć szczątki Miszy. Miała wszystkie zębki i dziwnie go to pocieszyło -jedna potworna wizja mniej. Wyjął z wanienki liść bobkowy i go wyrzucił.

Z biżuterii na płycie wybrał broszkę, którą widywał na pierśsi matki, wysadzaną brylantami wstęgę Mobiusa. Tasiemką z kamei przywiązał ją tam, gdzie Misza nosiła wstążeczkę we włosach.

Na wschodnim zboczu górującego nad domkiem wzgórze wykopał grób i wyłożył go wszystkimi dzikimi kwiatami, jakie tylko mógł znaleźć. Wstawił doń wanienkę i przykrył ją dachówkami.

Potem stanął u szczytu grobu. Na dźwięk jego głosu skubiący trawę Cezar podniósł łeb.

- Misza, naszym pocieszeniem jest świadomość, że Boga nie ma. Że nie jesteś uwiązana w niebie i że nikt nie każe ci po wsze czasy całować go w tyłek. Dane jest ci coś lepszego niż raj. Dany jest ci błogi niebyt. Codziennie za tobą tęsknię.

Zasypał grób, uklepał rękami ziemię. Pokrył mogiłę sosnowym igliwem, liśćmi i gałązkami, aż zlała się w całość z poszyciem lasu.

Na małej polanie w pewnej odległości od grobu siedział Dortlich, zakneblowany i przywiązany do drzewa. Hannibal dołączył do niego z Cezarem.

Usiadłszy, zajrzał do jego plecaka. Mapa, kluczyki samochodowe, wojskowy otwieracz do konserw, kanapka w ceratowej torebce, jabłko, skarpetki na zmianę i portfel. Z portfela wyjął dowód osobisty i porównał nazwisko z tym na nieśmiertelniku.

- Herr... Dortlich. W imieniu moim i mojej rodziny chcę podziękować panu za przybycie. Pańska tu obecność dużo dla mnie znaczy. Cieszę się, że mamy sposobność porozmawiać o tym, jak zjedliście moją siostrę.

Wyciągnął mu knebel z ust i Dortlich od razu zaczął mówić.

- Jestem milicjantem z miasta, było doniesienie o kradzieży konia. Dlatego tu jestem, tylko dlatego, powiedz, że go zwrócisz i o wszystkim zapomnimy.

Hannibal pokręcił głową.

- Pamiętam pańską twarz. I zrosnięte błoną palce u rąk, którymi macał pan nas, żeby sprawdzić, kto jest tłustszy, Misza czyja. Pamięta pan wanienkę na płycie?

- Nie. Z wojny pamiętam tylko to, że było mi zimno.

- Czy zamierzał pan dzisiaj zjeść mnie, Herr Dortlich? Ma pan tu kanapkę. - Hannibal rozchylił ją i zajrzał do środka. - Herr Dortlich, ile majonezu!

- Zaraz tu przyjdą, będą mnie szukać.

- Macał pan nasze ręce. - Hannibal pomacał jego rękę. - Macał pan policzki, Herr Dortlich. - Uszczypnął go w policzek. - „Herr”: tak do pana mówię, ale nie jest pan Niemcem, Litwinem, Rosjaninem ani nikim innym, prawda? Jest pan swoim własnym obywatelem, obywatelem Dortlich. Czy wie pan, gdzie są pozostali? Utrzymujecie ze sobą kontakt?

- Nie żyją, wszyscy zginęli na wojnie.

Hannibal uśmiechnął się i rozwiązał małe zawiniątko z chustki do nosa.

- Smardze kosztują w Paryżu sto franków za centygram, a te rośły tu na zwykłym pniaku! - Wstał i podszedł do konia.

Gdy tylko się odwrócił, skrępowany Dortlich zaczął wić się i szarpać.

Na szerokim grzbiecie Cezara leżała lina. Hannibal przywiązał jej koniec do upręży. Na drugim końcu była pętla. Rozwijając linę, wrócił do Dortlicha i majonezem z kanapki obficie wysmarował mu szyję.

- Jeden żyje! - wychrypiął Dortlich, wzdrygając się pod dotykiem jego ręki. - W Kanadzie, Grentz, poszukaj jego dokumentów. Będę musiał zeznawać, poświadczyć...

- Poświadczyć co, Herr Dortlich?

- To, co mówisz. Ja tego nie zrobiłem, ale powiem, że widziałem, jak oni to robią.

Hannibal założył mu pętlę na szyję i spojrzął w oczy.

- Czy ja się na pana denerwuję? Sprawiam takie wrażenie? — Wrócił do konia.

- Został tylko jeden, Grentz, uciekł statkiem z uchodźcami z Bremerhaven... Mogę złożyć oświadczenie pod przysięgą...

- Dobrze, zatem jest pan gotów... śpiewać?

-Tak.

-W takim razie zaśpiewajmy razem dla Miszy, Herr Dortlich. Zna pan tę piosenkę. Misza ją uwielbiała. - Odwrócił Cezara tyłem do Dortlicha. — Nie chcę, żebyś to oglądał - szepnął mu do ucha i zaczął śpiewać: - *Ein Mannlein steht im Waldeganz still und stumm...* — Ci-cho zaklikał i razem z koniem ruszył naprzód. - Niech pan śpiewa, Herr Dortlich, dopóki ma pan trochę luzu. *Es hat von lauter Purpur ein Mantelein urn.*

Patrząc, jak lina rozwija się na trawie, Dordich wyciągał szyję to w lewo, to w prawo.

- Nie śpiewa pan, Herr Dortlich.

Dortlich otworzył usta i zaśpiewał pozbawionym melodii krzykiem:

- *Sagt, wer mag das Mannlein sein!*

I zaśpiewali razem:

- *Das da steht im Walde allein...*

Zwisająca luźno lina uniosła się nad trawę.

- Porvik! - wrzasnął Dortlich. - Nazywa się Porvik, Garkotfuk! Zginął w domku. Znalazłeś go!

Hannibal zatrzymał konia, wrócił do niego i spojrzął mu w oczy.

- Przywiąż go! - wysapał Dortlich. - Przywiąż konia, może go ugryźć pszczoła.

-Tak, w trawie jest ich mnóstwo. - Hannibal przejrzał nieśmiertelniki. - A Milko?

- Nie wiem, nie wiem. Przysięgam.

- I tak dochodzimy do Grutasa.

- Nie wiem, nie wiem. Wypuść mnie, będę zeznawał przeciwko Grentzowi. Znajdziemy go w Kanadzie.

-Jeszcze kilka strof, Herr Dortlich.

Hannibal poprowadził Cezara dalej i na niemal całkowicie naciągniętej linie zabłysły kropelki rosy.

- *Das da steht im Walde allein...*

- Kolnas! - Zduszony krzyk. - Kolnas robi z nim interesy!

Hannibal poklepał konia po szyi i wrócił do drzewa.

- Gdzie jest ten Kolnas?

- Mieszka we Francji, w Fontainebleau. Ma restaurację. Zostawiam mu wiadomości. Tylko tak można się z nim skontaktować.

- Spojrzał Hannibalowi w oczy. - Przysięgam na Boga, że ona już nie żyła. Ona i tak już nie żyła, przysięgam.

Patrząc na jego twarz, Hannibal zaklikał na konia. Lina się napięła, zjeżyły się sterczące z niej włoski, na ziemię spadła rosa. Dortlich wydal zduszony krzyk, a Hannibal ryknął mu prosto w twarz:

- *Das da steht im Walde allein,
Mit dem purporroten Mantelein.*

Mokry trzask i fontanna pulsującej krwi z rozerwanej arterii. Uwięziona w pętli głowa wlokła się przez sześć metrów, wreszcie znieruchomiła, patrząc w niebo.

Cichy gwizd i Cezar stanął z uszami do tyłu.

- *Dem purporroten Mantelein, rzeczywiście.*

Hannibal wziął plecak Dortlicha, wysypał na ziemię jego wartość, schował dokumenty i kluczyki samochodowe. Z zielonej gałązki zrobił prowizoryczną szpadkę do rożna i poklepał się po kieszeniach w poszukiwaniu zapalek.

Gdy zapłonęło ognisko i chrust zaczął zmieniać się w pożyteczny żar, zaniósł Cezarowi jabłko Dortlicha. Zdjął uprząż, żeby koń nie zaplątał się w zaroślach i odprowadził go ścieżką w stronę zamku. Objął go za szyję, klepnął w zad i szepnął:

- Wracaj do domu. Cezar, do domu.

Cezar znalazł drogę.

Wnagiej przecince pod linią wysokiego napięcia osiadła mgła i sierżant Svenka kazał kierowcy zwolnić, żeby nie wpadli na jakiś pniak. Spojrzał na mapę i sprawdził numer na słupie podtrzymującym ciężkie przewody.

—Tutaj.

Ślady opon samochodu Dortlicha ciągnęły się dalej, ale w tym miejscu wóz musiał przystanąć, bo na ziemi była plama oleju.

Z ciężarówki zeskoczyli milicjanci z psami, dwoma dużymi, czarnymi owczarkami alzackimi, podnieconymi wyprawą do lasu, i ze spokojnym, opanowanym ogarem. Svenka dał im do powąchania górę flanelowej piżamy Dordicha i wyruszyli. Pod zaciągniętym niebem drzewa były rozmyte i szare, a na polankach stała mgła.

Owczarki kręciły się wokół domku myśliwskiego, ogar ganiał nieco dalej, wpadając i wypadając z lasu, gdy wtem jeden z milicjantów coś krzyknął. Koledzy go nie usłyszeli, zagwizdał więc gwizdkiem.

Na pieńku stała głowa Dortlicha, a na głowie przysiadł kruk. Na widok milicjantów odleciał, zabierając ze sobą to, co zdołał udźwignąć.

Sierżant Svenka wziął głęboki oddech i żeby dać przykład podwładnym, podszedł do głowy. JBrakowało w niej policzków, które starannie wycięto, tak że z boków widać było zęby. W otwartych ustach tkwił wetknięty między siekacze nieśmiertelnik.

Znaleźli ognisko. Svenka pomacał popiół na skraju paleniska.
Zimny.

- Szaszłyk - powiedział. - Z policzków i smardzów.

Inspektor Popił szedł piechotą z komendy głównej przy Quai des Orfevres na Place des Vosges, niosąc cienką teczkę. Wstąpiwszy po drodze na szybką kawę, poczuł zapach calvadosu w barze i zrobiło mu się żal, że to jeszcze nie wieczór.

Chodził po żwirze tam i z powrotem, patrząc w okna pani Murasaki. Zastłony były zaciągnięte. Zrobione z cienkiego materiału od czasu do czasu poruszały się w przeciagu.

Rozpoznała go dozorczytni z dziennej zmiany, stara Greczynka.

- Madame mnie oczekuje - powiedział. - Czy był tu ostatnio ten młody człowiek?

Greczynka wyczuła drzenie wewnętrznej anteny ostrzegawczej i powiedziała to, co uznała za bezpieczne.

- Nie widziałam go, ale miałam wolne. - Wpuściła go do środka.

Pani Murasaki leżała w pachnącej kąpieli. W wodzie pływały cztery gardenie i kilka pomarańczy. Ulubione kimono jej matki było haftowane w gardenie. Pozostał z niego popiół. Wspominając, zrobiła małą fale, która zmieniła ułożenie kwiatów. Kiedy wyszła za mąż za Roberta Lectera, tylko matka ją zrozumiała. Ojciec, który od czasu do czasu pisał do niej z Japonii, wciąż był chłodny. Zamiast zaprasowanego kwiatka czy pachnącego ziela, w jego ostatnim liście znalazła szerniałą gałązkę z Hiroszimy.

Czy to dzwonek u drzwi? Uśmiechnęła się, myśląc: Hannibal, i sięgnęła po kimono. Ale Hannibal zawsze przed przyjściem telefonował lub przysyłał list, no i dzwonił, zanim przekreślił klucz w zamku. Tym razem klucza w zamku nie było, był tylko sam dzwonek.

Wyszła z kąpieli i pospiesznie owinęła się bawełnianym szlafrokiem. Przynęła oko do judasza. Popił. W judaszu był Popił.

Lubiła jadać z nim obiad. Ten pierwszy, w Le Pre Catalan w Laszku Bulońskim, był dość sztywny, ale potem jadaliby już w Chez Paul, niedaleko jego pracy, a tam było o wiele przyjemniej i swobodniej. Zapraszał ją również na kolacje, zawsze listownie, a raz dołączył do listu *haiku* z nadmierną ilością odniesień do pory roku. Zaproszenia na kolację odrzucała, też listownie.

Otworzyła zasuwę. Włosy miała ściągnięte do góry i była cudownie bosa.

- Pan inspektor.
- Proszę wybaczyć, że przychodzę bez zapowiedzi, ale próbowałem się dodzwonić.
- Słyszałam telefon.
- Z łazienki, jak się domyślam.
- Proszę wejść.

Idąc za jego wzrokiem, zobaczyła, że natychmiast zerknął na zbroję, sprawdzając, czy broń jest na miejscu: sztylet *tanto*, krótki miecz, długi miecz, topór wojenny.

- Czy zastałem Hannibala?
- Nie, nie ma go.

Jako kobieta atrakcyjna, pani Murasaki wciąż polowała. Z dłońmi w rękawach kimona stanęła tyłem do kominka, czekając, aż zdobycy przyjdzie do niej sama. Natomiast Popił polował, działając: chciał wypłoszyć zwierzynę, bo tak nakazywał mu instynkt.

Stanął za otomaną, dotknął obicia.

- Muszę go znaleźć. Kiedy widziała go pani ostatni raz?
- Ile to już dni? Pięć. Coś się stało?

Popił podszedł do zbroi. Potarł palcem wyłożony laką napierśnik.

-Wie pani, gdzie on jest?

-Nie.

-Wspominał, dokąd wyjeżdża?

„Wspominał”. Pani Murasaki obserwowała go. Miał zaczerwienione czubki uszu. Chodził, pytał i dotykał rzeczy w pokoju. Lubił kontrastujące ze sobą powierzchnie: najpierw dotykał czegoś gładkiego, potem czegoś mechatego. Zauważyła to i przy stole. Gładkie i szorstkie. Tak jak wierzch i spód języka. Wiedziała, że może zelektryzować go tym obrazem i sprawić, że cała krew odpłynie mu z głowy.

Popił obchodził właśnie kwiatek w doniczce. Gdy spojrział na nią przez liście, uśmiechnęła się, wybijając go z rytmu.

- Na wycieczkę, ale nie wiem dokąd.

- Tak, na wycieczkę - powtórzył Popił. - Na polowanie na zbrodniarzy wojennych.

Spojrzał jej w oczy.

- Przykro mi, ale muszę to pani pokazać. - Położył na stoliku niewyraźne zdjęcie, jeszcze wilgotny, wciąż zwijający się faks z ambasady sowieckiej. Pokazywał głowę Dortlicha na pniaku i milicjantów stojących wokoło z dwoma owczarkami i ogarem. Kolejne zdjęcie Dortlicha pochodziło z jego rosyjskiego dowodu osobistego.

- Znaleziono go w lesie, który przed wojną należał do rodziny Hannibala. Wiem, że Hannibal tam był: dzień wcześniej przekroczył polską granicę.

- Dlaczego uważa pan, że to akurat on? Ten człowiek musiał mieć wielu wrogów, wspominał pan, że był zbrodniarzem wojennym.

Popił podsunął jej kolejne zdjęcie.

- Tak wyglądał za życia. - Wyjął z teczki rysunek, pierwszy z kilku. - A tak narysował go, Hannibal; to rysunek z jego pokoju. -Twarz była w połowie przekrojem anatomicznym, w połowie twarzą Dortlicha.

- Na pewno tam pana nie zapraszał.

Nagle Popił wpadł w gniew.

- Pani pupilek, ten jadowity wąż, zabił człowieka. Prawdopodobnie nie pierwszego, wie pani o tym lepiej niż ja. Są jeszcze inni - dodał, kładąc rysunki na stoliku. - Znalazłem je w jego pokoju, ten, ten i ten. To twarz jednego z oskarżonych w Norymberdze, pamiętam ją. Ci ludzie są teraz uciekinierami i zabijają go, jeśli tylko będą mogli.

- A sowiecka policja?

- Wypytyują po cichu we Francji. Nazista taki jak Dortlich w milicji obywatelskiej przynosi im wstyd. Ściągnęli jego akta ze Stasi.

- Jeśli złapią Hannibala...

- Jeśli złapią go na Wschodzie, po prostu go zastrzelą. Jeśli zdoła się wymknąć i jeśli będzie trzymał język za zębami, może pozwolią sprawie przyschnąć i umrzeć śmiercią naturalną.

- A pan pozwoli jej przyschnąć i umrzeć?

- Jeśli zabije kogoś we Francji, pójdzie do więzienia. Może stracić głowę. - Popił zastępnął bez ruchu. Opadły mu ramiona.

Włożył ręce do kieszeni.

Pani Murasaki wyjęła swoje z rękawów.

- A panią deportują - dodał inspektor. - Będzie' mi smutno. Lubię panią widywać.

- Żyje pan, samymi oczami, inspektorze?

- A Hannibal? Zrobiłaby pani dla niego wszystko, prawda?

Zaczęła coś mówić, szukać jakiegoś określenia, zabezpieczenia, a potem odrzekła po prostu:

-Tak.

I czekała.

- Niech pan mu pomoże, Pascal. Jemu i mnie. - Nigdy dotąd nie zwróciła się do niego po imieniu.

- Proszę go do mnie przysłać.

Rzeka Essonne, gładka i ciemna, sunęła bezgłośnie obok magazynu i pod czarną barką mieszkalną cumującą przy nabrzeżu pod Vert le Petit. Iluminatory w niskich nadbudówkach były zasłonięte. Do barki biegła linia telefoniczna i elektryczna. Liście roślin w kontenerowym ogródku były mokre i błyszczące.

Otwory szybów wentylacyjnych wychodziły na pokład. Z jednego z nich dobiegł przeraźliwy krzyk. W iluminatorze ukazała się udręczona twarz kobiety z policzkiem przyciśniętym do szkła - gruba ręka odepchnęła ją i gwałtownym szarpnięciem zaciągnęła zasłonę. Nikt tego nie widział.

Była lekka mgła i nadbrzeżne latarnie miały aureole, lecz widać, też było kilka gwiazd. Świeciły za słabo i zbyt wodniście, żeby je rozpoznać.

Czuwający przy drodze strażnik oświecił latarką wnętrze furgonetki z napisem „Cafe de L'Est” i rozpoznawszy Petrasa Kolnasa, wpuścił go na ogrodzony drutem kolczastym parking.

Kolnas przeszedł szybko przez magazyn, gdzie robotnik malował coś na skrzyniach ze sprzętem oznakowanych napisem: „Amerykańska poczta wojskowa, Neuilly”. Magazyn był zastawiony wielkimi pudłami i zygzakując między nimi, Kolnas wyszedł wreszcie na nabrzeże.

Obok trapu, przy stole z drewnianych skrzyń, siedział kolejny strażnik. Jadł scyzorykiem kielbasę, jednocześnie paląc papierosa.

Wytarł w chustkę ręce, żeby obszukać Kolnasa, ale rozpoznawszy go, ruchem głowy kazał mu iść dalej.

Kolnas żył własnym życiem i rzadko kiedy spotykał się z pozostałymi. Chodził po swojej kuchni z miseczką, wszystkiego próbował i od wojny przytył.

Zigmas Milko, jak zawsze szczupły, wpuścił go do kabiny.

Vladis Grutas siedział na skórzanej kanapie, a kobieta z podbitym okiem robiła mu pedikur. Sprawiała wrażenie wystraszonej i była zbyt stara na sprzedaż. Grutas spojrzął na Kolnasa z miłym, otwartym wyrazem twarzy, który jest często oznaką wybuchowego usposobienia. Kapitan barki grał w karty na stoliku do map z brzuchatym bandziorem nazwiskiem Mueller, byłym żołnierzem Dywizji Grenadierów SS „Dirlewanger”, któremu tatuaże pokrywały cały kark i ręce, by zniknąć pod rękawami. Kiedy Grutas spojrzął swoimi wyblakłymi oczami na grających, ci zebrali karty i wyszli.

Kolnas nie tracił czasu na powitania.

- Dortlich miał w gębie swój nieśmiertelnik. Dobra niemiecka stal nierdzewna, nie stopiła się ani się nawet nie nadpałiła. Ten chłopak dorwie i twój. Twój, mój, Milki i Grentza.

- Kazałeś Dortlichowi przeszukać tę chatę cztery lata temu - powiedział Milko.

- Ten leniwy sukinsyn pewnie widelcem tam tylko grzebnał - mruknął Grutas. Nie patrząc na kobietę, odepchnął ją nogą. Kobieta wybiegła z kabiny.

- Gdzie on jest, ten mały podlec, który zabił Dortlicha? - spytał Milko.

Kolnas wzruszył ramionami.

- Studiuje w Paryżu. Nie wiem, jak załatwił wizę. Przekroczył granicę z wizą. Czy i jak wrócił, nie wiadomo. Nie wiedzą, gdzie teraz jest.

-A jeśli pójdzie na policję? - wtrącił Kolnas.

- Z czym? - odparł Grutas. - Ze wspomnieniami z dzieciństwa? Z dziecięcymi koszmarami i starymi nieśmiertelnikami?

- Dortlich mógł mu powiedzieć, że dzwoni do mnie, żeby się z wami skontaktować - spekulował Kolnas.

Grutas wzruszył ramionami.

- Będzie próbował narobić nam kłopotów.

- Próbował? — prychnął Milko. — Dortlichowi już narobił. Nie-
źle musiał się napracować, Dortlich to trudny przeciwnik. Pewnie
strzelił mu w plecy.

- Iwanow wisi mi przysługę - powiedział Grutas. - Ochrona
ruskiej ambasady wystawi nam tego Hannibala i się nim zajmiemy.
Żeby Kolnas przestał się wreszcie martwić.

Z głębi barki dobiegły stłumione krzyki i odgłosy uderzeń. Ża-
den z nich nie zwrócił na to uwagi.

- Interes przejmie Svenka - rzekł Kolnas, żeby pokazać im, że
się nie przejmuje.

- Chcemy go? — spytał Milko.

Kolnas wzruszył ramionami.

- Nie mamy wyboru. Pracował z Dortlichem przez dwa lata. Ma
nasz towar. Bez niego nie dostaniemy się do obrazów. Ma dostęp do
deportowanych: może wybierać co lepszych i wysyłać ich do Bre-
merhaven. Tam byśmy ich odbierali.

Gdy Plevin przedstawił swój plan włączenia Niemiec do euro-
pejskich struktur militarno-obronnych, wystraszony Stalin rozpoczął
falę czystek i deportacji w Europie Wschodniej. Do obozów pracy
na Syberii i ku nędzy obozów uchodźczych na Zachodzie co tydzień
pędziły zatłoczone pociągi. Zrozpaczeni wygnańcy byli dla Grutasa
bogatym źródłem kobiet i młodych chłopców. On sam trzymał się
w cieniu. Handlował niemiecką morfiną. Handlował transformato-
rami do czarnorynkowych urządzeń elektrycznych i dostosowywał
się do wszystkich zmian, jakich wymagało sprawne funkcjonowanie
handlu ludźmi.

Teraz się zamyślił.

- Czy ten Svenka był na froncie? - Żaden z nich nie wierzył, żeby
ktoś, kto nie był na froncie wschodnim, mógł się do czegoś przydać.

- Przez telefon wydaje się młody - odparł Kolnas. - Dordich coś tam nagrywał.

-Wszystko wywieziemy.Teraz. Sprzedawać nie będziemy, bo za wcześnie, ale trzeba to wywieźć. Kiedy ma znowu dzwonić?

-W piątek.

- Powiedz mu, żeby załatwił to teraz.

- Będzie chciał zwiać. Zażąda papierów.

- Możemy przerzucić go do Rzymu. Nie wiem, czy chcę go tu widzieć. Obiecuj mu, co zechce.

- Dzieła sztuki to teraz gorący towar - zauważył Kolnas.

- Lepiej wracaj do swojej restauracji - mruknął Grutas.- I karm za friko gliniarzy, żeby darli twoje mandaty. A jak znowu przyjdiesz tu pojęć, przynieś nam trochę kulek ptyśiowych.

- On jest w porządku - dodał, gdy Kolnas wyszedł.

- Oby - odparł Milko. - Nie chcę prowadzić restauracji.

- Dieter! Gdzie jest Dieter? - Grutas załomotał do drzwi kabiny na dolnym pokładzie i gwałtownie je pchnął.

W kabinie siedziały dwie młode przestraszone kobiety, przykute łańcuchem do ramy łóżka. Dwudziestopięcioletni Dieter trzymał jedną z nich za włosy.

- Podbijesz jej oko albo rozetniesz wargę i forszę szlag trafi - warknął Grutas. - A tę na razie zabieram.

Dieter puścił kobietę i zaczął szperać po kieszeniach w poszukiwaniu kluczyka.

-Eva!

Do kabiny weszła starsza kobieta; stanęła pod ścianą.

- Doprowadź ją do porządku - rzucił Dieter. - Mueller zawiezie ją do domu.

Grutas i Milko szli przez magazyn do samochodu.W odgradzonej sznurkiem części magazynu stały skrzynie z napisem: „Gospodarstwo domowe”. Grutas zauważył tam angielską lodówkę.

— Milko, wiesz, dlaczego Angole piją ciepłe piwo? Bo używają lodówek Lucasa. Oni, ale nie ja. Ja chcę mieć Kelvina, Frigidaire'a, Magnavoksa albo Curtisa-Mathisa. Dla mnie wszystko musi być amerykańskie. - Podniósł pokrowiec pianina i zagrał kilka taktów. - Jak z burdelu. Nie chcę. Kolnas znalazł dla mnie Bosendorfera. Jest najlepsze. Odbierzesz je w Paryżu, kiedy będziesz załatwiał... tę drugą sprawę.

Czekała w jego pokoju, wiedząc, że do niej nie przyjdzie, zanim się porządnie nie umyje i nie przebierze. Nigdy jej tu nie zapraszał, ale nie myszkowała. Obejrzała tylko rysunki na ścianach, ilustracje medyczne, które zajmowały ponad połowę pokoju. Położyła się na jego łóżku, częściowo osłonięta skosem sufitu. Na małej półce naprzeciwko łóżka stał oprawiony w ramki obraz, przykryty haftowanym w czaple jedwabiem. Leżąc na boku, wyciągnęła rękę i lekko odchyliła materiał. Zastaniał piękny rysunek jej nagiej w kąpieli, ołówek, kreda i pastele. Na dole widniała pieczęć „Wieczność w ośmiu pociągnięciach pędzlem” oraz kilka niewielkich japońskich symboli w stylu trawiastym, niezbyt pasujących do „kwiatów wodnych”.

Długo przyglądała się rysunkowi, potem zastoniła go, zamknęła oczy i przypomniał jej się wiersz Yosano Akiko:

*Pośród tonów koto słyhać
Głęboką, tajemniczą nutę,
Dźwięk, który dochodzi
Z mej piersi.*

Drugiego dnia, niedługo po wschodzie słońca, usłyszała kroki na schodach. Szczęknął klucz w zamku i oto stanął przed nią Hannibal, brudny i zmęczony, z plecakiem w ręku.

Wstała.

- Hannibalu, muszę posłuchać twojego serca. Serce Roberta umilkło. Twoje umilkło w mych snach. - Podeszła bliżej i przyłożyła ucho do jego piersi. - Pachniesz dymem i krwią.

- A ty, pani, jaśminem i zieloną herbatą. Pachniesz spokojem.

- Jesteś ranny?

- Nie.

Tuż przy twarzy miała pęk nadpalonych nieśmiertelników, które zwisały mu z szyi.

- Zabrałeś je zmarłym?

- Zmarłym?

- Sowiecka policja wie, kim jesteś. Był tu inspektor Popił. Jeśli do niego pójdziesz, pomoże ci.

- Ci ludzie nie umarli. Żyją i dobrze się mają.

- Tu, we Francji? W takim razie wskaż ich inspektorowi Popiłowi.

- Francuskiej policji? Dlaczego? - Hannibal pokręcił głową.

- Jutro niedziela czy coś mi się pomyliło?

- Tak, niedziela.

- Pojedź ze mną, pani. Wpadnę po ciebie. Chcę, żebyś obejrzała pewnego potwora i powiedziała mi, że winien bać się francuskiej policji.

- Inspektor Popił...

- Kiedy go zobaczysz, przekaż mu, że mam dla niego list. - Hannibal pokiwał głową.

- Gdzie się kąpiesz?

- Pod prysznicem w prosektorium. Właśnie tam idę.

- Chcesz coś zjeść?

- Nie, dziękuję.

- W takim razie prześpij się. Będę z tobą. Jutro, pojutrze i we wszystkie następne dni.

Jechał dwucylindrowym boxerem BMW, motocyklem, który porzucili uciekający Niemcy. Motocykl był polakierowany na czarno, miał niską kierownicę i wysokie siodełko z tyłu. W opasce na głowie

i w długich butach pani Murasaki przypominała trochę paryskiego apasza. Jej ręce spoczywały lekko na biodrach Hannibala.

Nocą padało, ale teraz, o poranku, jezdnia była sucha i czysta, tak że opony miały dobrą przyczepność, gdy maszyna pochylała się na zakrętach, mknąc drogą przez las Fontainebleau, przecinając pasy słońca i cienia, mijając zagłębienia terenu, gdzie wciąż było chłodno, i śmigając po otwartej przestrzeni, gdzie w twarz bił strumień ciepłego powietrza.

Siedzący z tyłu ma wrażenie, że kąt pochylenia motocykla jest większy niż w rzeczywistości i przez kilka pierwszych kilometrów Hannibal czuł, jak pani Murasaki odchyła się w przeciwną stronę w obawie przed upadkiem, ale potem zawierzyła mu - co najmniej na pięć stopni - i jej ciężar zlał się z jego ciężarem. Minęli żywopłot obsypany kapryfolium i powietrze zgęstniało tak bardzo, że mogła je posmakować. Gorący asfalt i kapryfolium.

Z Cafe de L'Est na zachodnim brzegu Sekwany, mniej więcej kilometr za Fontainebleau, roztacza się ładny widok na las po drugiej stronie rzeki. Silnik motocykla umilkł i stygnąc, zaczął metalicznie tykać. Tuż przed wejściem na taras jest ptaszarnia z trz nadłami, tajną specjalnością restauracji. Przepisy zakazujące ich serwowania ciągle

się zmieniały. W jadłospisie trznadle figurowały teraz jako skowronki. Trznadel jest dobrym śpiewakiem, a te w klatce wyraźnie cieszyły się słońcem.

Hannibal i pani Murasaki przystanęli, żeby na nie popatrzeć.

- Są takie małe, takie piękne - powiedziała pani Murasaki wciąż podekscytowana jazdą.

Hannibal przyłożył czoło do prętów ptaszarni. Trznadle kręciły główkami, żeby przyjrzeć mu się to jednym, to drugim okiem. Śpiewały w dialekcie bałtyckim, który znał z rodzinnych stron.

- Są takie same jak my - powiedział. - Czują zapach piekących się braci, mimo to próbują śpiewać. Chodźmy.

Trzy czwarte stolików na tarasie było zajęte przez miejscowych i gości z miasta w niedzielnych garniturach, którzy jedli wczesny obiad. Kelner znalazł dla nich miejsce.

Mężczyźni przy sąsiednim stoliku zamówili pieczone trznadle. Gdy im je podano, pochylili się nisko nad talerzami i przykryli sobie głowy serwetką, żeby dłużej zatrzymać zapach.

Hannibal poczuł zapach ich wina i stwierdził, że zalatuje korciem. Z obojętną twarzą patrzył, jak tamci, niczego nieświadomi, piją je mimo to.

- Zamówimy lody?

- Świetnie.

Wszedł do restauracji. Przystanął przed wypisanym kredą jadłospisem i spojrzał na licencję nad kasą.

W kącie sali zobaczył drzwi z napisem: „*Prive*”.~W korytarzu nie było nikogo. A drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzył je i wszedł do piwnicy. W otwartej skrzyni stała zmywarka do naczyń. Hannibal pochylił się, żeby przeczytać nazwę i adres nadawcy.

Do piwnicy wszedł Hercule, restauracyjny pomocnik z koszem brudnych serwetek.

- Co pan tu robi? Tu nie* wolno wchodzić.

-To gdzie to jest? — spytał po angielsku Hannibal. - Na drzwiach jest napisane: „*Prwy*”, toaleta, tak? Schodzę na dół, a tu piwnica.

Gdzie jest kibel, ustęp, szalet? I mów pan po angielsku. Kibel, rozumiesz? Tylko szybko, bo zaraz nie wytrzymam.

- *Prwe, privi* — Hercule wskazał schody. - *Toilette!* — Na ich szczyście skierował go we właściwą stronę.

Hannibal wrócił do stolika w chwili, gdy kelner przyniósł lody.

- Kolnas używa teraz nazwiska „Kleber”. Przeczytałem na licencji. Monsieur Kleber z rue Juliana. Aaaa, spójrz.

Na taras wszedł Petras Kolnas z rodziną. Byli ubrani do kościoła.

Hannibal patrzył. Miał mroczki przed oczami, gwar rozmów przy sąsiednich stolikach rozmył się i uciął.

Kolnas był w nowiutkim garniturze z czarnej jak atrament popeliny, ze znaczkami klubu rotariańskiego w klapie. Miał ładną żonę i dzieci, i widać było, że płynie w nich niemiecka krew. Jego krótkie rude włosy i wąsy błyszcząły w słońcu jak świńska szczecina. Podszedł do kasy. Podniósł syna i posadził go na stołku przy barze.

- Kolnas Zamożny - powiedział Hannibal. - Kolnas Restaurator. Kolnas Łakomczuch. W drodze do kościoła wpadł sprawdzić kasę. Jakiż on sumienny.

Kierownik sali wziął leżącą obok telefonu książkę rezerwacji, otworzył ją i podał Kolnasowi do sprawdzenia.

- Proszę się za nas pomodlić, monsieur - powiedział.

Kolnas kiwnął głową. Odwróciwszy się tyłem do gości, wyjął zza pasa webleya .455, położył go na zasłoniętej półce pod kasą i wygładził kamizelkę. Wyjął z szuflady dwie błyszczące monety i wytarł je chustką do nosa. Jedną dał synowi.

- Datek na tacę, schowaj do kieszeni.

Pochylił się i dał drugą córce.

-To pieniędzy na tacę, *Liebchen*. Nie wkładaj go do buzi. Włóż do kieszonki.

Zagađało do niego kilku pijących przy barze, musiał też powitać gości siedzących na sali. Pokazał synowi, jak po męsku ścisnąć rękę. Córka przestała trzymać się kurczowo jego nogawki i drobiać

nózkami, wbiegła między stoliki. Uroczą w kreskach, koronkowym czepku i dziecięcej biżuterii wzbudzała uśmiech na twarzach gości. Hannibal zdjął wisienkę z lodów i wystawił ją za brzeg stolika. Dziewczynka podeszła, wyciągnęła rączkę i rozchyliła paluszki, żeby ją wziąć. Hannibalowi pojaśniały oczy. Wysunął czubek języka i zaśpiewał:

- *Ein Mannlein steht im Walieganz still und stumm...* Znasz tę piosenkę?

Gdy dziewczynka jadła wisienkę, wsunął jej coś do kieszonki.

- *Es hat von lauter Purpur ein Mantelein um.*

Nagle przy stoliku wyrósł Kolnas. Wziął córkę na rękę.

- Ona nie zna tej piosenki.

- Ale pan musi ją znać, nie mówi pan jak Francuz.

- Pan też nie, monsieur - odparł Kolnas. - Nigdy bym nie zgadł, że pan i pańska małżonka jesteście Francuzami. Teraz wszyscy nimi jesteśmy.

Odszedł i zapakował rodzinę do samochodu.

- Uroczę dzieci - powiedziała pani Murasaki. - Piękna dziewczynka.

-Tak - odrzekł Hannibal. - Nosi bransoletkę Miszy.

Wysoko nad ołtarzem w kościele Odkupiciela wisi wyjątkowo krwawy obraz Chrystusa na krzyżu, siedemnastowieczny łup z Sycylii. Stojący pod obrazem ksiądz wznosił kielich.

- Bierzcie i pijcie z niego wszyscy - powiedział - to jest bowiem kielich krwi mojej nowego i wieczystego przymierza, która za was będzie wylana na odpuszczenie grzechów. - Podniósł opłatek. - Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy: to jest bowiem ciało moje, które za was będzie wydane, żebyście zamiast umrzeć, mogli żyć życiem wiecznym. Tak czyńcie na moją pamiątkę.

Kolnas, z dziećmi na rękach, przyjął komunię, wrócił do ławki i usiadł obok żony. Kolejka do ołtarza przesunęła się i podszedł do nich kościelny z tacą. Kolnas szepnął coś do ucha synkowi. Chłopiec

wyjął z kieszeni pieniądze i położył go na tacy. Kolnas szepnął coś do ucha córeczce, która dość niechętnie pozbywała się pieniążków na kościelne datki.

— Katerina...

Dziewczynka pomacała w kieszonce i położyła na tacy nadpalony nieśmiertelnik z jego nazwiskiem. Kolnas zauważył to dopiero wtedy, kiedy kościelny z cierpliwym uśmiechem zwrócił mu nieśmiertelnik, czekając na monetę.

Siedział naprzeciwko niej i najniższe gałązki tarasowej wiśni w gazonie, zwisające tuż nad stolikiem, muskały mu włosy. Nad jej ramieniem, niczym kropla księżycy na ciemnym niebie, wisiała jasno oświetlona bazylika Sacre Coeur.

Pani Murasaki grała *Morze wiosną* Miyagi Michio na długiej, eleganckiej *koto*. Miała rozpuszczone włosy, ogrzewało ją światło lampy. Grając, patrzyła na Hannibala.

Trudno ją było rozszyfrować i zwykle uważał, że jest to cecha bardzo odświeżająca. Z biegiem lat nauczył się z nią sobie radzić, ale nie dzięki ostrożności, tylko dzięki dbałości.

Muzyka stopniowo zwalniała. Ostatni dźwięk zawisł w powietrzu. Z klatki odpowiedział mu świerszcz *suzumushi*. Pani Murasaki włożyła kawałek ogórka między pręty i owad wciągnął go do środka. Zdawało się, że pani Murasaki przeszywa Hannibala spojrzeniem, że widzi to, co poza nim, odległą górę, lecz gdy wypowiedziała te znajome słowa, poczuł, że znowu skupiła na nim całą uwagę.

- Na twój widok świerszcz śpiewa w duecie z mym sercem.
 - Me serce drży na widok tej, która nauczyła je śpiewać.
 - Wydaj ich inspektorowi. Kolnasa i pozostałych.
- Hannibal dopił sake i odstawił filizankę.
- To przez jego dzieci, prawda? Robisz żurawie dla dzieci.
 - Robię je za twoją duszę, Hannibalu. Wciąga cię mrok.

- Nie. Kiedy nie mogłem mówić, milczenie mnie nie wciągnęło. Ono mną zawładnęło.

-Ale tyje odrzuciłeś i przemówiłeś do mnie. Znam cię, Hannibalu, i niełatwa to wiedza. Przyciąga cię mrok, przyciągam cię ja.

- Ty na moście marzeń.

Pani Murasaki odłożyła lutnię, lutnia brzęknęła. Pani Murasaki wyciągnęła do niego rękę. Hannibal wstał, ocierając się policzkiem o gałązkę wiśni i poszedł za nią do łazienki. Woda parowała. Przy wannie paliły się świece. Poprosiła, żeby usiadł na tatami. Siedzieli, stykając się kolanami, ich twarze dzieliło trzydzieści centymetrów.

- Hannibalu, jedź ze mną do Japonii. Mógłbyś założyć klinikę w wiejskim domu mojego ojca. Jest tam tyle do zrobienia. Bylibyśmy razem. - Nachyliła się ku niemu. Pocałowała go w czoło. - W Hiroszynie zielone pędy roślin przebijają się przez popiół ku światłu. - Dotknęła jego twarzy. - Jeśli ty jesteś spaloną ziemią, ja będę ciepłym deszczem.

Wyjęła pomarańczę z miski przy wannie. Wbiła w nią paznokcie i przyłożyła pachnącą rękę do jego ust.

- Prawdziwy dotyk jest lepszy od mostu marzeń. - Filizanką do sake nakryła stojącą tuż obok świecę. Filizanki nie zabrała. Trzymała na niej rękę dłużej, niż musiała.

Pchnęła pomarańczę palcem i owoc potoczył się po płytkach, *wpadając do wody. Wtedy objęła Hannibala za giowę i pocałowała go w usta szybko rozkwitającym pękiem pocałunku.*

Z czołem na jego wargach rozpięła mu koszulę. Odsunął ją na długość ramienia i błyszczącymi oczami spojrzął na jej piękną twarz. Byli tak blisko i tak daleko zarazem, jak lampa między dwoma lustrami.

Zrzuciła szlafrok. Oczy, piersi, plamki światła na jej biodrach, symetria na symetrii, jego coraz krótszy oddech.

- Hannibalu, obiecaj mi.

Przyciągnął ją do siebie z mocno zaciśniętymi oczami. Jej usta, jej oddech na szyi, oddech w zagłębieniu gardła, *na obojczyku. Na clavicula. Waga świętego Michała.*

Widział pomarańczę podskakującą na wodzie. Przez chwilę była czaszką jelonka gotującego się w wanience, jelonka bodzącego, bodzącego ścianki w rytm stukającego serca, jakby mimo śmierci rozpaczliwie chciał się z niej wydostać. Skazani na wieczne potępienie przemaszerowali w łańcuchach przez pierś i przeponę do piekła pod wagą. Mostkowo-gnykowy, łopatkowo-gnykowy, tarczowo-gnykowy, aaamen.

Nadeszła pora i pani Murasaki o tym wiedziała.

- Obiecuj.

Uderzenie serca.

- Obiecałem już Miszy.

Siedziała obok wanny, dopóki nie usłyszała, jak zamykają się drzwi. Wtedy włożyła szlafrok i starannie zawiązała pasek. Wzięła świece z łazienki i postawiła je przed zdjęciami na ołtarzyku. Ich płomień zamigotał na twarzach zmarłych i na czuwającej zbroi, a na masce Masamune zobaczyła tych, którzy mieli dopiero umrzeć.

Doktor Dumas powiesił kitel na wieszaku i pulchnymi palcami zapiął górny guzik. Policzki też miał pulchne i różowe, włosy jasne i zawsze świeże, a świeżość jego ubrania utrzymywała się przez cały dzień, podobnie jak jego nieziemsko wesoły nastrój. W prosek-torium pozostało tylko kilku studentów, którzy sprząтали swoje stoły.

- Hannibalu - powiedział pogodnie Dumas. — Na jutro rano będę potrzebował obiektu z otwartą klatką piersiową. Ma mieć roz-chylone żebra, odsłonięte i skontrastowane żyły płucne oraz aor-ty sercowe. Po zabarwieniu skóry wnoszę, że numer osiemdziesiąt osiem zmarł na niewydolność wieńcową. Warto by było to zoba-czyć. Aortę zstępującą i okalającą zrób na żółto. Jeśli są zablokowane, wstrzyknij kontrast z obydwu stron. Zostawiłem ci notatki. Masz dużo pracy. Jeśli chcesz, dam ci do pomocy Gravesa.

- Zrobię to sam, panie profesorze.

- Tak myślałem. Mam dobre wiadomości: Albin Michel przysłał pierwsze ryciny. Jutro je obejrzymy. Nie mogę się już doczekać.

Wiele tygodni przedtem Hannibal zaniósł swoje rysunki na rue Huyghens. Na widok tabliczki z nazwą ulicy pomyślał o panu Jako-vie i *Traktacie o świetle* Christiaana Huygensa. Potem przez godzinę siedział w Ogrodach Luksemburskich, obserwując dziecięce żaglów-ki na stawie i rozwijając w myśli spiralne zwoje pobliskiego klombu. Lecter-Jakov - rysunki w nowym atlasie anatomicznym miały być podpisane dwoma nazwiskami.

Z laboratorium wyszedł ostatni student. Gmach był teraz zupełnie opustoszały i ciemny z wyjątkiem jaskrawych światel w prosektorium. Gdy Hannibal wyłączył piłę, słychać było jedynie cichy jęk szybów wentylacyjnych, owadzie cykanie przyrządów i bulgotanie kolorowych barwników w retortach.

Hannibal przyjrzał się obiektowi, krępemu mężczyźnie w średnim wieku z otwartą klatką piersiową i żebrami rozchylonymi jak wręgi lodzi. Były to miejsca, które doktor Dumas chciał zademonstrować podczas wykładu, robiąc ostatnie nacięcia i własnoręcznie wyjmując płuca. Żeby wykonać rysunek, Hannibal musiał obejrzeć je od spodu, lecz oczywiście nie mógł. Żeby mieć jakiś wzór, poszedł do muzeum anatomicznego, zapalając po drodze światła w długim korytarzu.

Zigmas Milko, który siedział w ciężarówce po drugiej stronie ulicy, widział go przez wysokie okna gmachu. W rękawie marynarki miał krótki łom, w kieszeniach pistolet i tłumik.

Gdy Hannibal zapalił światło w muzeum, dobrze mu się przyjrzał. Kieszenie fartucha były płaskie, puste. Wyglądało na to, że chłopak jest nieuzbrojony. Wyszedł z muzeum z jakimś słojem i gasząc światła, wrócił do laboratorium. Teraz światło biło tylko zza matochowych szyb i ze świetlików prosektorium.

Milko nie przypuszczał, żeby robota wymagała specjalnej czujności i przebiegłości, ale na wszelki wypadek postanowił zapalić papierosa - jeśli tylko szpicel z ambasady jakieś mu zostawił. Co za kutas. Sępił i sępił, jakby nigdy w życiu nie widział porządnych fajek. Zabrał całą paczkę? Niech to szlag, co najmniej piętnaście lucky strike'ów. Zrób to, a potem kup w *bal musette* jakieś amerykańskie. Rozluźnij się, włóż tłumik do przedniej kieszeni spodni, pocieraj się o dziewczyny w barze, spójrz im w twarz, kiedy poczują tę twardość, a rano odbierz pianinę* Grutasa.

Ten chłopak zabił Dortlicha. Dortlich ukrył kiedyś łom w rękawie i chcąc zajarać, wybił sobie ząb.

- *Scheisskopf*, trzeba było wiać razem z nami - powiedział do niego Milko. Nie wiedział, gdzie Dortlich teraz jest, ale był pewnie w piekle.

Wziął dla zmyłki drabinę i pudełko z lunchem, przeszedł przez ulicę i ukrył się za żywoplotem przy bocznej ścianie gmachu. Postawił nogę na pierwszym szczeblu i mruknął:

- Pieprzyć wieprza. - Odkąd mając dwanaście lat, uciekł z domu, powtarzał to jak zaklęcie przed każdą akcją.

Hannibal wstrzyknął do żył niebieski barwnik i zerkając na zakonserwowane alkoholem płuca w słoju, kolorowym ołówkiem zaczął rysować je na podkładce z klipsem za zwłokami. Przypięte do podkładki kartki poruszyły się lekko w przeciagu, opadły i znieruchomiały. Hannibal podniósł wzrok, spojrział w głąb korytarza i dokończył kolorować żyłę.

Milko zamknął okno, zdjął buty i w skarpetkach wszedł między przeszklone gabloty w muzeum anatomicznym. Minał półkę z częściami układu trawienego i przystanął przed słojem z równo obciętymi olbrzymimi stopami. Światło było słabe, ale wystarczające, żeby iść dalej. Nie chciałby tu strzelać i rozchlapywać tego gówna w słojach. Czując przeciąg na karku, postawił kołnierz. Powoli, centymetr po centymetrze wysunął głowę na korytarz i żeby nie wystawiać ucha, spojrział przed siebie wzdłuż grzbietu nosa.

Pochylonemu nad podkładką Hannibalowi rozszerzyły się nozdrza, oczy rozbłysły mu czerwono w świetle lampy.

Patrząc w głąb korytarza i przez drzwi prosektorium, Milko widział, jak odwrócony do niego tyłem Lecter wstrzykuje trupowi barwnik wielką strzykawką. Było trochę za daleko na strzał, bo dumik zasłaniał muszkę. Nie chciałby go zranić, a potem ścigać, przewracając wszystko naokoło. Bóg wie, jakim świństwem mógłby się ochlapać.

Lekko podregulował sobie serce, jak każdy przed zabójstwem.

Nagle Hannibal zniknął i teraz widać było tylko jego rękę na podkładce, rękę, która rysowała, rysowała, coś tam poprawiała i wycierała.

Zaraz potem odłożyła ołówek - Hannibal wstał, wyszedł na korytarz i zapalił światło. Milko cofnął się, lecz w tym samym momencie światło zgasło. Milko wyrżał zza drzwi. Lecter znowu grzebał w leżącym pod prześcieradłem trupie.

Dobiegło go buczenie piły. Gdy wyrżał znowu, Hannibala już tam nie było. Rysuje. Chuj z nim. Wejź tam i go zastrzel. I niech pozdrowi Dordicha w piekle. Nie spuszczać z oczu ręki z ołówkiem, zrobił kilka długich kroków w głąb korytarza - bezszelestnie, bo w skarpetkach po kamiennej posadzce - podniósł pistolet, wszedł do środka i zobaczył rękę z bliska. Rękę w rękawie i biały fartuch na krześle - ale gdzie podziała się reszta? Hannibal zaszedł go od tyłu, wbił mu igłę w bok szyi, wcisnął tłoczek wypełnionej alkoholem strzykawki i gdy Milko przewrócił oczami, gdy ugięły się pod nim nogi, podtrzymał go i ostrożnie opuścił na podłogę.

Wszystko po kolei. Wyjął rękę z rękawa i przyszył ją kilkoma prowizorycznymi szwami.

- Przepraszam - powiedział do zwłok. - Do listu dołączę podziękowania.

Kaszle, prycha, palą go oczy, czuje zimno na twarzy - pokój rozmywa się, nieruchomieje i Milko odzyskuje przytomność. Oblizuje sobie usta i pluje. Leje się na niego woda.

Hannibal postawił dzbanek na krawędzi basenu i usiadł, jakby szykował się do rozmowy. Milko, był po szyję zanurzony w roztworze do konserwowania zwłok. Wokoło tłoczyli się pozostali mieszkańcy zbiornika, patrząc na niego zamglonymi od formaliny oczami, tak więc co chwilę musiał odpychać od siebie ich skurczone ręce.

Hannibal zajrzał do jego portfela. Z kieszeni fartucha wyjął nieśmiertelnik i położył go obok dowodu Milki.

- Pan Zigmias Milko. Dobry wieczór.

Milko zakaszłał i zarzęził. ,

- Rozmawialiśmy o tym. Przywiozłem pieniądze. Chcemy się dogadać. Bierz kasę. Przywiozłem kasę. Zaprowadzę cię.

- To naprawdę świetny plan. Tylu ludzi pan zabił, panie Milko. O wiele więcej, niż jest ich tutaj. Czuje panjak pana dotykają? Tam, tuż przy pana stopie, leży dziecko, które zginęło w pożarze. Jest starsze od mojej siostry i tylko częściowo upieczone.

- Nie wiem, czego chcesz.

Hannibal włożył gumową rękawicę.

- Chcę, żeby opowiedział mi panjak zjedliście moją siostrę.

-Ja nie jadłem.

Hannibal wepchnął go do formaliny. Odczekał długą chwilę, chwycił łańcuch, wyciągnął go, polał mu wodą twarz i oczy.

- Proszę tak więcej nie mówić - ostrzegł.

- Tak parszywie się wtedy czuliśmy, tak parszywie - wycharczał Milko, gdy tylko znowu mógł mówić. - Mieliśmy podmrożane ręce, gniły nam stopy. Chcieliśmy żyć, wszystko dlatego. Grutas zrobił to szybko, nie zdążyła nawet... Ale ciebie nie zabiliśmy, ciebie...

- Gdzie jest Grutas?

- Jeśli ci powiem, weźmiesz pieniądze? To kupa szmalu, w dolarach. Będzie jeszcze więcej. Możemy ich zaszantażować tym, co wiem, tym, co widziałeś.

- Gdzie jest Grentz?

-W Kanadzie.

- Zgadza się. Choć raz powiedział pan prawdę. A Grutas?

- Ma dom pod Milly-le-Foret.

-Jak się teraz nazywa?

- Robi interesy, ma firmę, Satrug, Inc.

-To on sprzedawał moje obrazy?

- Sprzedał tylko raz, żeby kupić morfinę na handel, tylko raz. Możemy je odzyskać.

-Jadłeś kiedyś w restauracji Kolnasa? Mają tam niezłe lody.

- Pieniądze są w ciężarówce.

- Ostatnie słowo? Może mowa pożegnalna?

Milko otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz Hannibal zamknął z brzękiem ciężką pokrywę basenu. Między brzegiem zbiornika

i powierzchnią formaliny pozostało najwyżej półtora centymetra. Milko zaczął bić głową w pokrywę jak homar w pokrywkę garnka, ale on już wyszedł. Gumowe uszczelki drzwi zapisały, ocierając się o grubą warstwę farby.

Przy stole stał inspektor Popił. Oglądał rysunek.

Hannibal pociągnął za sznurek i włączył wentylator. Zaklekotały łopatkami.

Popił podniósł wzrok. Słyszał coś? Tego Hannibal nie wiedział. Pod prześcieradłem, między stopami trupa, leżał pistolet Milki.

- Dobry wieczór, panie inspektorze. - Wziął strzykawkę z barwnikiem i zrobił kolejny zastrzyk. - Proszę wybaczyć, ale muszę to skończyć, zanim znów stwardnieje.

- Zabiłeś Dortlicha w swoim rodzinnym lesie.

Hannibal wytarł czubek igły. Wyraz jego twarzy nie uległ najmniejszej zmianie.

- Miał zjedzoną twarz.

-To pewnie kruki. W tych lasach roi się od kruków. Wystarczyło, że pies odwrócił łeb i wyżerały mu jedzenie z miski.

- Po co, skoro umieją robić szaszłyki?

-Wspomniał pan o tym pani Murasaki?

- Nie. Kanibalizm. Dochodziło do tego na froncie wschodnim, ale o wiele częściej w czasach twojego dzieciństwa. - Popił odwrócił się, obserwując jego odbicie w szklanej gablocie. - Ale ty o tym wiesz, prawda? Byłeś tam. A cztery dni temu byłeś na Litwie. Pojechałeś tam legalnie, z ważną wizą i jakoś wróciłeś. Pytanie tylko jak? - Nie czekał na odpowiedź. - Powiem ci jak: kupiłeś papiery przez więźnia z Fresnes, a to przestępstwo.

Ciężka pokrywa basenu w sąsiednim pomieszczeniu uniosła się lekko i ukazały się pod nią ludzkie palce. Łapczywie ssąc powietrze, Milko przytknął usta do pokrywy, a gdy zalała go mała fala formaliny, przycisnął twarz do wąziutkiej szpary tuż nad brzegiem zbiornika, zadławił się, zakrztusił i gwałtownie wciągnął powietrze.

Czuźnie obserwując plecy Popiła, Hannibal ucisnął płuco leżącego przed nim trupa. Trup głośno sapnął i zagulgotał.

- Przepraszam - powiedział Hannibal. - Czasem tak robią.
- Podkręcił palnik bunsenowski pod retortą, żeby głośniej bulgotała.

- To nie jest rysunek jego twarzy - powiedział Popił. - To jest twarz Vladisa Grutasa. Podobnie jak te w twoim pokoju. Grutasa też zabiłeś?

- Absolutnie nie.

- Znalazłeś go?

- Gdyby tak było, daję panu słowo, że przekazałbym go panu.

- Przestań, nie jestem idiotą! Wiesz, że Grutas obciął piłą głowę rabinowi w Kownie? Że rozstrzeliwał cygańskie dzieci w lasach? Wiesz, że uniknął Norymbergi, bo jednego ze świadków napojono kwasem? Co *kilka* lat wpadam na jego smrodliwy trop, ale zawsze mi się wymyka. Jeśli dowie się, że na niego polujesz, zabije cię. Zamordował twoją rodzinę?

- Zabił i zjadł moją siostrę.

- Na twoich oczach?

-Tak.

- Powiesz to w sądzie?

- Oczywiście.

Popił długo patrzył mu w oczy.

-Jeśli zabijesz kogoś we Francji, skończysz z głową w koszu. Pani Murasaki zostanie deportowana. Kochasz ją?

- Tak. A pan?

- W norymberskich archiwach są jego zdjęcia. Jeśli Rosjanie puszczą je w obieg i jeśli go namierzą, Surete ma kogoś, za kogo moglibyśmy się wymienić. A wtedy będziesz musiał zeznawać. Czy są jeszcze jakieś dowody?

- Ślady zębów na kościach.

-Jeśli nie będzie cię jutro w moim biurze, każę cię aresztować.

- Dobranoc, panie inspektorze.

Wielka jak szufla chłopska ręka znika w basenie. Pokrywa za-
trząskuje się mocno, tuż przed sobą Milko widzi skurczoną twarz
i bezgłośnie poruszając ustami, mówi:

- Pieprzyć wieprza.

Noc w prosektorium, Hannibal pracuje sam. Rysunek jest już
prawie skończony. Na ladzie jest gruba, gumowa rękawica wypeł-
niona płynem i związana w nadgarstku. Wisi nad zlewką pełną pro-
chu. Tuż obok tyka stoper.

Hannibal przykrył rysunek czystą kartką. Zwłoki okrył przeście-
radłem i przewiózł do sali wykładowej. Z muzeum anatomicznego
przyniósł buty Milki i postawił je obok jego ubrania na wózku przy
piecu do spalania odpadów. Leżała tam również zawartość jego kie-
szeni, scyzoryk, kluczyki i portfel. W portfelu były pieniądze i zro-
biona z prezerwatywy opaska uciskowa, którą Milko wkładał, żeby
oszukiwać kobiety w półmroku. Pieniądze Hannibal zabrał. Potem
otworzył piec. Głowa Milki stała w płomieniach. Wyglądała jak gło-
wa pilota w płonącym sztukasie. Hannibal wrzucił do pieca buty.
Jeden z nich kopnął ją i zniknęła w ogniu.

51

Pięcetonowa ciężarówka z demobilu z nową plandeką stała po drugiej stronie ulicy, tarasując pół chodnika. Dziwne, że za wycieraczką nie było jeszcze mandatu. Hannibal włożył kluczyk do zamka u drzwiczek. Drzwiczki się otworzyły. Za osłoną przeciwsłoneczną po stronie kierowcy tkwiła koperta z dokumentami. Szybko je przejrzał.

Po desce, którą zsunął ze skrzyni, bez trudu załadował motocykl. Pojechał do Porte de Montempoivre pod Bois de Vincennes i zaparkował na parkingu przy torach kolejowych. Schował pod fotel tablice rejestracyjne i zamknął drzwiczki na klucz.

Siedział na motocyklu w sadzie na zboczu wzgórza, jedząc pyszne afrykańskie figi, które kupił na rynku przy rue de Buci wraz z kawałkiem szynki westfalskiej. Widział stamtąd drogę u stóp wzgórza i, czterysta metrów dalej, wjazd na posesję Vladisa Grutasa.

W sadzie głośnie brzęczały pszczoły; kilka krążyło nad figami, dopóki nie przykrył owoców chustką. Garcia Lorca - jego sztuki przeżywały akurat wielki renesans - powiedział kiedyś, że serce jest sadem. Hannibal pograżył się w zadumie. Myślał o kształcie brzoskwiń i gruszek, myślał o tym i myślał, gdy wtem zobaczył ciężarówkę ze stolarzami na drodze u stóp wzgórza. Ciężarówka stanęła przed wjazdem na posesję Grutasa.

Hannibal przyłożył do oczu lornetkę ojca.

Vladis Grutas mieszka w okazałym domu w stylu Bauhaus zbudowanym w roku 1938 na działce rolnej z widokiem na Essonne. Podczas wojny dom bardzo zaniedbano: stracił okap i miał ciemne zacieki na ścianach. Całą fasadę i jedną boczną ścianę odmalowano na jaskrawobiały kolor, a przy tych jeszcze niepomalowanych stały rusztowania. Podczas okupacji Niemcy mieli tu swój sztab, co zapobiegło większym zniszczeniom.

Szklano-betonowego sześcianu domu strzegł wysoko zawieszony łańcuch i ogrodzenie z drutu kolczastego. Przed wejściem stała betonowa wartownia, która wyglądała jak bunkier. Zarys wąskiej szczeliny w przedniej ścianie łagodziła skrzynka z kwiatami. Gdyby rozchylić na bok kwiaty i ustawić tam karabin maszynowy, w jego zasięgu znalazłaby się cała droga.

Z wartowni wyszło dwóch wytatuowanych mężczyzn, blondyn i brunet. Lusterkiem na długim kiju sprawdzili podwozie ciężarówki. Stolarze musieli zsiąść i okazać dokumenty. Jedni powzruszali trochę ramionami, inni powymachiwali rękami. Wartownicy ich przepuścili.

Hannibal odjechał kawałek dalej i ukrył motocykl w krzakach między drzewami. Kawałkiem zamaskowanego drutu spiął przewody zapłonu, na siodełku zostawił wiadomość, że poszedł po części. Po półgodzinnym spacerze dotarł do szosy i złapał okazję do Paryża.

Rampa załadunkowa Gabrielle Instruments Co. znajduje się przy rue de Paradis, między sklepem elektrycznym i zakładem naprawczym radiodbiorników na kryształki. Ostatnim zadaniem robotników z magazynu był załadunek pianina Bosendorfera i zapakowanego do skrzynki taboretu. Gdy wtaszczyli pianino na ciężarówkę, Hannibal podpisał fakturę. Podpisując, bezgłośnie wyszeptał:

- Zigmás Milko...

Kończył się dzień pracy i do magazynu wracały ciężarówki należące do firmy. Z jednej z nich wysiadła kobieta. W kombinezonie wyglądała całkiem niezłe; poruszała się energicznie i z francuskim wdziękiem, jak typowa chłopczyca. Weszła do magazynu i kilka

minut później wyszła stamtąd w spodniach i bluzce, ze zwiniętym kombinezonem pod pachą. Schowała go do torby na bagażniku małego motoroweru. I odwróciła się, czując na sobie wzrok Hannibala. Wyjęła papierosa, on go jej przypalił.

- *Merci, monsieur...* Zippo. - Bardzo ożywiona, z ruchliwymi oczami, przesadnie gestykułująca podczas palenia, miała w sobie coś z francuskiej ulicznicy.

Kilku ciekawskich robotników, którzy zamiatali rampę, próbowało podsłuchać, o czym rozmawiają, lecz słyszeli tylko jej śmiech. Kobieta przez cały czas patrzyła mu w oczy i im dłużej gawędzili, tym mniej była kokieteryjna. Jakby ją czymś zafascynował, a nawet zahipnotyzował. Poszli razem do baru.

Mueller stał na warcie z Gassmannem, Niemcem, który niedawno skończył służbę w Legii Cudzoziemskiej. Mueller próbował go właśnie namówić na kolejny tatuaż, gdy na drodze pojawiła się ciężarówka Milki.

- Dzwon po tego od trypra, Milko wrócił z Paryża - mruknął Mueller.

Gassmann miał lepszy wzrok.

- To nie Milko.

Wyszli z wartowni.

- A gdzie Milko? - spytał Mueller kobietę za kierownicą.

- Skąd mam wiedzieć? Zapłacił mi za przywiezienie pianina. Powiedział, że wróci za parę dni. Hej, siłacze, ściągnijcie no ze skrzyni mój motorek.

- Kto ci zapłacił?

- Monsieur Zippo.

- Chyba Milko.

- No właśnie, Milko.

Za ciężarówką zatrzymała się furgonetka firmy usług gastronomicznych. Dostawca czekał, niecierpliwie bębniąc palcami w kierownicę.

Gassmann podniósł plandekę. Zobaczył pianino w skrzyni i skrzynkę z napisem: „Pour la cave. Do piwnicy z winem - przechowywać w chłodnym miejscu”. Motorower był przywiązany do bocznych poręczy ciężarówki. Na podłodze leżała deska, ale łatwiej im było po prostu go znieść.

Mueller pomógł Gassmannowi. Potem spojrzął na kobietę.

- Napijesz się czegoś?

- Nie tutaj - odparła, przerzucając nogę nad siodełkiem motoroweru.

- Hej, silnik ci pierdzi! - zawołał Mueller, gdy ruszyła.

- Nie ma to jak grzeczna rozmowa - powiedział Gassmann.

- Podbijesz jej serce.

Chudy jak szkielet stroiciel miał czarne dziury między zębami i grymas uśmiechu na twarzy, który przypominał zębaty uśmiech Lawrence'a Welka. Skończywszy stroić czarnego Bosendorfera, przebrał się w stareńki biały frak, włożył stareńki biały krawat i gdy przybyli pierwsi goście, zaczął grać. Ściany były przeszklone, podłoga wyłożona płytkami, więc pianino brzęczało. Stojąca w pobliżu półka ze stali i szkła brzęczała przy dźwięku h, a gdy ją przesunął, zaczęła brzęczeć przy dźwięku b. Strojąc, korzystał z kuchennego krzesła, ale teraz nie chciał.

- Na czym mam siedzieć? Gdzie jest taboret? - spytał pokojówkę, która spytała o to Muellera. Mueller znalazł dla niego krzesło odpowiedniej wysokości, tyle że z podłokietnikami. - Będę musiał grać z rozłożonymi łokciami - poskarżył się stroiciel.

- Zamknij mordę i zagraj coś amerykańskiego - warknął Niemiec. - Jakąś wiązankę do kotleta, żeby mogli sobie pośpiewać.

Bufet obsługiwał trzydziestu gości, ciekawą kolekcję powojennych włóczęgów i życiowych rozbitków. Był tam Iwanow z sowieckiej ambasady, zbyt dobrze ubrany jak na urzędnika państwowego. Rozmawiał z amerykańskim sierżantem, księgowym ze sklepu wojskowego w Neuilly. Sierżant był po cywilnemu, w workowatym

garniturze w drobną kratę, którego kolor jeszcze bardziej podkreślał pająkowanego naczyniaka na jego nosie. Biskupowi z Wersalu towarzyszył akolita, który robił mu manikiur.

Całując biskupi pierścień, Grutas zauważył, że w bezlitosnym świecie jarzeniówek czarny garnitur duchownego błyszczy jak zzieleniały rostbef. Porozmawiali chwilę o wspólnych znajomych w Argentynie. W salonie dominowała nuta Vichy.

Stroiciel-pianista obdarowywał gości trupim uśmiechem i czymś zbliżonym do piosenek Cole'a Portera. Angielski był jego czwartym językiem, a czasem musiał improwizować.

- *Night and day, you are my sun. Only you beneese the moon, you are the one.*

W piwnicy było niemal zupełnie ciemno. Nad schodami paliła się pojedyncza żarówka. Z góry dochodziły słabe dźwięki muzyki.

Jedna ściana piwnicy była zastawiona półkami z winem. Pod półkami stały skrzynie, w tym kilka otwartych, z wysypującymi się trocinami. Obok Rock-Ola Luxury Light-ljp, szafy grającej z najnowszymi płytami i głębokim pojemnikiem na monety, leżał nowiutki zlew z nierdzewnej stali. Nieco dalej stała skrzynia z napisem: „Pour la cave. Do piwnicy z winem - przechowywać w chłodnym miejscu”. W skrzyni coś cicho zatrzeszczało.

W niepewnych miejscach pianista grał fortissimo, żeby zagłuszyć samego siebie:

- *Whether me or you depart, no matter datUng l'm apart, I think oj you Night and Dayyyyyy...*

Grutas krążył po salonie, ściskając ręce gościom. Lekkim ruchem głowy wezwał do biblioteki Iwanowa. Biblioteka była bardzo nowoczesnie urządzona: stał tam stół na kozłach, stalowo-szklane półki i wzorowana na Picassie rzeźba Anthony'ego Quinna zatytułowana *Logika to tyłek kobiety*. Iwanow uważnie ją obejrzał.

- Podoba się panu? - spytał Grutas.

- Mój ojciec był kustoszem w St. Petersburgu, kiedy St. Petersburg był jeszcze St. Petersburgiem.

- Może pan dotknąć, jeśli pan chce.

- Dziękuję. Co ze sprzętem dla Moskwy?

- Pociągiem do Helsinek jedzie w tej chwili sześćdziesiąt lodówek. Same kalwinatory. A co ma pan dla mnie? - Grutas nie mógł się powstrzymać i strzelił palcami.

Ponieważ strzelił, Iwanow, który właśnie oglądał kamienne pośladki, kazał mu chwilę poczekać.

-W ambasadzie nie ma jego akt - odparł wreszcie. - Dostał liwewską wizę, bo zaproponował, że napisze artykuł do „L'Humanite”. O dobroczynnych skutkach kolektywizacji rodzinnego majątku Lecterów, o chłopach, którzy cieszą się z przeprowadzki do miasta i z tego, że mogą teraz budować oczyszczalnie ścieków. Aristokrata popierający rewolucję.

Grutas cicho prychnął.

Iwanow położył na stole zdjęcie i pchnął je w jego stronę. Pokazywało Hannibala i panią Murasaki przed jej domem.

- Kiedy je zrobiono?

- Wczoraj rano. Milko z nim był, z moim człowiekiem. Lecter jest teraz studentem. Nocami pracuje, śpi na uczelni. Mój człowiek wszystko pokazał Miłkowi, nie chcę wiedzieć nic więcej.

- Kiedy widział go ostatni raz?

Iwanow niespokojnie podniósł wzrok.

- Mój człowiek? Wczoraj. Coś się stało?

Grutas zbył to wzruszeniem ramion.

- Prawdopodobnie nie. Kim jest ta kobieta?

- To jego macocha albo ktoś taki. Jest bardzo piękna.- Iwanow dotknął kamiennego pośladka rzeźby.

- I ma taki tyłek?

-Wątpię.

- Była tam francuska policja?

- Inspektor nazwiskiem Popił.

Grutas ściągnął usta i na chwilę jakby zapomniał, że Iwanow tam jest.

Mueller i Grossmann obserwowali gości. Mieli odbierać płaszcze i pilnować, żeby nikt nic nie ukradł. Grossman był w krawacie na gumce. Mueller odciągnął go i puścił.

- Możesz nakręcić go jak śmigło i latać jak wróżka? - spytał.
- Zrób tak jeszcze raz i pomyślisz, że to klamka u drzwi do piekła - warknął Grossman. - Jak ty wyglądasz? Włóż koszulę do gaci. Nigdy nie byłeś na służbie?

Musieli pomóc tym od gastronomii. Znosząc składany stół do piwnicy, nie widzieli, że pod schodami wisi pękata, gumowa rękawica i że stoi pod nią wypełniony prochem pojemnik z lontem prowadzącym do trzykilowej puszki po smalcu. Im niższa temperatura, tym reakcje chemiczne przebiegają wolniej. W piwnicy Grutasa było pięć stopni mniej niż w prosektorium.

Pokojówka układała jedwabną piżamę na łóżku, gdy Grutas zażądał więcej ręczników.

Pokojówka nie lubiła nosić ich do łazienki, ale on zawsze ją wzywał. Musiała tam wejść, lecz nie musiała patrzeć. W łazience - wszędzie białe kafelki i nierdzewna stal - była wielka, wolno stojąca wanna, łaźnia parowa z przeszklonymi, matowymi drzwiami i prysznic.

Grutas leżał w wannie. Kobieta, którą sprowadził z barki, goliła mu pierś więzienną brzytwą z ostrzem na kluczyk. Miała spuchnięty policzek. Pokojówka unikała jej wzroku.

Niczym komora do badania deprywacji sensorycznej, kabina prysznicowa była wykończona całkowicie na biało i mogła pomieścić cztery osoby. Panowała tu ciekawa akustyka, bo ściany odbijały każdy, najcichszy nawet dźwięk i Hannibal słyszał, jak jego włosy trą z chrzęstem o kafelki. Leżał na podłodze pod dwoma białymi ręcznikami, niewidoczny przez matowe drzwi. Słyszał również swój oddech. Czuł się jak pod kocem z Misza. Ale zamiast jej ciepłego oddechu, w nos bił go zapach pistoletu, oliwy, mosiężnych łusek i kordy tu.

Słyszał z bliska głos Grutasa, chociaż jego twarz widział tylko przez lornetkę. Litwin mówił tak samo jak kiedyś, tonem ponurym i szyderczym, takim, który poprzedza cios.

- Ogrzej mi szlafrok - rozkazał. - Po kąpieli idę do łaźni. Napuść pary.

Pokojówka rozsunała drzwi i otworzyła zawór. Jedynym obcym kolorem w białej łaźni była czerwień obudowy zegara i termometru, które wyglądały jak przyrządy w okrętowej kotłowni i miały duże cyfry, żeby można je było odczytać w gęstej parze. Wskazówka minutowa zegara sunęła po cyferblacie w stronę czerwonej kreski.

Grutas trzymał ręce za głowę. Pod pachą miał wytatuowane gestapowskie błyskawice. Poruszył mięśniami i błyskawice drgnęły.

- Bum! *Donnerwetter!* — Kobieta wzdygnęła się, a on wybuchnął śmiechem. - Nie, już cię nie uderzę. Podobasz mi się. Każę zrobić ci protezę. Będiesz mogła wkładać ją na noc do szklanki, żeby nie przeszkadzała.

Hannibal wszedł do łazienki w kłębach pary z pistoletem wycelowanym w jego serce. W drugiej ręce trzymał butelkę ze spirytusem.

Grutas podciągnął się z piskiem skóry i usiadł. Spłoszona kobieta odruchowo się cofnęła. Hannibal stanął tuż za nią.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedział Litwin. Spojrzał na butelkę z nadzieją, że Hannibal jest pijany. - Zawsze uważałem, że jestem ci coś winien.

- Rozmawiałem o tym z Miłkiem.

-No i?

-Wpadł na pewne rozwiązanie.

- Pieniądze. Oczywiście! Miał ci je dać. Dał? To dobrze.

- Niech pani zmoczy ręcznik - rzucił Hannibal, nie patrząc na kobietę. - Potem proszę usiąść w kącie i zasłonić sobie twarz. Szybko. Niech pani zmoczy ręcznik.

Kobieta zanurzyła ręcznik w wodzie i uciekła do kąta.

- Zabij go - szepnęła.

-Tak długo czekałem, żeby zobaczyć pańską twarz - powiedział Hannibal.-Widziałem ją w twarzy każdego chłopca bijącego słabszych, każdego, kogo ukarałem. Myślałem, że jest pan rośljejszy.

Do łazienki weszła pokojówka ze szlafrokiem. Przez otwarte drzwi zobaczyła dumik na lufie pistoletu. W papuciach, po miękkiemu dywanu, wycofała się bezszelestnie na korytarz.

Grutas też patrzył na pistolet. Był to pistolet Milki. Miał na zamku nakładkę umożliwiającą założenie tłumika. Jeśli mały Lecter się na tym nie znał, odda tylko jeden strzał. A potem będzie musiał szarpać się z zamkiem.

—Widziałeś, co mam w domu? — spytał. —Wszystko dzięki wojnie! Przywykłeś do ładnych rzeczy i możesz je mieć. Jesteśmy do siebie podobni! Jesteśmy ludźmi nowej epoki, Hannibalu. Ty, ja, czyli śmietanka, zawsze wypłyniemy na wierzch! - Nabrał na rękę mydlin, żeby pokazać mu, jak pływają i oswoić go ze swymi ruchami.

-To nie wypłynie. - Hannibal wrzucił do wanny jego nieśmiertelnik. Błaszka opadła na dno jak liść. - Ale spirytus tak. - Cisnął butelką w ścianę za Grutasem, obryzgując go palącym płynem i odłamkami szkła. Wyjął z kieszeni zapalniczkę. Gdy ją otworzył, Mueller odbezpieczył pistolet tuż za jego uchem.

Gassmann i Dieter chwycili go i przytrzymali za ręce. Mueller pchnął lufę pistoletu do góry i wprawnie go rozbroił. Pistolet wtknął sobie za pas.

- Nie strzelać - rozkazał Grutas. - Nie rozwalcie mi kafelków. Najpierw chcę z nim trochę pogadać. A potem niech zdycha w wannie tak jak jego siostra. - Stał na ręczniku. Gestem ręki przywołał kobietę, teraz rozpaczliwie przymilną. Zaczął obracać się dookoła z szeroko rozłożonymi rękami, a ona zbryzgała wodą mineralną jego ogolone ciało.

- Wiesz, jakie to uczucie, te bąbelki? - rzucił. - Jakbyś się na nowo narodził. Jestem odrodzony i żyję w nowym świecie, gdzie nie ma dla ciebie miejsca. Nie mogę uwierzyć, że zabiłeś Milka sam.

- Ktoś mi pomógł - odparł Hannibal.

- Na wannę z nim. Kiedy powiem, poderżnijcie mu gardło.

Dźwignęli go z podłogi, przytrzymali nad wanną jego szyję i głowę. Mueller miał sprężynowiec. Przyłożył mu ostrze do gardła.

- Popatrz na mnie, panie hrabio, książę mój mały. Wykręć szyję i popatrz. Napnij ją mocno, to szybciej się wykrwawisz, krócej będzie bolało.

Tyk-tyk - przez otwarte drzwi do łaźni Hannibal widział przesuwającą się wskazówkę zegara.

- Powiedz - ciągnął Grutas. - Nakarmiłbyś mną siostrzyczkę, gdyby umierała z głodu? Przecież ją kochałeś.

- Oczywiście.

Grutas uśmiechnął się i uszczypnął go w policzek.

- No proszę. Sam widzisz. Miłość. A ja kocham siebie tak, jak ty kochałeś ją. Nigdy bym cię nie przeprosił. Straciłeś siostrę na wojnie. - Głośno beknął i wybuchnął śmiechem. - To beknęcie to mój cały komentarz. Mam ci złożyć kondolencje? Znajdziesz je w słowniku między „kondom” i „kutas”. Chłaśnij go, Mueller. Powiem ci coś jeszcze i będzie to ostatnia rzecz, jaką usłyszysz. Powiem ci, co ty zrobisz, żeby przeżyć...

Łazienką wstrząsa eksplozja. Zlew odpada od ściany, z rur tryska woda, gaśnie światło. Na podłodze kłębowisko ciał, Mueller, Gassmann, Dieter i kobieta. Gassmann obrywa nożem w ramię, klnie i przeraźliwie wrzeszczy. Hannibal trafia kogoś łokciem w twarz i wstaje. Słyszy huk, widzi błysk wystrzału i odłamki kafelków siekają mu twarz. Dym, po ścianie pełźnie gęsty dym. Na podłodze klekocze pistolet, Dieter próbuje go dosięgnąć. Grutas jest szybszy: chwytą broń, podnosi, ale kobieta skacze na niego i orze mu twarz paznokciami. Grutas strzela jej dwa razy w pierś. Wstaje, znów podnosi pistolet. Hannibal trafia go mokrym ręcznikiem w oczy. Na plecach siedzi mu teraz Dieter: Hannibal rzuca się do tyłu, Niemiec uderza plecami w krawędź wanny i go puszcza. Hannibal wciąż leży, gdy dopada go Mueller. Próbuje wbić mu grube kciuki pod podbródek, lecz Hannibal uderza go w twarz, wyciąga rękę, wymacuje rękojeść tkwiącego za pasem pistoletu i pociąga za spust. Niemiec stacza się z niego z rykiem, Hannibal ucieka. W ciemności musi zwolnić, przyspiesza dopiero w wypełniającym się dymem korytarzu. Chwytą wiadro pokojówki i biegnie dalej, słysząc za sobą tylko jeden wystrzał.

Wartownik jest już w polowie drogi do domu.

-Wody! - krzyczy Hannibal. Daje mu wiadro i pędzi dalej. -
Lecę po węża!

Podjazd, droga, drzewa. Z tyłu słyszy czyjś krzyk. Na wzgórze
i do sadu. Stacyjka, zapłon, wymacać i zdjąć drut.

Zwolnić blokadę sprężania, przekręcić rączkę gazu i kop, jeden,
drugi, trzeci. Włączyć ssanie. Jeszcze jedno kopnięcie. Motocykl bu-
dzi się z warkotem, wypada jak pocisk z zarośli, skręca na ścieżkę
między drzewami, zaczepia o pniak tłumikiem, wjeżdża z rykiem
na drogę i wlokąc za sobą rurę wydechową, w chmurze iskier znika
w ciemności.

Strażacy zostali do późnej nocy, dogaszając piwnicę i szprycując
szczeliny między ścianami. Grutas stał na końcu ogrodu, nie zwa-
żając na kłęby dymu i pary bijące w nocne niebo. Patrzył w stronę
Paryża.

Studentka pielęgniarstwa miała rude włosy i oczy koloru jego Soczu. Kiedy odszedł na bok, żeby ustąpić jej miejsca przy poidełku w uczelnianym korytarzu, podeszła bliżej, pociągnęła nosem i spytała:

- Od kiedy ty palisz?
- Próbuję rzucić - odparł.
- Masz spalone brwi!
- Nie uważałem z zapalniczką.

-Jeśli nie uważasz z ogniem, nie powinieneś gotować. - Polizała kciuk i wygładziła mu brwi. - Moja koleżanka z pokoju i ja robimy dziś gulasz. Będzie mnóstwo...

- Dziękuję. Naprawdę. Jestem już umówiony.

W liście do pani Murasaki spytał, czy może wpaść. Do listu dołączył gałązkę glicynii, stosownie zwiędłą w pełnej unieżenia skrusze. Ona dołączyła do listu dwie gałązki, gałązkę ciemnoróżowego mirtu i wiosenny pęd sosny z maleńką szyszką. Sosny nie wysyła się bez namysłu. Podniecające i bezgraniczne kryją się w niej przesłania.

Poissonnier nie zawiódł. W zimnej wodzie morskiej przechował dla niej cztery doskonałe jeżowce z Bretanii. U rzeźnika,po sąsiedzku, kupiła trzustkę cielęcą, już wymoczoną w mleku i sprasowaną. Potem wpadła do Fauchona po tarte z gruszką, a na końcu kupiła siateczkę pomarańczy*.

Obładowana zakupami przystanąła przed kwiaciarnią. Nie, Hannibal na pewno przyniesie kwiaty.

I przyniósł. Z tylnego siodełka motocykla sterczał pęk długich tulipanów, lilii i paproci. Dwie kobiety, które przechodziły przez jezdnię, powiedziały, że wygląda to jak koguci ogon. Puścił do nich oko i kiedy zmieniło się światło, z lekkim sercem pojechał dalej.

Zaparkował w zaułku za domem pani Murasaki i z bukietem kwiatów ruszył w stronę rogu. Właśnie machał ręką dozorczyńni, gdy chwycił go Popił i dwaj krzepcy policjanci, którzy wyszli z domu. Popił zabrał mu kwiaty.

- To nie dla pana - powiedział Hannibal;

-Jesteś aresztowany - odparł inspektor. Kiedy policjanci go skuli, włożył mu bukiet pod pachę.

W biurze na Quai des Orievres zostawił go samego i kazał mu czekać pół godziny w atmosferze paryskiej komendy. Gdy wrócił, Hannibal wkładał właśnie ostatni kwiat do karafki z wodą na jego biurku.

- I jak się panu podoba?

Popił zdzielił go małą, gumową pałką i Hannibal upadł.

- A to ci się podoba?

Zza inspektora wychynał większy z dwóch policjantów, którzy go aresztowali, i stanął nad Hannibalem.

- Odpowiadaj na pytania: podoba ci się to? - powtórzył Popił.

-Jest szczerze niż uścisk pańskiej ręki. No i pałka jest przynajmniej czystsza.

Popił wyjął z koperty dwa nieśmiertelniki na sznurku.

- Znalazłem je w twoim pokoju. Tych dwóch sądzono *in absentia* w Norymberdze. Gdzie oni są?

- Nie wiem.

- Nie chcesz zobaczyć ich na stryczku? Mają tam angielską zapadnię, ale taka zapadnia nie oberwie głowy. Kat nie wygotowuje

ani nie naciąga sznura. Skazaniec podskakuje na nim jak jo-jo. Powinno ci to przypaść do gustu.

- Inspektorze, nie zna pan mojego gustu i nigdy go pan nie pozna.

- Do diabła z sądami, po prostu musisz ich zabić, tak?

- Pan też, prawda? Przychodzi pan na każdą egzekucję, żeby popatrzeć. Taki ma pan gust. Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy? - Hannibal wyjął z kieszeni zakrwawioną kartkę w celofanie.

- Ma pan list od Louisa Ferrata.

Popił kazał policjantom wyjść.

- Znalazłem go po egzekucji, rozcinając jego ubranie. - Hannibal przeczytał na głos fragment widoczny nad załamaniem papieru. - „Panie inspektorze, dlaczego zadreżcza mnie Pan pytaniami, na które zna pan odpowiedź? Widziałem Pana w Lyonie...” I tak dalej. - Podał mu list. - Może pan otworzyć, papier już wyschł. Nie cuchnie.

Kartka sucho zatrzeszczała, odpadło kilka czarnych płatków. Skończywszy czytać, Popił usiadł, trzymając list przy skroni.

- Czy ktoś z pańskiej rodziny pomachał panu z tej ciuchci na do widzenia? - spytał Hannibal. - A może tego dnia kierował pan ruchem na dworcu?

Popił wziął zamach.

- Nie zrobi pan tego - powiedział cicho Hannibal. - Gdybym coś wiedział, dlaczego miałbym to panu mówić? To bardzo rozsądne pytanie. Może załatwi im pan bilety do Argentyny.

Popił zamknął i otworzył oczy.

- Petain był moim bohaterem. Od zawsze. Mój ojciec, moi wujowie walczyli pod nim w tamtej wojnie. Kiedy utworzył nowy rząd, powiedział nam tak: „Utrzymujcie ład i porządek, dopóki nie wyrzucimy stąd Niemców.Vichy uratuje Francję”. Byliśmy policjantami, uznaliśmy, że to taka sama służba.

- Pomagał pan Niemcom?

Popił wzruszył ramionami.

- Utrzymywałem ład i porządek. Może to im pomagało. Potem zobaczyłem jeden z tych pociągów. Zdezerterowałem i wstąpiłem do ruchu oporu. Nie ufali mi, dopóki nie zabiłem gestapowca. Niemcy rozstrzelali w odwecie ośmiu wieśniaków. Czuję się tak, jakbym to ja ich zabił. Co to za wojna? Walczyliśmy w Normandii, wśród żywoptotów, klikając tym, żeby rozpoznać swoich. - Wziął z biurka „świerszczyk” i kliknął dwa razy. - Oznaczało to: jestem swój, nie strzelajcie. Dortlicha mam gdzieś. Pomóż mi znaleźć ich. Jak szukasz Grutasa?

- Przez krewnych na Litwie, kościelne znajomości matki.

- Mógłbym wsadzić cię za fałszywe papiery, wystarczyłyby zeznania tego więźnia. Jeśli cię wypuszczę, przyrzekniesz, że powiesz mi wszystko, czego się dowiesz? Przysięgniesz na Boga?

- Na Boga? Tak, w każdej chwili. Ma pan Biblię? - W bibliotece stał egzemplarz *Pensees*. Hannibal zdjął go z półki. - Możemy również wykorzystać Pascala.

- Przysięgniesz na życie pani Murasaki?

Lekkie wahanie.

-Tak, przysięgnę. - Hannibal wziął z biurka „świerszczyk” i dwa razy zaklikał.

Popił zwrócił mu nieśmiertelniki.

Po jego wyjściu do gabinetu zajrzał asystent Popiła. Inspektor dał znak przez okno. Gdy Hannibal wyszedł na ulicę, ruszył za nim tajniak.

- On coś wie - powiedział Popił. - Ma spalone brwi. Sprawdź pożary w Ile de France, wszystkie, z ostatnich trzech dni. Kiedy zaprowadzi nas do Grutasa, postawię go przed sądem za tego rzeźnika.

- Dlaczego akurat za rzeźnika?

- Bo to było zabójstwo w. afekcie, Etienne. Nie chcę, żeby go skazano. Chcę, żeby uznano go za niepoczytalnego. W szpitalu dla umyślowo chorych zbadają go i sprawdzą, kim teraz jest.

- A kim jest? Jak pan myśli?

- Małym chłopcem. Hannibal umarł w czterdziestym piątym. Tam, wśród śniegów, próbując ratować siostrę. Jego serce umarło wraz z Misza. Kim teraz jest? Jeszcze nie wymyślono na to słowa. Z braku lepszego nazwiemy go potworem.

W służbowce konsjerżki, za drzwiami o poziomo dzielonych skrzydłach z matowymi szybami, było ciemno. Hannibal przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka.

Konsjerżka siedziała przy biurku. Właśnie segregowała listy według nazwisk lokatorów i wyglądało to tak, jakby układała pasjansa. W miękką skórę jej szyi wbijał się głęboko stalowy drut blokady roweru, na brodzie zwisał jej język.

Hannibal zapukał. Słyszał, jak w środku dzwoni telefon. Dzwonił dziwnie ostro i natarczywie. Gdy włożył klucz do zamka, drzwi się otworzyły. Przebiegł przez mieszkanie, szukając, rozglądając się i wzdrygając przed otwartymi drzwiami do sypialni, ale w sypialni też jej nie było. Telefon dzwonił i dzwonił. Hannibal podniósł słuchawkę.

W kuchni Cafe de L'Est, uwięzione w klatce trznadle czekały, aż zanurzą je w armagnacu i obgotują w bulgoczącym na płycie wrzątku. Grutas chwycił panią Murasaki za kark, pchnął ją i przytrzymał jej głowę tuż nad gotującą się wodą. Miała związane z tyłu ręce. Mueller ścisnął ją za nadgarstki.

- Kontynuując naszą rozmowę - powiedział Grutas, słysząc w słuchawce głos Hannibala. ■* Chcesz zobaczyć ją żywą?

-Tak.

-To posłuchaj trochę i zgadnij, czy ma jeszcze policzki.

To w tle — co to jest? Gotująca się woda? Może mu się tylko tak zdawało? Bulgotanie wody słyszał we snach.

- Powiedz coś do swojego małego jebaki.

- Kochanie, nie...

Nie dokończyła, bo Grutas zabrał słuchawkę. Szarpnęła się i wraz z Muellerem wpadła na klatkę z ptakami. Trznadłe podniosły krzyk.

- Kochanie - rzucił Grutas do słuchawki. — Za swoją siostrę zabiłeś dwóch moich ludzi i wysadziłeś w powietrze mój dom. Proponuję ci życie za życie. Przynieś wszystko co masz, nieśmiertelniki, notes Garkotłuka, wszystko. Mam ochotę posłuchać, jak ta żółta kwiczy.

- Gdzie...

- Zamknij mordę. Budka telefoniczna na trzydziestym szóstym kilometrze drogi do Trilbardou. Bądź tam o wschodzie słońca, zadzwonię. Jeśli cię nie będzie, dostaniesz pocztą jej policzki. Jeżeli zobaczę Popiła czy innego gliniarza, przyślę ci w paczce jej serce. Może wykorzystasz je do swoich badań, pogrzebiesz w komorach i znajdziesz tam swoją twarz. Życie za życie?

- Życie za życie - odparł Hannibal. Połączenie zostało przerwane.

Dieter i Mueller zawlekli ją do czekającej przed restauracją furgonetki. Kolnas zmienił tablice rejestracyjne w samochodzie Grutasa.

Grutas otworzył bagażnik i wyjął snajperkę Dragunowa. Dał ją Dieterowi.

- Kolnas, przynieś słój - rzucił. Chciał, żeby pani Murasaki go słyszała. Wydając rozkazy, chciwie obserwował jej twarz. - Weź samochód. Zabij go w tej budce. - Podał Dieterowi słój. - Obetnij mu jaja i przywieź je na łódź. Będę pod Nemours.

Hannibal nie chciał wyglądać przez okno; wiedział, że na dole czekają tajniacy Popiła. Wszedł do sypialni. Przez chwilę siedział na łóżku z zamkniętymi oczami. W uszach wciąż pobrzmiwały mu odgłosy z tła. *Ćwir-ćwir. Bałtycki dialekt trznadli.*

Pościel pani Murasaki pachniała lawendą. Kurczowo zacisnął palce na prześcieradłach, przyłożył je do twarzy, potem zerwał je z łóżka i szybko zamoczył w wannie. Rozciągnął w pokoju sznur na bieliznę, powiesił na nim kimono i włączył wentylator z obrotową głowicą. Powoli wirujące łopaty wprawiały w ruch kimono i jego cień na zasłonach.

Stał przed samurajską zbroją i ze sztyletem *tanto* w ręku patrzył na maskę pana Masamune.

-Jeśli możesz jej pomóc, pomóż teraz.

Założył na szyję sznur i wsunął sztylet za kołnierz.

Potem skręcił i związał mokre prześcieradła niczym więzienny samobójca i gdy skończył, prowizoryczna lina zwieszała się cztery i pół metra nad ziemią.

Schodził powoli. Wreszcie się puścił i po długim, jak mu się zdawało, locie uderzył boleśnie stopami w twardą nawierzchnię jezdni, przetoczył się i wstał.

Wyprowadził motocykl na biegnącą za domem ulicę, wcisnął sprzęgło, kopnął pedał rozrusznika i wsiadł, gdy silnik odpalił. Chciał wziąć pistolet Milki i musiał się pospieszyć.

Trznadle w klatce przed Cafe de L'Est kręciły się i cichutko po-
 ,, ćwierkiwały, niespokojne w jasnym świetle księżyca. Markiza
 na patio była zwinięta, parasole złożone. W jadalni było ciemno, ale
 w kuchni i w barze paliło się światło.

Hercule zmywał podłogę. Na stołku przy barze siedział pochy-
 lony nad księgami Kolnas. Hannibal cofnął się w mrok, uruchomił
 motor i odjechał, nie włączając świateł.

Ostatnie kilkaset metrów do domu przy rue Juliana przeszedł
 piechotą. Na podjeździe stał citroen *deux cheveux*; kierowca zaciąg-
 nął się ostatni raz i pstryknął niedopałkiem przez okno. Niedopa-
 łek spadł na ziemię w fontannie iskier. Kierowca usiadł wygodniej
 i oparł głowę o zagłówek. Chyba poszedł spać.

Zza kuchennego żywopłotu Hannibal mógł zajrzeć do wnętrza
 domu. Madame Kolnas przeszła przed oknem, rozmawiając z kimś
 za niskim, żeby go zobaczyć. Noc była ciepła, a przesłonięte siatką
 okna otwarte. Siatkowane kuchenne drzwi wychodziły na ogród.
 Sztylet *tanto* bez trudu przeciął siatkę i podważył zaszczipkę. Han-
 nibal wytarł buty w matę i wszedł do środka. Kuchenny zegar tykał
 jakby za głośno. Z łazienki dochodził szum wody z kranu i odgłosy
 chlapania. Trzymając się blisko ściany minął prowadzące tam drzwi.
 Słyszał, jak pani Kolnas mówi coś do dziecka.

Następne drzwi były uchylone. Przez szparę zobaczył półki z za-
 bawkami i wielkiego pluszowego słonia. Zajrzał do środka. Dwa łóżka.

Na tym bliżej drzwi spała Katerina Kolnas. Miała przekrzywioną główkę, kciukiem dotykała czoła. Widział, jak pulsuje jej żyłka na skroni. Słyszał bicie jej serca. Na rękę miała bransoletkę Miszy Zamrugął w ciepłym świetle lampki. Słyszał, jak mruga. Słyszał jej oddech. Słyszał głos żony Kolnasa w korytarzu. Cichutkie dźwięki ponad wypełniającym go rykiem.

- Chodź, Bułeczko - mówiła madame Kolnas. - Pora się wytrzeć.

Barka, czarna i złowróźbna, cumowała przy nabrzeżu w kłębiącej się mgle. Grutas i Mueller wnieśli związaną i zakneblowaną panią Murasaki na pokład i skręcili w zejściówkę za nadbudówką. Grutas kopnął drzwi do pokoju przesłuchań na dolnym pokładzie. Pośrodku pokoju stało krzesło, a pod nim leżało zakrwawione prześcieradło.

- Przepraszam za ten bałagan - powiedział Litwin. - Zaraz wezwę pokojówkę. Eva! - Przeszedł do sąsiedniej kabiny i otworzył drzwi. Trzy przykute do łóżka kobiety spojrzały na niego z nienawiścią w oczach. Eva właśnie wносиła pełne nocniki.

- Marsz do mnie - warknął Grutas.

Trzymając się jak najdalej od niego, kobieta weszła do pokoju przesłuchań i zmieniła prześcieradła. Chciała wyjść z brudnym, ale Grutas ją zatrzymał.

- Zostaw. Zwiń je i rzuć, niech je widzi.

Przywiązali panią Murasaki do krzesła.

Grutas odprawił Muellera. Potem rozwalił się na szeszlunku, rozłożył nogi i zaczął masować sobie uda.

- Czy wiesz, co się z tobą stanie, jeśli nie dasz mi rozkoszy? - spytał.

Pani Murasaki zamknęła oczy. Łódź zadygotała i odbiła od brzegu.

Hercule wyszedł dwa razy z koszem na odpadki. Potem odpiął rower, wsiadł i odjechał.

Tylne światelko roweru nie znikło jeszcze w mroku, gdy Hannibal wślizgnął się do kuchni. Niósł coś dużego w przesiąkniętej krwią torbie.

Do kuchni wszedł Kolnas z księgą rachunkową w rękę. Otworzył drzwiczki do opalanego drewnem pieca, wrzucił do ognia kilka kwitów i wepchnął je głębiej po grzebaczem.

- Herr Kolnas. Herr Kolnas w otoczeniu misek.

Kolnas odwrócił się błyskawicznie i zobaczył Hannibala, który stał pod ścianą z kieliszkiem wina w jednej i z pistoletem w drugiej ręce.

- Czego pan chce? Już zamknięte.

- Kolnas w miskowym raju. Miski, wszędzie miski. Nosi pan swój nieśmiertelnik, Herr Kolnas?

- Nazywam się Kleber. Jestem Francuzem i zaraz zadzwonię po policję.

- Pozwoli pan, że go wyręcę. - Hannibal odstawił kieliszek i podniósł słuchawkę telefonu. - Będzie pan miał coś przeciwko temu, że zadzwonię przy okazji do komisarza do spraw zbrodni wojennych? Zapłacę za połączenie.

- Pierdol się, chuju. Dzwon sobie, gdzie chcesz. Chcesz, to dzwón, mówię poważnie. Albo ja to zrobię. Mam papiery, mam przyjaciół.

- A ja mam dzieci. Pańskie.

- Co to znaczy?

- Obydwoje. Byłem na rue Juliana. Wszedłem do pokoju z wielkim pluszowym słoniem i je zabrałem.

- Łżesz.

- „Weź ją, ona i tak umrze”. Tak pan wtedy powiedział. Pamięta pan? Idąc z miską za Grutasem. Przyniosłem coś na pieczyście. - Hannibal sięgnął za siebie i rzucił na stół zakrwawioną torbę. - Możemy to razem ugotować jak za dobrych, starych czasów. - Rzucił na stół bransoletkę Miszy. Bransoletka zakręciła się wokół własnej osi i zniechuciała.

Kolnas omal nie zwymiotował. Przez chwilę ręce trzęsły mu się tak bardzo, że nie mógł dotknąć torby, a potem rozerwał ją, rozerwał lepki od krwi papier, rozdarł mięso i kości.

-To tylko rostbef, Herr Kolnas. I melon. Kupiłem w halach. Ale wie pan teraz, jakie to uczucie, prawda?

Kolnas chciał rozorać mu twarz uwalanymi krwią rękami, lecz stracił równowagę i upadł na stół. Hannibal przytrzymał go, rękojeścią pistoletu grzmotnął w podstawę czaszki i Litwin stracił przytomność.

Wysmarowana krwią twarz Hannibala wyglądała jak twarze demonów z jego własnych snów. Polewał Kolnasa wodą, dopóki ten nie otworzył oczu.

- Gdzie jest Katerina, co z nią zrobiłeś?

- Jest bezpieczna. Różowiutka i absolutnie doskonała. Widać, jak pulsuje jej żyłka na skroni. Zwrócę ją panu, kiedy zwrócić mi panią Murasaki.

- Jeśli to zrobię, będzie po mnie.

- Nie. Grutas zostanie aresztowany, a ja nie będę pamiętał, jak wygląda pańska twarz. Oszczędzę pana ze względu na dzieci.

- Skąd mam wiedzieć, czy jeszcze żyją.

- Przysięgam na duszę mojej siostry, że usłyszysz pan ich głos. Są bezpieczne. Proszę mi pomóc, bo pana zabiję i dzieci umrą z głodu. Gdzie jest Grutas? Gdzie jest pani Murasaki?

Kolnas przełknął ślinę i zakrzuszył się własną krwią.

- Grutas mieszka na łodzi, na barce; ciągle gdzieś pływa. Teraz jest na Canal du Loing na południe od Nemours.

- Nazwa barki?

- „Christabel”. Dałeś słowo: gdzie są moje dzieci?

Hannibal puścił go, podniósł słuchawkę telefonu przy kasie, wykręcił numer i podał słuchawkę Kolnasowi.

Przez chwilę Litwin nie mógł rozpoznać głosu żony, a potem krzyknął:

- Halo! Halo! Astrid? jZajrzyj do dzieci i daj mi do telefonu Katerinę! Szybko!

Słuchał zasnętego głosu córki i zmieniała mu się twarz. Najpierw zagościł na niej wyraz ulgi, potem dziwna pustka, a przez cały

ten czas jego ręka wędrowała powoli w stronę ukrytego pod kasą rewolweru. Opadły mu ramiona.

- Oszukałeś mnie, Lecter.

- Dotrzymałem słowa. Oszczędzę pana ze względu na...

Kolnas odwrócił się z wielkim webłeyem w ręku. Hannibal uderzył go w nadgarstek i rewolwer wypalił tuż obok nich. Japońskie *tatito* przebiło Litwinowi podbródek i wyszło czubkiem głowy.

Zadyndała słuchawka telefonu. Kolnas runął na twarz. Hannibal przewrócił go na plecy i przez chwilę przyglądał mu się z krzesła. Otwarte oczy Litwina zachodziły już mgłą. Hannibal przykrył mu twarz miską.

- Wziął klatkę z trznadlami i wyniósł ją na dwór. Ostatniego musiał złapać i rzucić go w rozświetlone księżycem niebo. Potem otworzył ptaszarnię i wypłoszył z niej wszystkie ptaki. Trznadle utworzyły stado i okrążyły go raz, przemykając przez patio dziesiątkami malutkich cieni i wspinając się coraz wyżej, żeby wyczuć wiatr i poszukać gwiazdy polarnej.

- Lećcie - szepnął Hannibal. - Bałtyk jest tam. Zostańcie na cały sezon.

Przez bezkresną noc, przez ciemne pola Ile de France, mknął pojedynczy punkcik świała, motocykl z rozplaszczonym na baku Hannibalem. Z dała od betonowych dróg na południe od Nemours, starą ścieżką holowniczą wzdłuż Canal du Loing, po asfalcie i żwirze, przejechał przez środek stada krów i czując na plecach smagnięcie pędzelkowatego ogona, gwałtownie skręcił. Pod błotnikami zagrzechotał żwir: motocykl potrząsnął łbem, odzyskał równowagę, nabrał prędkości i popędził dalej.

Światła Nemours zostały w tyle i zmatowiały, krajobraz się rozplaszczył. Z przodu była tylko ciemność, absurdalnie wyraźna droga, rosnące na poboczu krzaki i pożerana przez mrok smuga żółtego światła. Hannibal zastanawiał się, czy nie skręcił za daleko na południe od miasta - czyżby barka była za nim?

Zatrzymał się i zgasił światła. Siedział po ciemku i myślał, pod nim dygotał motocykl.

Zdawało się, że przez łąkęjeden za drugim, suną dwa małe domy, tam, daleko w ciemności. Nad brzegiem Canal du Loing widać było tylko nadbudówki.

Barka płynęła na południe, pieszcząc brzegi kanału łagodnymi falami. Na łąkach spały krowy, na barce panował cudowny spokój. Ranny Mueller z zszytym udem siedział na płóciennym krześle na

dziobie, ze strzelbą opartą o reling. Gassmann otworzył szafkę na rufie i wyjął kilka płóciennych objaczy.

Pędzący trzysta metrów za barką Hannibal zwolnił i o jego gołonie otarły się krzaki. Silnik cicho zabulgotał i zgasł. Hannibal otworzył torbę przy siodełku i wyjął lornetkę ojca. Po ciemku nie mógł odczytać nazwy łodzi.

Widział tylko jej światła pozycyjne i światło jarzące się za zasłonami w oknach. Kanał był w tym miejscu zbyt szeroki, żeby wskoczyć na pokład.

Stąd, z brzegu, mógłby trafić kapitana w sterówce - a już na pewno go stamtąd wykurzyć - ale wtedy postawiłby na nogi całą załogę i musiałby walczyć z wszystkimi naraz. Nabiegliby pewnie z obydwu stron, jednocześnie. Widział osłoniętą zejściówkę na rufie i ciemne wybrzuszenie na dziobie, prawdopodobnie luk prowadzący na dolny pokład.

W sterówce jarzyło się światło kompasu, ale nie mógł tam nikogo dostrzec. Musiał ich wyprzedzić. Droga biegła tuż przy wodzie, a łąki były zbyt wyboiste, żeby zrobić objazd.

Wyprzedzał ich, czując mrowienie w zwróconym do barki boku. Zerknął w lewo. Grossman wciąż wyjmował objacze z szafki. Usłyszał warkot silnika i podniósł głowę. Nad świednikami w nadbudówce krążyły ćmy.

Hannibal utrzymywał stałą prędkość. Zobaczył światła samochodu przejeżdżającego przez most kilometr dalej.

Śluza. Kanał zwężał się tam i był ledwie dwa razy szerszy od szerokości barki. Śluza stanowiła integralną część kamiennego mostu. Miała wbudowane w kamień łukowate wrota, a pudełkowaty basen za mostem był niewiele dłuższy od „Christabel”.

Hannibal skrzył w lewo, na drogę prowadzącą na most, na wypadek, gdyby obserwował go kapitan barki. Sto metrów dalej zgasił światła, zawrócił i ukrył motocykl w krzakach. Potem ruszył piechotą w mrok.

Kilka łodzi wiosłowych leżało do góry dnem na brzegu. Usiadł między dwiema najbliższymi i wyglądając zza kadłuba, obserwował oddaloną o pięćset metrów barkę. Było bardzo ciemno. Słyszał radio z budki na drugim końcu mostu, pewnie z domku śluzowego. Schował pistolet do kieszeni i zaplął guziki.

Małutkie światła pozycyjne barki zbliżały się bardzo powoli, czerwone światelko na bakburcie i białe wysoko na składanym maszcie nad kabiną. Łódź będzie musiała zatrzymać się i opuścić co najmniej metr. Hannibal położył się na brzegu wśród wodorostów. Było jeszcze za wcześnie na świerszcze.

Czekał. Barka sunęła po wodzie. Powoli, powolutku. Miał czas pomyśleć. To, co zrobił w restauracji, było po części niemiłe i wolałby tego nie pamiętać: darował Kolnasowi życie, nie szkodzi, że na krótko, a to, że pozwolił mu się odezwać, było po prostu obrzydliwe. Dobrze natomiast wspominał ten chrzest, to chrupnięcie, które poczuł w rękę, kiedy ostrze *tanto* wyszło Kolnasowi wierzchem czaszki niczym mały róg. Satysfakcja większa niż z Miłkiem. Rzeczy przyjemne: dowód pitagorejski z płytkami, urwanie głowy Dortlichowi. Miłe perspektywy: potrawka z zająca na kolację z panią Murasaki w restauracji Pola Marsowe. Był spokojny. Serce biło mu siedemdziesiąt dwa razy na minutę.

Ciemność pod służą, niebo czyste i usiane gwiazdami. Kiedy barka dotrze do mostowej górne światła pozycyjne powinny znaleźć się między tymi najniższymi.

Ale zanim tam dotarła, złożony maszt opadł w dół, a wraz z nim, niczym gwiazda, spadły z nieba światelka. W wielkim reflektorze pokładowym rozjarzył się żarnik, trysnął jaskrawy promień i Hannibal rozpląszczył się na ziemi w chwili, gdy świetlista smuga musnęła go, by znieruchomieć na wrotach śluzy. Zabuczał bucdek. W domku na moście zapaliło się światło i niecałą minutę później wyszedł stamtąd śluzowy, nakładając szelki. Hannibal nakręcił tłumik na lufę pistoletu.

Dziobową zejściówką wyszedł na pokład Vladis Grutas. Przeciągnął się i wrzucił do wody papierosa. Powiedział coś do Muellera, schował strzelbę między gazonami, żeby nie zobaczył jej służowy i zszedł na dół.

Gassmann zamocował objacze na rufie i przygotował linę. Otworzyły się wrota. Służowy wszedł do budki i zapalił światła na bocznych pachołkach. Barka prześlizgnęła się pod mostem, wpłynęła do śluzy i kapitan dał całą wstecz. Gdy zadudnił silnik, nisko pochyłony Hannibal wpadł na most, nie wystawiając głowy nad barierkę.

Spojrzał w dół, na przesuwającą się pod nim barcę, na pokład i nadbudówki. Przez świetlik w dachu nadbudówki mignęła mu przywiązana do krzesła pani Murasaki, widoczna tylko przez chwilę bezpośrednio z góry.

Wyrównanie poziomu wody zajęło mniej więcej dziesięć minut, a potem zgrzytnęły ciężkie wrota i Gassmann z Muellerem zaczęli zbierać liny. Służowy odwrócił się tyłem do nich. Kapitan otworzył przepustnicę i za barką zagotowała się woda.

Hannibal wychylił się za barierkę. Z odległości sześćdziesięciu centymetrów strzelił Gassmannowi w głowę, stanął na balustradzie, skoczył, wylądował na nim i przetoczył się po pokładzie. Kapitan poczuł wstrząs i spojrzał na liny na rufie, ale te o nic nie zahaczyły.

Hannibal przekręcił klamkę zejściówki na rufie. Drzwi były zamknięte.

Kapitan wystawił głowę ze sterówki.

- Gassmann?

Hannibal ukucnął i obszukał trupa. Niemiec nie miał broni. Musiał teraz przejść obok sterówki, a na dziobie był Mueller. Skręcił w prawo. Kapitan wyszedł i zobaczył Gassmanna, zobaczył głowę, z której ciekło do szpigatu.

Hannibal popędził przed siebie pochyłony za rzędem niskich kabin.

Silnik mrucał na jałowym biegu. Padł strzał, kula zrykoszetowała z jękiem na wsporniku i Hannibal poczuł piekące muśnięcie

na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył kapitana przycupniętego za nadbudówką rufową. Za zejściówką dziobową natomiast mignęła wytatuowana ręka, która chwyciła ukrytą między gazonami strzelbę. Hannibal wystrzelił i spudłował. Ramię miał gorące i mokre. Dał nura między nadbudówki, wypadł po drugiej stronie i pochylony, pobiegł na dziób.

Na dziobie był Mueller, który słysząc jego kroki, wstał i wziął zamach strzelbą. Strzelba zawadziła lufą o róg zejściówki, więc Mueller znów wziął zamach, lecz w tym momencie Hannibal strzelił mu cztery razy w pierś, pociągając za spust tak szybko, jak tylko mógł. Strzelba wypaliła i pocisk wyrwał dziurę w drewnianej framudze. Mueller zatoczył się, spojrział na swoją pierś, upadł do tyłu i znieruchomiał wsparty plecami o reling. Drzwi były otwarte. Hannibal wszedł do środka.

Kapitan przykucnął przy ciele Gassmanna i zaczął szperać mu po kieszeniach. Szukał kluczy.

Schodami na dół. Wąski korytarz dolnego pokładu i pierwsza kabina - pusta, tylko łóżka i łańcuchy. Hannibal zatrzasnęła drzwi i popędził do sąsiedniej. Zobaczył panią Murasaki przywiązaną do krzesła - podbiegł do niej i stojący za drzwiami Grutas strzelił mu w plecy. Kula trafiła między łopatki. Hannibal upadł i znieruchomiał w kałuży krwi.

Grutas się uśmiechnął. Wbił mu lufę pistoletu pod brodę i szybko go obszukał. Odrzącił nogą pistolet. Wyjął zza pasa sztylet i dźgnął go czubkiem w nogi. Nogi ani drgnęły.

- Mój mały Mannlein oberwał w kręgosłup - powiedział. - Nie czujesz nóg? Fatalnie. Ja ci chcę obciąć jaja, a ty nic nie czujesz.
- Uśmiechnął się do pani Murasaki. - Zrobię ci z nich portmonetkę na napiwki.

Hannibal otworzył oczy.

- Ty widzisz? - Grutas pomachał mu przed nosem sztyletem.
- Świetnie! To popatrz na to. - Stał przed panią Murasaki i czubkiem sztyletu leciutko przesunął po jej policzku. - Troszkę się przy-

najmniej zaróżowią. — Wbił sztylet w oparcie krzesła za jej głową. — I zrobimy w nich kilka nowych otworów do seksu.

Pani Murasaki milczała. Nie odrywała wzroku od Hannibala. Drgnęły mu palce, ręka przesunęła się lekko w stronę głowy. Oczy spojrzały na Grutasę, potem znowu na nią. Pani Murasaki popatrzyła na Litwina z podnieceniem i gniewem na twarzy. Mogła być tak piękna, jak tylko chciała. Grutas nachylił się i pocałował ją w usta. Zmiażdżył jej wargi, zgniótł twarz swoją twarzą i z nieruchomymi, wyblakłymi oczami włożył jej rękę pod bluzkę.

Hannibal sięgnął za głowę i wyjął zza kołnierza sztylet *tanto*, zakrwawiony, wygięty i wybrzuszony od kuli.

Grutas zamrugał, twarz wykrzywił mu potworny ból, ugięty się pod nim nogi i z przeciętymi ścięgnami runął na Hannibala, który szybko spod niego wypełził. Pani Murasaki kopnęła Grutasę w głowę związanymi nogami. Litwin próbował podnieść pistolet, lecz Hannibal wykręcił lufę do góry i w tym samym momencie padł strzał. Hannibal przeciął Grutasowi nadgarstek i broń wypadła Litwinowi z ręki. Popęzł w jej stronę, podpierając się łokciami - peźł, szedł na kolanach, upadał i podciągał się, jak zwierzę z przetrąconym kręgosłupem na drodze. Hannibal przeciął sznur na rękach pani Murasaki, a ta chwyciła wbity w krzesło sztylet, przecięła sznur na kostkach nóg i stanęła w kącie przy drzwiach. Hannibal, z coraz bardziej zakrwawionymi plecami, zaszedł Grutasowi drogę do pistoletu.

Grutas znieruchomiał i, wciąż na kolanach, podniósł głowę. Był upiornie spokojny. Patrzył na Hannibala swoimi wyblakłymi, zimnymi jak lód oczami.

-Wszyscy żeglujemy ku śmierci - powiedział. —Ja, ty, macocha, z którą się pieprzysz, ludzie, których zabiłeś.

- To nie byli ludzie.

-Jak smakował Dortlich? Jak ryba? Milka też zjadłeś?

- Hannibalu - odezwała się z kąta pani Murasaki. - Jeśli Popił go aresztuje, może nie aresztuje ciebie. Zostań ze mną. Oddaj go Popilowi.

- On zjadł moją siostrę.

-Ty też ją jadłeś - odparł Grutas. - I co? Zabijesz się teraz?

- Nie. To kłamstwo.

-Ależ jadłeś ją, jadłeś. Garkotłuk nakarmił cię uprzemie rosołkiem z siostruni. I teraz chcesz zabić wszystkich tych, którzy o tym wiedzą, tak? Twoja Japoneczka też już wie, więc ją też powinieneś zabić.

Wciąż z zakrwawionym *tanto* Hannibal zatkał sobie uszy. Spojrzał na panią Murasaki, sondując jej twarz, podszedł bliżej i mocno ją przytulił.

- Nie, to kłamstwo - szepnęła. - Oddaj go Popilowi.

Grutas drobił na kolanach w stronę pistoletu. I mówił, przez cały czas mówił.

- *Zjadłeś ją, byłeś półprzytomny, łapczywie połykałeś łyżkę za łyżką.*

Hannibal zadarł głowę i przeraźliwie krzyknął:

-Nie!

Podbiegi do Grutasa z podniesionym *tanto*, przygniótł nogą pistolet i wyciął literę „M” na twarzy Litwina. Ciął i krzyczał:

- „M”jak Misza! „M”jak Misza! „M”jak Misza! - Grutas leżał na podłodze, a on wycinał wielkie litery na jego ciele.

Krzyk od drzwi. Przytłumiony wystrzał w czerwonej mgłę. Hannibal poczuł podmuch z lufy tuż nad głową. Nie wiedział, czy kula go trafiła. Odwrócił się. Tyłem do pani Murasaki stał kapitan barki ze sztyletem w obojczyku i z przeciętą aortą; pistolet wyslizgnał mu się z ręki i kapitan runął na podłogę.

Hannibal zachwiał się, z twarzą jak czerwona maska. Pani Murasaki zamknęła oczy. Zadrżała.

- Jesteś ranna?

-Nie.

- Kocham cię, pani. - Hannibal podszedł bliżej.

Otworzyła oczy i odepchnęła jego zakrwawione ręce.

- A co pozostało do kochania w tobie? - Wypadła z kabiny, wbiegła schodami na górny pokład, odbiła się i ponad relingiem zanurkowała do kanału.

Barka uderzyła łagodnie w brzeg.

Został sam na sam z trupami, których wzrok szybko stawał się szklisty. Mueller i Gassmann są teraz na dole, u stóp schodów. Pościęty w czerwoną jodełkę Grutas leży w kabinie, tam, gdzie skołał. Niczym wielką lalkę, każdy z nich trzyma w ramionach panzerfausta. Ostatniego Hannibal przywiązał sześćdziesiąt centymetrów od zbiornika paliwa w maszynowni. Z magazynu ze sprzętem wziął drapacz; kotwiczkę o kilku pazurach, i przywiązał linkę do spustu panzerfausta. Stał na pokładzie z drapaczem w ręku, patrząc, jak sunąca powoli barka ociera się burtą o betonowy brzeg kanału. Widział również światła błyskające na moście. Słyszał krzyki i ujadanie psów.

Wrzucił kotwiczkę do wody. Gdy lina zaczęła się powoli rozwijać, znikając za burtą, zszedł na brzeg i ruszył przez łąkę. Nie oglądał się za siebie. Gdy przeszedł czterysta metrów, nastąpił wybuch. W plecy pchnęła go fala uderzeniowa, przetoczyła się' przez niego wraz z dźwiękową. Na łące, kilka kroków za nim, wylądował kawałek metalu. Barka paliła się jaskrawym płomieniem, w niebo buchał snop iskier, które ognisty podmuch skręcał w spiralę. Wybuchły pozostałe panzerfausty i seria eksplozji wyrzuciła w powietrze płonące deski i belki.

Z odległości prawie dwóch kilometrów widział światła policyjnych radiowozów migające na służbie. Nie zawrócił. Chodził po łąkach; znaleźli go o świcie.

Latem w porze śniadaniowej przy wychodzących na wschód oknach paryskiej komendy zawsze kłębił się tłum młodych policjantów, którzy chcieli zobaczyć, jak Simone Signoret pije kawę na tarasie domu przy Place Dauphin.

Siedzący przy biurku inspektor Popił nie podniósł wzroku nawet wtedy, gdy otworzyły się prowadzące na taras drzwi, i pozostał nieporuszony, słysząc jęk zawodu, gdy wyszedł tam służący, żeby podlać kwiaty.

Okno było szeroko otwarte i do pokoju wpadały słabe odgłosy komunistycznej demonstracji na Quai des Orfevres i Pont Neuf. Demonstrantami byli głównie studenci, którzy krzyczeli: „Uwolnić Hannibala! Uwolnić Hannibala!” Nieśli transparenty z napisem: „Śmierć faszystomowi” i żądali natychmiastowego uwolnienia Hannibala Lectera, który stał się ostatnio małą znakomitością. Broniono go w listach do „L'Humanite” i „Le Canard Enchaîné”, a „Le Canard” zamieścił nawet zdjęcie płonącej barki z podpisem: „Kanibale usmażeni”.

Opublikowane w „L'Humanite” wzruszające wspomnienia z czasów kolektywizacji, spisane przez samego Hannibala, który przeszmuglował artykuł z aresztu, jeszcze bardziej podburzyły komunistów. Hannibal chętnie napisałby artykuł dla prawicowych ekstremistów, ale prawicowcy nie byli teraz w modzie i nie mogli demonstrować w jego obronie.

Przed Popilem leżało memorandum prokuratora, który pytał go o dowody przeciwko Lecterowi. W atmosferze powojennego odwetu, *l'Spuration sauvage*, zarzuty przeciwko komuś, kto zabił jakoby kilku faszystów i zbrodniarzy wojennych, musiały być niepodważalne, a nawet jeśli naprawdę ich zabił, oskarżenie go byłoby niepopularne politycznie.

Od morderstwa rzeźnika Paula Momunda upłynęło wiele lat, poza tym jak zauważył prokurator jedynym dowodem w tej sprawie był zapach olejku goździkowego. Czy pomogłoby im zatrzymanie pani Murasaki? - pytał. Czy działała z nim w zмовie? Inspektor był przeciwny jej aresztowaniu.

Dokładnych okoliczności śmierci restauratora Kolnasa, albo „kryptofaszysty i paskarza Kolnasa”, jak pisały o nim gazety, nie udało się ustalić. Tak, w czaszce miał dziurę niewiadomego pochodzenia, a jego język i górne podniebienie zostało przebite ostrym narzędziem. Test parafinowy wykazał, że tuż przed śmiercią strzelał z rewolweru.

Z trupów na barce pozostał jedynie tłuszcz i sadza. Ale wiedziało, że ludzie ci byli porwaczami i handlarzami niewolników. Bo czyż dzięki numerowi rejestracyjnemu, dostarczonemu przez panią Murasaki, policja nie znalazła furgonetki z dwiema uprowadzonymi kobietami?

Młody Lecter nie był notowany. Był najlepszym studentem na roku.

Popił spojrział na zegarek i poszedł do *Audition 3*; był to ich najlepszy pokój przesłuchań, ponieważ wpadało tam trochę słońca, a upstrzone graffiti ściany pociągnięto grubą warstwą białej farby. Skinął głową strażnikowi, trzasnął zasuwą i weszli do środka. Hannibal siedział przy pustym stole na środku pokoju. Nogi miał przykute do nóg stołu, ręce do pierścienia na blacie.

- Zdjąć mu to - rozkazał Popił.

- Dzień dobry, panie inspektorze - powitał go Hannibal.

- Jest, przyszła - odparł Popił. - Doktor Dumas i doktor Rufin wrócą po obiedzie. - Zostawił go samego.

Do pokoju weszła pani Murasaki; Hannibal mógł teraz wreszcie wstać.

Gdy drzwi się zamknęły, przyłożyła do nich otwartą dłoń.

- Dobrze sypiasz? - spytała.

- Tak, dobrze.

- Masz życzenia wszystkiego najlepszego od Chiyoh. Pisze, że jest bardzo szczęśliwa.

- Cieszę się.

- Jej chłopak skończył studia i są już zaręczeni.

- To miło.

Pauza.

- Założyli spółkę z braćmi i robią skutery, takie małe motocykle. Jak dotąd zrobili sześć. Chiyoh ma nadzieję, że będą miały wzięcie.

- Na pewno. Sam *taki* kupię.

Kobiety są lepszymi obserwatorkami niż mężczyźni - w grę wchodzi tu umiejętność przetrwania - i natychmiast rozpoznają požądanie. Rozpoznają również jego brak. Pani Murasaki wyczuła, że Hannibal się zmienił. Brakowało mu czegoś w oczach.

Przypomniały jej się słowa Murasaki Shikibu i wypowiedziała je na głos:

Wzburzone wody

Szybko zamarzają.

Pod czystym niebem

Światło księżycy i cień

Przyptywają i odpływają.

Hannibal zacytował klasyczną odpowiedź księcia Genji:

Wspomnienia długiej miłości

Zbierają się niczym lotny śnieg.

Wzruszają jak mandarynki,

Które skrzydło w skrzydło

Płyną obok siebie pogrążone we śnie.

- Nie - odparła pani Murasaki. - Nie. Teraz jest tylko lód. Tamto odeszło. Czyż nie?

- Nie ma na świecie osoby, którą lubiłbym bardziej niż ciebie, pani - powiedział Hannibal spokojnie i szczerze.

Pani Murasaki lekko pochyliła głowę i wyszła.

W gabinecie Popiła zastała doktora Rufina i doktora Dumasa. Byli pogrążeni w rozmowie. Rufin wziął ją za rękę.

- Mówił pan, że może zamarznąć w środku na zawsze.

-Wyczuła to pani? - spytał Rufin.

- Kocham go i nie mogę go odnaleźć. Pan może?

- Nigdy nie mogłem.

Wyszła, nie spotkawszy się z Popiłem.

Hannibal zgłosił się na ochotnika do pracy w więziennej aptece i złożył do sądu wniosek z prośbą o pozwolenie powrotu na uczelnię. Doktor Claire DeVrie, kierowniczka nowego laboratorium kryminalistycznego, kobieta ładna i inteligentna, uznała, że biorąc pod uwagę niedobór sprzętu i odczynników, jego wiedza przyda się bardzo przy zakładaniu małego wydziału identyfikacji toksyn i ich analizy jakościowej. Napisała list w jego obronie.

Doktor Dumas, którego nieustanna wesołość niezmiernie Popiła drażniła, głośno go poparł, nadmieniając, że obejrzwawszy jego rysunki do nowego atlasu anatomicznego, kierownictwo Akademii Medycznej imienia Johnsa Hopkinsa w Baltimore zaproponowało mu stypendium naukowe. Dumas powołał się również na kwestie moralne.

Mimo sprzeciwu inspektora Popiła trzy tygodnie później Hannibal wyszedł z Pałacu Sprawiedliwości, by wrócić do swego pokoju na uczelni. Popił się z nim nie pożegnał; strażnik przyniósł mu po prostu ubranie.

Spał dobrze. Rano zadzwonił na Place des Vosges, ale powiedziano mu, że telefon pani Murasaki jest wyłączony. Pojechał tam z kluczem. Mieszkanie było puste, nie licząc stolika na telefon. Obok

telefonu leżał list. Był przyklejony do szerniałej gałązki z Hiroszimy, którą przysłał jej ojciec.

Pani Murasaki napisała:

Żegnaj, Hannibalu. Wracam do domu.

Nadpaloną gałązke wrzucił do Tamizy w drodze na obiad. W restauracji Pola Marsowe zjadł pyszną potrawkę z zająca za pieniądze, które Louis zostawił na mszę za swoją duszę. Rozgrzany winem uznał, że powinien zachować się jednak uczciwie i przeczytać na głos chociaż kilka modlitw po łacinie, a może raczej je odśpiewać, najlepiej do jakiejś popularnej melodii. Jego własna modlitwa byłaby równie skuteczna jak te, które mógł kupić przed kościołem Saint Sulpice.

Jadł sam, lecz nie był osamotniony.

W jego sercu zagościła długa zima. Sypiał dobrze. Ludzie miewają gości we snach, lecz jego nie odwiedzał nikt.

III

*Ze złoki zaraz oddałbym cię czartu.
Gdybym był tylko czym innym, nie czartem!*

Goethe *Faust*
przel. Józef Paszkowski

Svenka doszedł do wniosku, że ojciec Dordicha nigdy nie umrze. Stary oddychał i oddychał, dwa lata oddychania, podczas gdy w jego ciasnym mieszkaniu czekała zasłonięta brezentem trumna. Zajmowała prawie cały pokój. Jego kobieta narzekała, że ponieważ trumna ma zaokrąglone wieko, nie można nawet nic na niej kłaść. Po kilku miesiącach zaczęła chować tam kontrabandę, konserwy, które Svenka odbierał wracającym promem z Helsinek.

Podczas dwóch lat morderczych czystek Stalina jego trzech kolegów oficerów rozstrzelano, a czwartego powieszono na Łubiance.

Svenka widział, że pora uciekać. Dzieła sztuki należały teraz do niego i nie zamierzał ich zostawiać. Nie odziedziczył wszystkich kontaktów Dordicha, ale mógł zdobyć dobre papiery. W Szwecji też nikogo nie znał, znał za to mnóstwo marynarzy z promów kursujących między Szwecją i Rygą, którzy mogliby zająć się przesyłką.

Ale wszystko po kolei.

W niedzielę za kwadrans siódma rano z bloku wyszła gospoia starego Dordicha. Była bez nakrycia głowy, żeby nikt nie pomyślał, że idzie do kościoła, niosła również dużą książkę w chustce, a w niej Biblię.

Mniej więcej dziesięć minut po jej wyjściu stary usłyszał kroki na schodach, kroki kogoś cięższego niż Bergid. Z korytarza dobiegł cichy zgrzyt i szcęk - ktoś otwierał wytrychem drzwi.

Stary Dordich podciągnął się z trudem na poduszkach.

Pchnięte od zewnątrz drzwi zawadziły o próg. Stary poszperał w szufladzie stolika przy łóżku i wyjął lugera. Omdlewając z wysiłku, schował go pod koc.

Zamknął oczy i otworzył je dopiero wtedy, gdy otworzyły się drzwi do pokoju.

- Śpi pan, Herr Dortlich? Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział Svenka. Był po cywilnemu i miał przyлизane włosy.

- Aaa, to pan - mruknął starzec. Twarz miał jak zwykle srogą, ale na szczęście był bardzo osłabiony.

- Przychodzę w imieniu Bractwa Policjantów i Celników - ciągnął Svenka. - Robiliśmy porządki w szafkach i znaleźliśmy rzeczy pańskiego syna.

- Nie chcę ich. Weźcie je sobie. Wyłamał pan zamek?

- Nikt nie otwierał, więc wszedłem. Pomyślałem, że zostawię pudełko i wyjdę. Mam klucz pańskiego syna.

- On nie miał klucza.

- Jego wytrych.

-W takim razie niech pan je za sobą zamknie.

- Porucznik Dortlich zapoznał mnie częściowo z pańską... sytuacją i pańskimi życzeniami. Czy je pan spisał? Ma pan dokumenty? Jako bractwo uważamy, że powinniśmy spełnić pańskie życzenia co do joty, to nasz obowiązek.

-Tak - odparł Dortlich. - Mam. Podpisane i poświadczone. Kopię wysłałem do Kłajpedy. Nie musi pan nic robić.

- Owszem, muszę. Pozostała jedna rzecz. - Svenka postawił pudełko.

Z uśmiechem na ustach podszedł do łóżka, wziął z krzesła poduszkę, jak wielki pająk skoczył w bok, przyduścił Dortlichowi poduszką twarz, usiadł na nim okrakiem z kolanami na ramionach, skrzyżował łokcie i przygniótł go całym ciężarem ciała. Starzec się nie rzucał. Jak długo to potrwa?

Nagle coś wbiło mu się w krocze. Koc się wyrzucił, luger wypalił. Svenka poczuł, że pali go skóra, że pali go głęboko w brzuchu

- upadł do tyłu. Stary podniósł pistolet i wciąż strzelając przez pościeel, trafił go w pierś i podbródek, a gdy lufa pistoletu opadła trochę niżej, postrzelił się w stopę. Serce biło mu coraz szybciej, szybciej, szybciej i szybciej, wreszcie stanęło. Zegar nad łóżkiem wybił siódmą, ale on słyszał tylko cztery pierwsze uderzenia.

Wysokie czoło północnej półkuli powyżej pięćdziesiątego równoleżnika omiata śnieg, omiata Kanadę, Islandię, Szwecję i Skandynawię. W Grisslehamn w Szwecji sypie do morza, bo gdy prom z trumną wpływa do portu, szaleje tam śnieżycza.

Agent przewoźnika zadbał o czterokołowy wózek i pomógł czterem pracownikom domu pogrzebowego załadować nań trumnę. Na nabrzeżu wózek nabrał szybkości i wjechał rampą na nabrzeże przeładunkowe, gdzie czekała ciężarówka.

Ojciec Dortlicha nie miał rodziny, lecz jego życzenia były jasne i wyraźne. Władze Stowarzyszenia Pracowników Morskich i Rzecznych w Kłajpedzie dopilnowały, żeby je spełniono.

Mała procesja składała się z karawanu, furgonetki z sześcioma grabarzami i samochodu wiozącego dwóch starszych krewnych.

Nie, żeby o Dortlichu zapomniano, po prostu większość jego przyjaciół z dzieciństwa nie żyła, a z krewnych nie pozostał prawie nikt. Był średnim synem, niezależnym indywidualistą - entuzjasm dla rewolucji październikowej oderwał go od rodziny i rzucił do Rosji. Syn budowniczego okrętów spędził życie jako marynarz. Ironiczne, uznali dwaj starcy jadący za karawanem w zacinającym śniegu.

Mauzoleum rodzinne Dortkchów - szary granit - miało wycięty nad drzwiami krzyż i gustowne szybki w przeźrocach, zwyczajnie kolorowe szkło, nic wyszukanego.

Cmentarny dozorca, człowiek sumienny, zamiótł ścieżkę do drzwi mauzoleum, zamiótł również schody. Przez rękawiczki z jednym palcem czuł zimno wielkiego, żelaznego klucza i żeby pokonać opór zgrzytliwych zapadek, musiał przekręcić go w zamku obiema rękami. Grabarze otworzyli duże podwójne drzwi i wnieśli trumnę do środka. Na jej wieku był emblemat komunistycznych związków zawodowych. Komunistyczny emblemat w mauzoleum? - zamruczeli krewni.

- Potraktujcie to jak braterskie pożegnanie od tych, którzy znali go najlepiej - powiedział kierownik domu pogrzebowego, kaszląc w rękawiczkę. Kosztowna trumna jak na komunistę, pomyślał, zastanawiając się, jakiej zażądali marży.

Dozorca miał w kieszeni tubkę białego smaru litowego. Posmarował nim kamień pod nóżki trumny, żeby weszła bokiem do niszy i grabarze ucieszyli się, że mogą ją po prostu wepchnąć, bo dźwignąć jej nie daliby rady.

Żałobnicy popatrzeli po sobie. Nikt nie miał ochoty się pomodlić, więc zamknęli mauzoleum i w gęstej zamieci wrócili do samochodów.

Na posłaniu z dzieł sztuki leży nieruchomo ojciec Dortlicha, drobny starzec z sercem, które ścina lód.

Przezną lata i zimy, przezną jesienie i wiosny. Z wyźwirowanej ścieżki dobiegają czasem przytłumione głosy, czasem zawita tam pęd dzikiego pnącza. Na kolorowych szybkach zbiera się kurz i światło łagodnieje. Wiatr zawiewa liśćmi, potem śniegiem, i tak na okrągło. Obrazy z twarzami, które Hannibal Lecter tak dobrze zna, spoczywają w ciemności niczym zwoje pamięci.

Nad brzegami rzeki Lievre w kanadyjskim Quebecu pada śnieg. Wielkie miękkie płatki wirują w nieruchomym porannym powietrzu i lekkie jak piórko osiadają na parapetach Ostoi Karibu, zakładu preparowania zwierząt.

Osiadają również niczym piórka na włosach Hannibala Lectera, który idzie leśną drogą do zakładu. Zakład jest otwarty. Słyszysz dźwięki *Och, Kamado!* z radia na zapleczu - właśnie zaczyna się mecz drużyn szkolnej ligi hokejowej. Na ścianach wiszą głowy zwierząt. Na samej górze głowa łosia, a pod nią, niczym malowidła w Kaplicy Sykstyńskiej, lis polarny, pardwa, łeb jelenia o łagodnych oczach, głowa rysia i rysia rudego.

Na ladzie, na tacce z wysokimi brzegami, leżą szklane oczy. Hannibal stawia torbę na podłodze i grzebie wśród nich palcem. Wybiera dwoje najbardziej wyblakłych, dla jelenia i zdechłego husky. Wyjmuje je z tacki i układa obok siebie na ladzie.

Wchodzi właściciel zakładu. Broda Bronysa Grentza jest już przyprószone siwizną, siwieją mu również skronie.

- Tak? Czym mogę służyć?

Hannibal patrzy na niego, znowu grzebie w tacce i znajduje oczy pasujące kolorem do jego brązowych oczu.

- Pan w jakiej sprawie?

- Przyszedłem odebrać głowę - odpowiada Hannibal.

- Którą? Ma pan pokwitowanie?

- Nie widzę jej na ścianie.
- Pewnie jest na zapleczu.

Hannibal ma propozycję:

- Mógłbym tam zajrzeć? Pokażę panu która to.

Bierze ze sobą torbę. W torbie jest ubranie, tasak i gumowy fartuch z napisem: „Własność Akademii Medycznej imienia Johnsa Hopkinsa”.

Bardzo interesujące było porównanie jego korespondencji i notesu adresowego z listą poszukiwanych gestapowców, rozesłaną po wojnie przez Brytyjczyków. Grentz korespondował z wieloma ludźmi w Kanadzie i Paragwaju oraz kilkoma w Stanach Zjednoczonych. Hannibal przejrzał dokumenty w pociągu, w prywatnym przedziale, który zafundował sobie za pieniądze z kasy Litwina.

W drodze powrotnej do Baltimore, gdzie odbywał staż, zatrzymał się na chwilę w Montrealu i tam wysłał paczkę z głową Grentza do jednego z jego kolegów po fachu, jako nadawcę podając innego.

Nie targał nim gniew na Grentza. Gniew nie targał nim już wcale, nie prześladowały go również sny. Był na wakacjach i zamiast jeździć na nartach, wołał go po prostu zabić.

Pociąg pędził na południe, do Ameryki, taki ciepły i mięciutko resorowany. Jakże inaczej wyglądała jego długa podróż na Litwę, którą odbył jako chłopiec.

Zamierzał zatrzymać się na noc w Nowym Jorku, w Carlyle, jako gość pana Grentza, i obejrzeć sztukę w teatrze. Miał dwa bilety, na *Morderca dzwoni o północy* i na *Piknik*. Wybrał *Piknik*, bo uważał, że morderstwa sceniczne są mało przekonujące.

Ameryka go fascynowała. Tyle tam było ciepła i elektryczności. I takie dziwne, szerokie samochody. I te amerykańskie twarze, niby otwarte, choć nie do końca niewinne, czytelne. Z czasem, już jako mecenas sztuki, zamierzał stawać za kulisami i patrzeć na publiczność, na skupione twarze ludzi w światłach rampy. I czytać z nich, czytać, i jeszcze raz czytać.

Zapadła ciemność i kelner postawił świeczkę na stoliku w wagonie restauracyjnym. Stukotały koła, w kieliszku drżało krwistoczerwone bordo. Raz obudził się w nocy na stacji, słysząc, jak robotnicy kolejowi czyszczą parą podwozie wagonu, i zobaczył za oknem wielkie białe kłęby, które rozwiewał wiatr. Pociąg ruszył z leciutkim szarpnięciem, płynnie przyspieszył, światła stacji pozostały w tyle i zanurzyli się w noc, mknąc ciągle na południe, ku Ameryce. Kłęby pary zniknęły i zobaczył gwiazdy.

Podziękowania

Dziękuję funkcjonariuszom paryskiej Brigade Criminelle, którzy powitali mnie w świecie *Ouai des Orfevres* i dzielili się ze mną zarówno swoją przerażającą wiedzą, jak i pysznymi lunchami.

Pani Murasaki nosi nazwisko Murasaki Shikibu, autorki Genji monogatari (*Opowieści o księciu Genji*), pierwszej w świecie naprawdę wielkiej powieści. Nasza pani Murasaki cytuje *Ono no Komachi* i słyszy w duszy wiersz Yosano Akiko. Słowa pożegnania z Hannibalem zaczerpnęła z tychże *Opowieści*. Noriko Miyamoto pomogła mi bardzo w dziedzinie literatury i muzyki.

*Jak widzicie, pożyczyłem nawet psa od S. T. Coleridge'a.**

Za lepsze zrozumienie Francji podczas okupacji i Francji powojennej zobowiązany jestem Marianne in Chains Roberta Gildea, Paris after the Liberation 1944—1949 Antony'ego Beevora i Artemis Cooper oraz LynnH. Nicholas, autorce *Grabieży Europy*. Bardzo pomogły mi również niezwykle listy Susan MaryAlsop do MariettyTree, opublikowane w *To Mariette from Paris, 1945-1960*.

Ale przede wszystkim dziękuję Pace Barnes za jej niezawodne wsparcie, miłość i cierpliwość.

* W poemacie *Christabel* S.T. Coleridge'a występuje mastiff (przyp. tłum.).